

WOLNA SOBOTA

Kod dostępu do **Wyborcza.pl**
na weekend

**Ojcowie
tenisistek**
Nie wszyscy
umieją się
odsunąć ► 29



FOT. KUBA ATYS

Lament Kmicica
Komu przeszkadza
ministra Hanna
Wróblewska
► 14



**WYSOKIE
OBCASY**
Hejt,
który
zabija

Sobota-czwartek, 18-23 stycznia 2025 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety 11,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 14.10811, 2 | Nakład 80 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

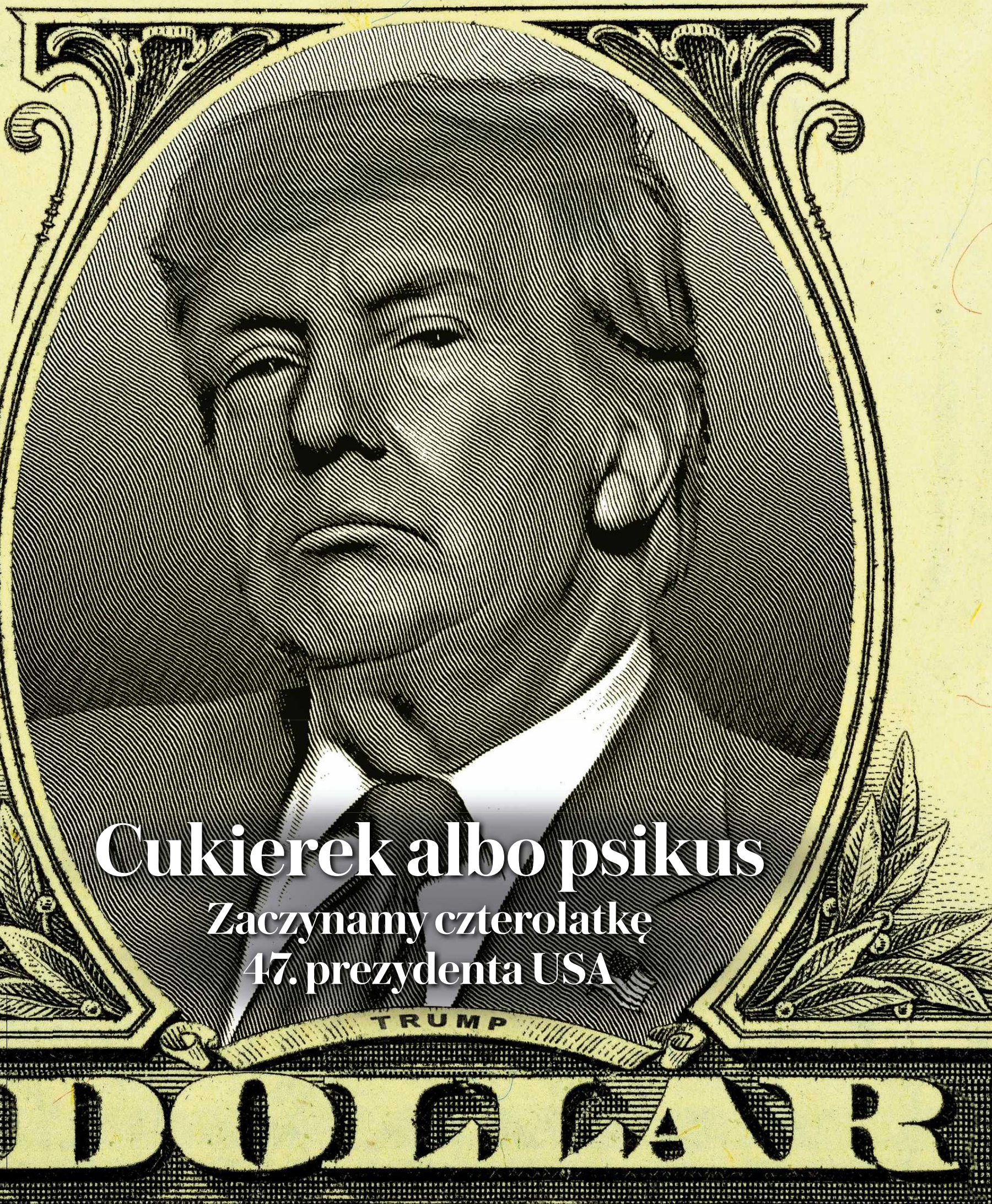


GAZETA

wyborcza

wyborcza.pl

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI



Agnieszka
Kublik

Zastawianie pułapek jest ważne w kampanii

Nie oglądajcie się na Dudę. Na niego nawet Kaczyński się nie oglądał. Prezydent Andrzej Duda rządowi premiera Donalda Tuska już na samym początku wiele naobiecywał – że będzie hamulcowym, bo „porządek konstytucyjny musi zostać zachowany”.

Duda – choć prawdy nie mówił – słowa dotrzymał. KO jeszcze więcej naobiecywała. Trudno jej zarzucać, że ze swoich obietnic się nie wywiązała, skoro Duda dotrzymał swoich.

To jasne, że prezydent Duda broni PiS-owskiego status quo, to oczywiste, że nie będzie pomagał rządowi, czyli podpisywał ustaw, które mają to status quo wywrócić.

Ale Koalicja 15 Października do czegoś się zobowiązała. Władza ustawodawcza ma uchylać prawo. Uchylać, a nie deliberować, co z tym zrobi Duda. No wiadomo – nie podpisze, wyśle do Trybunału, będzie blokować.

Chyba, że Duda to pretekst.

Wyborcy są zniecierpliwieni, sfrustrowani. Liczyli na rychle rozliczenia PiSu, na zapelnione kolegami Kaczyńskiego ławy oskarżonych.

Trzaskowski do maja będzie oceniany przez pryzmat nierealizowanych obietnic KO

Wyborcy czekali na nowe porządki w KRS, Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym, w prokuraturze. Na wyeliminowanie z systemu niesędziów na stanowiskach sędziów. Na likwidację Rady Me-

diów Narodowych, likwidację abonamentu RTV, zmiany w Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji czy PKW. Na liberalizację aborcji.

Już Rafał Trzaskowski traci poparcie wśród kobiet. Trzaskowski do maja będzie oceniany przez pryzmat nierealizowanych obietnic KO i brak skuteczności sejmowej większości.

Gdyby zostały uchwalone ustawy, Karol Nawrocki musiałby się tłumaczyć, czy to nowe prawo by podpisał.

KO może pokazywać, co Duda blokuje i jakie są tego konsekwencje. Na przykład w sprawie wyborów prezydenckich – bezprecedensowy chaos. Chodzi o to, by to nie Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN orzekała o ważności wyborów, bo nie jest sądem i jej orzeczenia są niebyłe.

Zastawianie udanych pułapek na rywali, to część udanej kampanii. ●

Andrzej rysuje



WOŚP zagra 26 stycznia

Zalóżmy razem czerwone okulary



... z nimi nie straszne są żadne koszmary – to słowa z piosenki, która powstaje w Klinice Onkologii i Hematologii w Dziecięcym Szpitalu Klinicznym w Białymstoku. Piosenka jest dla WOŚP, która w tym roku zagra właśnie na rzecz onkologii i hematologii dziecięcej. Słowa napisała mama jednej z małych pacjentek, zawodowo związana z Operą i Filharmonią Podlaską

**Kod dostępu
do Wyborcza.pl**



Liczba dnia

92

PROC.
**uczniów doświadcza
lęku matematycznego.**
Wraca pomysł, żeby zrezygnować z matematyki na maturze ► **Wyborcza.pl**

**Prezydencka gwiazda
„America the Beautiful”**

Podczas zaprzysiężenia Joego Bidena zaśpiewały m.in. Lady Gaga i Jennifer Lopez. Dla Baracka Obamy – w 2009 roku Aretha Franklin, a w 2013 roku – Beyoncé. Donald Trump już w 2016 roku miał problem ze znalezieniem gwiazdy, która zaśpiewałaby podczas jego zaprzysiężenia. Mieli mu odmówić m.in. Elton John i Celine Dion. W tym roku zaproszenie przyjęła Carrie Underwood.

Ta dziewczyna z Oklahomy jest jedną z najczęściej nagradzanych artystek i artystów country w historii. Jest ceniona i przez publiczność, i przez krytyków. W swoich poglądach zdaje się nie odbiegać od amerykańskich mainstreamowych gwiazd. W 2012 roku otwarcie poparła małżeństwa par jedнопłciowych: „Zdecydowanie uważam, że wszyscy powinniśmy mieć prawo, żeby kochać, także publicznie, kogo chcemy” – podkreśliła w rozmowie z „The Independent”, zaznaczając, że kościół, do którego należy, jest otwarty na osoby homoseksualne.

Teraz jej fani LGBT+, którzy przez wiele lat kochali jej muzykę i uważali ją za sojuszniczkę, wyrażają duży zawód. I nie tylko oni. Po fali krytyki, która się wylała, wokalistka wydała oświadczenie: „Kocham nasz kraj i to dla mnie zaszczyt, że



będę małą częścią tego historycznego wydarzenia. Podkreśliła, że z dumą odpowiedziała na to zaproszenie w czasach, kiedy „wszyscy musimy się zjednoczyć, patrząc w przyszłość”.

20 stycznia Carrie Underwood zaśpiewa „America the Beautiful”. Podczas zaprzysiężenia Trumpa wystąpi także zespół Village People, twórcy światowego hitu „Y.M.C.A.”. W oświadczeniu zamieszczonym na Facebooku zespół zaznaczył, że przyjął zaproszenie od Trumpa, bo jego członkowie chcą „jednoczyć kraj swoją muzyką”, zwłaszcza po trudniej kampanii wyborczej, w której przegrała ich preferowana kandydatka. ●

Zuzanna Kufel

W poniedziałek „Duży Format”

Za droga Warszawa

- Pakowaliśmy nasze życie w kartony, czując mieszanekę ulgi, ale też żalu i lęku. Nie rozumiem, dlaczego tak pracowite osoby, jak my musiały wyprawiać się ze stolicy - mówi Marta, pielęgniarka w jednym ze warszawskich szpitali. W ostatnich miesiącach utrzymanie czteroosobowej rodziny w Warszawie graniczyło z cudem.



INAGURACJA

Już nie Make America Great Again, ale Make America Even Greater

SpaceX Hawthorne

• Siedziba firmy Elona Muska. Dzięki Muskowi Trump może mieć dostęp do nowoczesnej technologii kosmicznej

• Trump chce włączyć Kanadę do USA pod groźbą sankcji ekonomicznych (czytaj – wymusić ustępstwa handlowe i podatkowe)

USA + Kanada + Grenlandia

22,1 mln km kw.

• Trump chce zaanektować Grenlandię będącą autonomicznym terytorium zależnym Danii. Nie wyklucza użycia siły. Do pomysłu przejścia przyczynił się sfalszowany w 2019 r. (najprawdopodobniej przez Rosję) list, który miał wywołać konflikt między Danią a USA, z prośbą o finansowe wsparcie referendum dotyczącego niepodległości Grenlandii. Okazuje się, że mieszkańcy wyspy nie mają nic przeciwko zacieśnieniu więzi gospodarczych i wojskowych z USA

• Jeśli Trump zagarnie Grenlandię i Kanadę, Rosja spadnie na drugie miejsce w rankingu największych państw na świecie

• Rosja i Chiny też ostrzą sobie zęby na Grenlandię

Kapitol Waszyngton

• Siedziba amerykańskiego parlamentu. Tysiące zwolenników Trumpa wdarli się do budynku w 2001 r., gdy ten ogłosił, że przegrał wybory, bo były sfalszowane. W ataku zginęło 5 osób

Tajwan

• Chiny uważają Tajwan za swoją prowincję. Trump zagroził Chinom wysokimi cłami, jeśli te zaatakują Tajwan

KANADA
10 mln +
42,1 mln +
0,5179

USA
9,9 mln +
342 mln +
0,0744

MEKSYK
2 mln +
132,5 mln +
0,5965

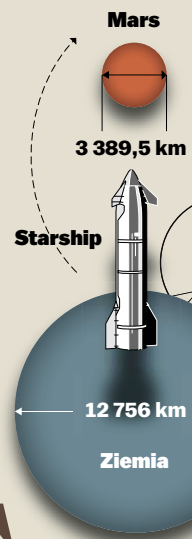
Zatoka Meksykańska

• Trump chce ją przemianować na Zatokę Amerykańską. Prezydentka Meksyku odpowiedziała, pokazując mapę z 1607 r., że idąc tym tropem, nazywamy spore terytorium USA Ameryką Meksykańską

Kanał Panamski

• Trump zamierza go zaanektować, nie wyklucza użycia siły. Kanał dokończyli Amerykanie w 1914 r., po bankructwie firmy, która budowała go pod koniec XIX w. W 1999 r. przekazali go Panamie

Rakietostopem przez Galaktykę



• Musk zamierza skolonizować Marsa. Plan pozornie szalony, ale na razie jego SpaceX radzi sobie lepiej z wysyłaniem rakiet w kosmos niż NASA. Czy Trump widzi szansę w podbiciu także pozaziemskiego terytorium, zaprzyjaźniając się z Muskiem i dając mu miejsce w rządzie?

• Musk to też właściciel serwisu społecznościowego X (daw. Twitter). Globalny zasięg platformy może służyć Trumpowi do pozyskiwania większej liczby zwolenników

Najwięksi na świecie

Obecnie kraj	powierzchnia w km kw.
1 Rosja	17 075 400
2 Kanada	9 984 670
3 USA	9 866 289
4 Chiny	9 572 900
5 Brazylia	8 510 418
6 Australia	7 688 126
7 Indie	3 287 469
8 Argentyna	2 704 789
9 Kazachstan	2 724 900
10 Algieria	2 381 741
11 Demokratyczna Republika Konga	2 345 000
12 Grenlandia	2 166 086
13 Arabia Saudyjska	2 149 690
14 Meksyk	1 964 375
15 Indonezja	1 892 410

Jeśli USA wezmą Grenlandię kraj	powierzchnia w km kw.
Rosja	17 075 400
USA	12 032 375
Kanada	9 984 670
Chiny	9 572 900
Brazylia	8 510 418
Australia	7 688 126
Indie	3 287 469
Argentyna	2 704 789
Kazachstan	2 724 900
Algieria	2 381 741
Demokratyczna Republika Konga	2 345 000
Arabia Saudyjska	2 149 690
Meksyk	1 964 375
Indonezja	1 892 410
Sudan	1 840 687

Jeśli USA wezmą Grenlandię i Kanadę kraj	powierzchnia w km kw.
USA	22 017 045
Rosja	17 075 400
Chiny	9 572 900
Brazylia	8 510 418
Australia	7 688 126
Indie	3 287 469
Argentyna	2 704 789
Kazachstan	2 724 900
Algieria	2 381 741
Demokratyczna Republika Konga	2 345 000
Arabia Saudyjska	2 149 690
Meksyk	1 964 375
Indonezja	1 892 410
Sudan	1 840 687
Libia	1 676 198

Skarby Grenlandii

Grenlandia obfituje w naturalne surowce, stąd takie zainteresowanie wyspą



ŹRÓDŁA: BRITANNICA, GLOBAL FIRE POWER, MEDIA NAUKA, SPACEX, THE GREENLAND INSTITUTE OF NATURAL RESOURCES, WIKIMEDIA COMMONS

- Stany Zjednoczone
- Kanada
- Grenlandia
- Rosja
- pozostałe państwa, których temat dotyczy
- + powierzchnia w km kw.
- + populacja
- wskaźnik militarnej siły*

*Im mniejsza wartość, tym potężniejsza zdolność bojowa kraju. Idealny wynik to 0,0000, co jest nieosiągalne w zakresie obecnego wzoru opracowanego przez Global Fire Power

Trumporium

INFOGRAFIKA: ŁUKASZ RUDNIKOWSKI / WYBORCZA.PL/BIQDATA

• O historii Grenlandii ► 40-42

KTO DOSTANIE SYGN

Gdzie Mastalarek Dudy nie może, tam Meloni Morawieckiego pośle. A na końcu deal dopnie Tusk

Dominika Wielowieyska

Wielkie nadzieje PiS pokłada w nowym prezydencie USA. Nie bez przyczyny klub PiS skandował jego nazwisko w Sejmie zaraz po amerykańskich wyborach. Ale nie jest pewne, czy ta inwestycja w Trumpa przyniesie korzyści. Choćby dlatego, że jego plany wobec Ukrainy są enigmą. Na razie więc trwa wyścig rozmaitych frakcji w obozie PiS, który ma pokazać, kto ma najlepsze relacje z nową administracją.

Prezydent Andrzej Duda poleciał do USA zobaczyć się z Trumpem jeszcze w czasie amerykańskiej kampanii wyborczej w kwietniu ub. r. Spotkanie było u nas krytykowane, bo oznaczało opowiedzenie się Polski po jednej stronie sporu w USA. Ale szef MSZ Radosław Sikorski, zwykle bezlitośnie odnoszący się do ludzi PiS, był jedną z osób, które wstrzemięźliwie oceniały to wydarzenie. Polska dyplomacja wychodziła z założenia, że Duda na takim spotkaniu może stanowić przeciwwagę dla prorosyjskiego Orbana. Według nieoficjalnych informacji Duda powiedział współpracownikom, że musiał prostować kłamstwa premiera Węgier o Ukrainie.

Spotkanie z Dudą było dla Trumpa korzystne, bo mobilizowało najbardziej konserwatywną część Polonii po stronie Republikanów. Wydawało się, że relacje obu polityków są znakomite.

Zaraz po zwycięstwie Trumpa, 8 listopada Kancelaria Prezydenta złożyła wniosek o rezerwację samolotu na przelot do USA. Suflowano, że daty wylotu Dudy nie ma tylko dlatego, że kancelaria czeka na potwierdzenie terminu spotkania z prezydentem elektem. W Stanach przebywali wtedy dwaj ministrowie prezydenta – szef gabinetu i zaufany doradca Marcin Mastalerek i Wojciech Kolarski. Mieli dopinać szczegóły spotkania.

Jednak nic tego nie wyszło. Duda nie został zaproszony ani do rezydencji w Mar-a-Lago, ani na inaugurację prezydentury 20 stycznia.

Wbrew pozorom drugie zaproszenie nie jest tak istotne, Trump zaprosił różnych przywódców, ale nie wszyscy do Waszyngtonu się wybierają z prostego powodu: cykl wydarzeń związanych z inauguracją między 18 a 21 stycznia nie pozwala na bilateralne spotkanie, więc chodzi o czystą kurtuazję. Stąd do braku zaproszenia dla Dudy na 20 stycznia nie ma co przywiązywać dużej wagi, a Kancelaria Prezydenta znalazła dobrą wymówkę i zgrabnie ucięła temat – Andrzej Duda nie leci do Stanów na ceremonialne zaprzysiężenie, bo leci do Davos na światowe forum ekonomiczne, gdzie spotykają się ważni gracze światowej polityki, biznesu i świata idei.

Więcej mówi to, że nie udało się wychodzić wizyty w umownym – bo przecież nie wszystkie rozmowy z ludźmi, na których mu zależy, Trump odbywa w posiadłości na Florydzie – Mar-a-Lago. Ludzie prezydenta oraz ambasador Polski przy ONZ Krzysztof Szczerski zabiegali o spotkanie z Trumpem choćby na ostatni dzwonek przed inauguracyjnym maratonem, czyli 17 stycznia, ale z tego też nic nie wyszło. To zaskakujące, ponieważ wcześniej w PiS wierzono, że Mastalerek ma doskonale kontakty z Susie Wiles, przyszłą szefową personelu Białego Domu. Teraz na Nowogrodzkiej z satysfakcją mówi się, że ten spin ludzi Dudy był na wyrost.



• **Prezydent Donald Trump i Melania Trump z wizytą w Warszawie, 6 lipca 2017 r. Na Placu Krasińskich, pod pomnikiem Powstania Warszawskiego wita ich polska para prezydencka**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Trump doszedł do wniosku, że Duda był istotny w kampanii, ale teraz do niczego nie jest mu potrzebny. Prezydenta-elekta interesują tylko ci, którzy mają władzę i są decyzyjni.

Więc w tym samym czasie, zaraz po wyborach, z Trumpem rozmawiał Orban. „Dzwoni Mar-a-Lago. Właśnie przeprowadziłem swoją pierwszą rozmowę telefoniczną z prezydentem Donaldem Trumpem po wyborach. Mamy duże plany na przyszłość!” – pochwalił się Węgier na platformie X. Mało tego. W grudniu Orban poleciał do Stanów na rozmowy nie tylko z Trumpem, ale z doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego w przyszłej administracji USA Michaeliem Waltzem oraz z samym Elnem Muskem. Czyli człowiekiem faktycznym wiceprezydentem, czy raczej współprezydentem – twórcą Tesli i SpaceX nie odstępuje Trumpa na krok, doradza mu, kształtuje nastroje sporej części Amerykanów i próbuje wpływać na politykę w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Włoszech.

– Viktor Orban powiedział, że Rosja się mnie bała, Chiny się mnie bały, wszyscy się mnie bali i dlatego cały świat żył w pokoju – mówił Trump na ważnej konwencji Partii Republikańskiej w Milwaukee. Widać Duda nie dorównał Orbanowi w pochlebstwach. Co prawa Polak obiecywał kiedyś, że powstanie w Polsce Fort Trump, ale wszyscy zdążyli o tym zapomnieć.

Można się pocieszać, że to, dla kogo w danej chwili Trump nadstawia ucha, jest wypadkową jego interesów, racji stanu takiej, jak ją postrzega, i osobistego kaprysu – niemniej dla Polski fakt, że nowego, energicznego prezydenta nie interesuje już proukraiński Duda, woli antyukraińskiego Orbana, nie jest dobrym prognostykiem.

W styczniu Trump nie znalazł czasu dla Dudy, ale znalazł dla Giorgii Meloni. Premierka Włoch będzie, obok Orbana, reprezentantką lobby protrum-powskiego w Unii, ale Włoszka nie jest prorosyjska tak jak węgierski premier.

ET DO POCAŁOWANIA



A bieżące sukcesy, które mogą wzbudzić podziw w partyjnych dolach, też odnosi. Oto, gdy jeden z ważnych spin-doktorów Kaczyńskiego troi się i dwoi, aby zaproszenie na zaprzysiężenie w Waszyngtonie dostał Karol Nawrocki, Morawiecki zgrabnie wepchnął się z boku.

– Amerykanie doszli do wniosku, że jeden Polak wystarczy, a skoro Morawiecki załatwił sobie to najwcześniej, to reszta musi się z tym pogodzić – słyszę od jednego z moich rozmówców.

Andrzej Duda próbował jeszcze zasłużyć się w oczach Trumpa, podbijając sprawę bezpieczeństwa Netanjahu w razie, gdyby premier Izraela chciał przyjechać na uroczystości 80. rocznicy wyzwolenia Auschwitz.

Chodzi o to, że Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze wydał nakaz aresztowania

Może faktycznie trudniej będzie działać szefowi MSZ Radosławowi Sikorskiemu, bo Trump nie uznaje tego, że żona – czyli Anne Applebaum, wpływowa publicystka, bardzo krytyczna wobec trumpistów i podporządkowania się im Republikanów – jest osobnym bytem, niezależnym od męża.

Ale ludzi Trumpa interesuje atom, kontrakty wojskowe, big techy. Więc będą się dogadywać, koncentrując na relacjach z szefem MON Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i ministrem cyfryzacji Krzysztofem Gawkowskim. Oni są interesujący, PiS już nie. A kwestia sympatii do czy jej braku wobec Tuska jest drugorzędna – wyjaśnia.

Duda zdaje sobie sprawę, że międzynarodowa, a więc i krajowa, pozycja Morawieckiego rośnie, a konflikt Mastalerka z Nowogrodzką mu nie służy. Ale liczy na to, że tuż przed polskimi wyborami pre-

Osoba, która zna relacje w amerykańskiej administracji: **Trump może Tuska nie lubić, ale ponieważ ma transakcyjne podejście do polityki, to nie będzie się na tym koncentrował**

premiera Izraela za zbrodnie wojenne, może wręcz ludobójstwo, jakich według obserwatorów ma dopuszczać się armia na Palestyńczykach w Strefie Gazy, a USA tego Trybunału nie uznają. Postawiło to w trudnej sytuacji polski rząd: z jednej strony nie chciał zadrażnień z Izraelem i administracją Trumpa, z drugiej strony – Polska podlega jurysdykcji MTS, więc żądanie Dudy było Tuskowi wyjątkowo nie na rękę.

I doradcom Dudy mogło się wydawać, że upiekli dwie pieczenie na jednym ogniu – bo prezydent nie tylko zapunktował u Republikanów, ale jeszcze postawił rząd w trudnej sytuacji – lecz na nic te zabiegi się nie zdały, bo zaproszenie ze Stanów nie przyszło. A Tusk zadeklarował, że premier Izraela w dniu rocznicy będzie bezpieczny na terytorium Polski, co w Waszyngtonie zostało odnotowane z uznaniem – jak słyszę od osób mających kontakty w nowej administracji. Tymczasem Duda sądził, że szef rządu będzie kluczył, co jeszcze pogorszy i tak nienajlepsze relacje proeuropejskiego gabinetu z Trumpem.

PiS wychodzi z założenia złe relacje Trumpa i Tuska to dla nich nadzieja, bo każdy ans pokazuje, że rola polskiego premiera na arenie międzynarodowej wcale nie rośnie, wręcz maleje, a jego zabiegi dyplomatyczne są jałowe. – Tuska Trump pamięta i po prostu nie lubi – mówi mi jeden z moich rozmówców. – Gdy Duda był w Nowym Jorku, to w czasie tej rozmowy Trump wylał na Tuska kubel pomyj, a nasz prezydent milczał, bo nie chciał być posądzony o atakowanie premiera swojego kraju – dodaje.

Pytam o to osobę, która zna relacje w amerykańskiej administracji. – PiS jest out – śmieje się rozmówca. – Trumpa interesują tylko ludzie, którzy są u władzy i może Tuska nie lubić, ale ponieważ ma transakcyjne podejście do polityki, to nie będzie się na tym koncentrował.

zydenckimi uda mu się w kwietniu zorganizować szczyt Trójmorza, na który przyjedzie Trump. I to on, prezydent RP, będzie gospodarzem wydarzenia.

Byłby to mocny akcent na koniec jego drugiej kadencji. Trójmorze to spora grupa liczących się państw – Austria, Bułgaria, Chorwacja, Czechy, Estonia, Grecja, Węgry, Łotwa, Litwa, Polska, Rumunia, Słowacja i Słowenia. Duda liczy, że Trump się skusi, bo są w tej grupie państwa również prorosyjskie.

Dla Kaczyńskiego też, mimo konfliktu Nowogrodzkiej z Pałacem Prezydenckim, to przyniosłoby same korzyści: PiS mógłby się postarać o zdjęcie Nawrockiego z Trumpem.

Na razie żadne oficjalne informacje na temat ewentualnego szczytu nie dotarły do MSZ, ale rząd wie, że plany Pałacu są ambitne. I w tym przypadku wszyscy grają do jednej bramki: nie ma wątpliwości, że jeśli chodzi o organizację wydarzenia i próbę ściągnięcia Trumpa, administracja Tuska robi wszystko, aby akcja zakończyła się sukcesem. Niezależnie od tego, co kto myśli na temat obecnego prezydenta elekta, to przyjazd przywódcy USA jest ważnym i potrzebnym wydarzeniem z punktu widzenia interesów Polski. Szczególnie w tak kluczowym momencie, gdy będą się rozstrzygać losy wojny w Ukrainie. A więc losy naszej części kontynentu.

Ale PiS uważa, że mimo wszystko na polskim podwórku Trump jest wsparciem dla nich. – Gdy przyjedzie do Polski, to nasz elektorat będzie wiwatował na ulicach i takie wydarzenie pomoże nam w mobilizacji wyborów – twierdzi polityk PiS.

Partia ma oczywiście plan wepchnięcia Nawrockiego w orbitę amerykańskiego prezydenta, ale trzyma go w ścisłej tajemnicy. Pracuje nad nim jeden z najważniejszych spin-doktorów, Adam Bieleń, który bardzo często i od lat lata do Stanów, a je-

I pomogła w zyskaniu zaproszenia do Stanów dla innego polityka PiS. Mateusz Morawiecki pojawi się tam jako szef partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów, gromadzącej w europarlamencie krajowe ugrupowania prawicowe i eurosceptyczne. Dostał tę posadę dzięki dobrym relacjom z Meloni.

Morawiecki załatwił sobie to ważne stanowisko trochę plecami Kaczyńskiego i jego świty. Joachim Brudziński, oko i ucho prezesa PiS w europarlamencie, o nowej funkcji ekspremiera miał się dowiedzieć przypadkiem. W samolocie do Brukseli usłyszał, jak jeden z europosłów KO gratuluje Michałowi Dworczykowi spodziewanego awansu byłego szefa.

Po tym, jak nie powiodła się walka o nominację prezydencką PiS, były premier przestał oglądać się na kolegów partyjnych i gra na własny rachunek. Wydaje olbrzymie pieniądze na własną promocję w sieci. Ma to przynieść korzyści w dłuższej perspektywie, gdy zechce przejąć przywództwo w PiS.

go kontakty w środowisku Republikanów mają długą historię.

Także czołowy harcownik PiS, Dominik Tarczyński wykreował w partii legendę, że ma znakomite relacje z Republikanami. Poznał prezesa jednej z niszowych organizacji katolickich popierających Trumpa, a traf chciał, że ów prezes bardzo urósł w otoczeniu prezydenta elekta. Europoseł chwali się, że dzięki tym kontaktom przez dwa miesiące był blisko Trumpa, i to nie tyle jako przedstawiciel PiS, ile po prostu polski trumpista.

Tę legendę uwiarygadnia fakt, że Tarczyński był widziany na wiecu w Salem w Wirginii dokładnie za plecami kandydata Republikanów i uchwyciły go wszystkie kamery. A podczas wieczoru wyborczego został zaproszony do popularnego internetowego programu politycznego PBD Podcast. Jego gospodarzem jest Patrick Bet-David, biznesmen i inwestor, który przed dekadą spróbował sił na YouTu-

ski: „Cały świat, niezależnie od sympatii, układa sobie stosunki z nowym prezydentem USA. Ale lizusostwo i donosicielstwo niektórych polskich polityków to przesada”.

Problem PiS polega na tym, że Tarczyński gra na siebie i chciał być po prostu kandydatem PiS na prezydenta. Charakterystyczne, że na jego profilu na X jest rzecz jasna przede wszystkim Tarczyński – a Nawrockiego nie ma w ogóle.

W dodatku nie jest pewne, czy w akcję spinania Nawrockiego z Trumpem zechce zaangażować się Andrzej Duda. Zaprosił co prawda prezesa IPN i zrobił sobie z nim fotkę, ale potem przyjął też kandydata Konfederacji Sławomira Mentzena, co źle przyjęto w PiS.

Spotkanie z Mentzenem to efekt bliskich relacji Mastalerka z szarą eminencją niepisowskiej pra-

• **Sejm, dzień po wyborach w USA. Ławy posłów PiS. Na końcu (od lewej): Mariusz Gosek, Dariusz Matecki (w czapce z wyborczym hasłem Trumpa) i Marcin Romanowski – zanim uciekł na Węgry**

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

zez Kreml, np. zadeklaruje, że Ukraina nie ma szans wejść do NATO? Jeśli się wszystkich wkłóło, z Tuskiem na czele, oskarżało o sprzyjanie Rosji, to jak wytłumaczyć swoim patriotycznie nastawionym wyborcom, że Trump, przyjaciel PiS, który uległ Putinowi, jest super?

Ryzyko, że sojusznik, na którego stawia PiS, okaże się groźny dla polskiej racji stanu, jest całkiem serio, bo prezydent-elekt nie zmienił narracji, z jego wypowiedzi wciąż wynika, że zamierza Ukrainę postawić pod ścianą.

– Takie zagrożenie istnieje, ale my wychodzimy za założenia, że w pierwszej połowie tego roku, czyli do wyborów prezydenckich nic znaczącego się nie stanie. Rozstrzygnięcie ostatecznych nie będzie, bo Ukraina ma zagwarantowaną przez Bidena broń i pieniądze do końca roku. Pod ścianą może być postawiona, ale już po wyborze prezydenta w Polsce – słyszę w PiS.

Ale problem polskiej prawicy głównego nurtu z Trumpem ma więcej wymiarów. Co prawda Kaczyński zwykle kieruje się swoim instynktem i diagnozami, nie analizami ekspertów, niemniej w zapleczu eksperckim PiS słyszę, że antyunijna retoryka i ewentualne działania nowej administracji amerykańskiej przeciwko UE są sprzeczne z interesami gospodarczymi Polski.

Bo Polska jest beneficjentem wspólnego unijnego rynku, pokazują to wszystkie dane ekonomiczne. A Trump wspiera siły, które rozmontować nie tylko wspólny rynek, ale też Komisję Europejską – instytucję, która w retoryce PiS na użytek bogoojczyźnianego i eurosceptycznego wyborcy jest kosmopolitycznym wrogiem suwerennych państw narodowych, ale wszyscy wiedzą, że w realu jest przeciwwagą dla najpotężniejszych unijnych graczy, takich jak Francja czy Niemcy.

To nie Bruksela, ale Marine Le Pen, teoretyczna sojusznika PiS, jest zwolenniczką tego, by polskie firmy działające we Francji zależały od Paryża, a nie od reguł wspólnego rynku. A Trump właśnie takie postacie wspiera w Europie. Jego ludzie pomagają siłom antyunijnym – vide najnowsza kampania Elona Muska wspierającego AfD i próbującego jeszcze bardziej zdestabilizować niemiecką politykę – na serio chcą Wspólnotę rozebrać, a to jest absolutnie sprzeczne z interesami gospodarczymi Polski.

I właśnie Musk jest kolejnym zagrożeniem dla PiS. Jego działania wywołują niepokój na Nowogrodzkiej.

Po pierwsze, wspiera w Alternatywę dla Niemiec, co może być sygnałem, że kiedy skieruje uwagę na Polskę, najbardziej mu się spodoba Konfederacja, szczególnie jej libertarianiska część, i to ją będą faworyzować algorytmy na platformie X.

A po drugie, Musk rezerwuje sobie prawo wskazywania polityków, których popiera, zaś jego łaska jeździ na pstrym koniu. Kiedy wydał wojnę brytyjskiemu premierowi Keithowi Starmerowi, oskarżając labourzystów – choć odpowiedzialność ponosiły poprzednie gabinety, bojące się podsycenia rasistowskich nastrojów – o tuszowanie wieloletniej afery z gangami mężczyzn o pakistańskich w dużej części korzeniach, wykorzystującymi seksualnie nastolatki, wspierał i chwalił Nigela Farage’a, symbol i współarchitekta Brexitu. Aż nagle Farage okazał się nieodpowiedni, bo okazało się, że nawet on, choć nie stronił od fejków, manipulacji i szowinistycznej retoryki, ma jakieś granice, których nie chce przekraczać – i Musk zaczął promować zwykłego hejtera z odmętów alt-rightowo-spiskowego internetu.

Wszystkie media obiegła informacja, że miliarder wzywa do uwolnienia brytyjskiego alt-rightowego aktywisty i youtubera Tommy’ego Robinsona, skazanego na 18 miesięcy za wyświetlanie filmu oczerniającego nastoletniego syryjskiego uchodźcę, prześladowanego przez rówieśników. Właściciel platformy X udostępnił ten materiał jako „wart obejrzenia”.

A co – wisi w powietrzu pytanie na Nowogrodzkiej – jeśli w związku z antyrosyjskością PiS otoczenie Trumpa postawi na Konfederację,

która jest najbardziej antyukraińska na polskiej scenie politycznej?

Nagle może się okazać, że jeśli Musk i inni najważniejsi ludzie Trumpa zaczną mieszać się w polską politykę, to wcale nie z korzyścią dla PiS.

I główna siła opozycyjna w Sejmie ze swoimi entuzjastycznymi okrzykami „Trump, Trump” zostanie z ręką w nocniku. ●



be i szybko wyrósł na jedną z ważnych postaci prawnicowego infotainmentu w USA.

W rozmowie z portalem wPolityce.pl Tarczyński opowiadał, na czym polegały jego działania w czasie amerykańskiej kampanii. – Współpracowałem ze sztabem Donalda Trumpa na wielu płaszczyznach. Zaczęliśmy od spotkań z Polonią, później były spotkania otwarte generalnie z wyborcami w USA. Zacząłem od udziału w największych amerykańskich podkastach, między innymi u Patricka Bet-Davida. Staraliśmy się pokazać w mediach amerykańskich europejską, polską rację stanu – wyliczał eurodeputowany PiS. – Przedstawiciele sztabu Trumpa poprosili mnie, abym w mediach przedstawił nasz punkt widzenia, to znaczy to, dlaczego zwycięstwo Trumpa jest istotne dla Europy, dla Polski.

Tarczyński uwija się jak może. PiS wcześniej głosił, że krytyczne opinie na temat rządu Morawieckiego prezentowane przez ówczesną opozycję na unijnym forum to zdrada, ale teraz sam krytykuje polski rząd w USA. – Mogę ujawnić, że sztab Donalda Trumpa otrzymał wszystkie materiały z negatywnymi wypowiedziami na jego temat – oznajmił europoseł. Podkreślił, że prezydent-elekt jest świadomy, co pisała na jego temat Anne Applebaum oraz co mówił o nim Tusk.

A mówił na jednym z wieców wyborczych, że „Trump i jego zależność od rosyjskich służb nie podlega dyskusji”, na co wskazuje dochodzenie amerykańskich służb. „Nie wykluczają, że Trump został wręcz zwerbowany przez rosyjskie służby 30 lat temu”.

Należący do Muska X, dawny Twitter, to ważna platforma uprawiania polityki, więc nie tylko w półprywatnych rozmowach za oceanem, ale również tam odbywa się walka o kapryśne sympatie trumpistów. Tarczyńskiemu na X odpowiedział Sikor-

wicy, Przemysławem Wiplerem, który jest politycznym ojcem chrzestnym kandydata Konfederacji.

– Duda ostatecznie będzie nas i Nawrockiego wspierał. To tylko Mastalerek trochę mąci, bo jest w złych relacjach z Nowogrodzką. Gra z Wiplerem, bo liczy na to, że Konfederacja przygarnie jego oraz doradcę prezydenta Łukasza Rzepeckiego na swoje listy. Bo póki u nas rządzi Jarosław Kaczyński, obaj nie mają czego szukać na Nowogrodzkiej – sądzi jeden z moich rozmówców.

Ciągle zabiegi, by kojarzyć się polskim wyborcom z Trumpem, niosą jednak rozmaite zagrożenia.

Bo co, jeśli Trump wymusi na Ukrainie daleko idące ustępstwa wobec Rosji? Co, jeśli nowy prezydent USA spełni większość warunków stawianych

Gdy ważny spin-doktor Kaczyńskiego troi się i dwoi, aby zaproszenie na zaprzysiężenie w Waszyngtonie dostał Karol Nawrocki, Morawiecki zgrabnie wepchnął się z boku. „Amerykanie doszli do wniosku, że jeden Polak wystarczy, a skoro Morawiecki załatwił sobie to najwcześniej, to reszta musi się z tym pogodzić”



• Jeden z agresorów na fotelu spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Wyciąga nogi na jej biurku, pozując fotografowi

FOT. JIM LO SCALZO/PAP

MÓJ DOM TRUMP EM PODZIELONY

Skazani za szturm na Kapitol siedzą razem, zajadają anchois, nagrywają podcasty i zastanawiają, jak spożytkować milionowe darowizny

Alek Korab

W e wrześniowy wieczór, w teatrze New York City Center na Manhattanie młody mężczyzna ogląda pierwszą w życiu sztukę teatralną. Ubrał się w garnitur, do którego nie jest przyzwyczajony. Kiedy na scenie grający ojca aktor krzyczy do syna: „Jeśli mnie wydasz, będziesz zdracą, a do zdrayców się strzela”, mężczyzna w garniturze nie może powstrzymać łez. Płacze, kiedy za chwilę zostaje zaproszony na scenę, aktorzy biorą go do wspólnego łańcucha i kłaniają się publiczności.

Oparta na nagraniach FBI i dokumentach sądowych sztuka „Fatherland” opowiada o wydarzeniach po pamiętnym ataku na Kapitol. Konkretnie o sprawie Gya Reffitta skazanego na siedem lat po tym, jak syn doniósł na niego do FBI. Płaczący mężczy-

zna to właśnie Jackson Reffitt. Niestety, Guy nie może uczestniczyć w premierze, bo odbywa karę w więzieniu w Fannin County w Teksasie.

Historia rodziny Reffitt odzwierciedla głębokie podziały, które zdominowały Amerykę, a Jackson jest współczesnym Pawką Morozowem i Antygoną w jednej osobie.

Wszystko zaczęło się 6 stycznia 2021 roku, kiedy to zwolennicy prezydenta Donalda Trumpa zaatakowali świątynię demokracji Stanów Zjednoczonych, żeby uniemożliwić zatwierdzenie zwycięstwa Joego Bidena po tym, jak wiceprezydent Mike Pence, mimo że Republikanin – i to nie starej daty, ale neokon, sympatyk Tea Party i zaufany Trumpa – odmówił unieważnienia wyników wyborów. FBI uznało to za akt terroryzmu wewnętrznego. Rannych zostało ponad 140 funkcjonariuszy, a pięć osób zginęło w trakcie zamieszek lub zaraz po nich. Straty materialne na Kapitolu wyniosły prawie 3 mln dolarów.

Ale straty niematerialne były niepoliczalne. Świat z otwartymi ustami (i słabo ukry-

waną Schadenfreude) obserwował, jak najpotężniejsze państwo na Ziemi zamienia się w republikę bananową, jak „jaśniejące miasto na wzgórzu, latarnia” demokracji pogrąża się w mroku wolnościowo-autorytarnego chaosu, zaatakowana przez własnych obywateli. Kamery na żywo pokazywały, jak zwykli ludzie, uzbrojeni w broń palną i noże, gaz pieprzowy, kije bejsbolowe i flagi zamienione na dzidy, wlewają się do świętego dla Amerykanów budynku Kapitolu, krzycząc: „Powiesić Pence’a!”.

Przerażony zastępca Trumpa, inni politycy i ich świta biegali po korytarzach, szukając schronienia. W tym czasie dzielni funkcjonariusze policji Kapitolu odwracali uwagę agresorów. Ręka jednego z policjantów zaklinowała się w drzwiach, które kiedyś próbowali zamknąć. Inny dostał zawału i zmarł dzień później, jeszcze inny w panice strzelił do szarżującej kobiety, zabijając ją na miejscu.

Po wdarciu się do Kapitolu tłum rozproszył się i zapanowała atmosfera pogromu oraz fiesty naraz. Grupki ciekawskich krążyły po korytarzach, oglądając porzucone w panice biura kongresmenów, zaglądając

do szafek, laptopów. Na ich własnych nagraniach widać, jak jeden z nich mości się na fotelu spikerki Izby Reprezentantów Nancy Pelosi. Wyciąga nogi na jej biurku, pokazując fotografowi agencji AFP grube podeszwy traperskich butów. Do pasa przypiął pistolet gazowy, na komodę obok zarzucił niedbale amerykańską flagę. Inny zapala jointa, kolejny ma przy pasie pęczki plastikowych kajdanek. Jeszcze inny – później najsławniejszy, bo najbardziej malowniczy – rozebrany od pasa, za to w futrzanej czapce z rogami bizona, pomalowany w wojenne barwy w kolorze czerwonym, białym i niebieskim, niesie dwumetrową włócznię z amerykańską flagą przywiązaną pod grotem. Któryś w geście pogardy używa biura jako toalety i zostawia politykom parującą pamiętkę swojej wizyty. W końcu spóźnione posiłki Gwardii Narodowej pozbywają się intruzów.

Nestor Republikanów Mitch McConnell, ówczesny republikański lider mniejszości w Senacie, oznajmia zaraz po wydarzeniach: „Tłum był karmiony kłamstwami. Został sprowokowany przez prezydenta i inne wpływowe osoby”. Wtórzuje mu

byli republikański lider większości w Izbie Reprezentantów Kevin McCarthy: „Przemoc, zniszczenie i chaos, które widzieliśmy wcześniej, były niedopuszczalne, nie-demokratyczne i nieamerykańskie”. Obaj są liderami partii, która dwa razy postawiła w prawyborach na Trumpa. „Tak właśnie kwestionuje się wyniki wyborów w republice bananowej” – dodaje George W. Bush, eksprezydent, ten sam, który wcześniej stał się symbolem neokonserwatywnej przemiany Grand Old Party.

Sam Trump, który obserwował zamieszki w telewizji, nie reagował na błagania rodzin, przyjaciół i polityków o wysłanie Gwardii Narodowej na Kapitol i zwlekał, jak długo mógł, z potępieniem szturmujących. Był zaskoczony, ale dumny, że walczą za niego, przekonywał otoczenie, że „jego ludzie nie są bandytami”, choć wydali mu się „nieco prostaccy” i winą za wszystko obarczył... Pence’a. A potem nazwał wydarzenia 6 stycznia „Dniem Miłości”.

Departament Stanu od razu rozpoczął największe dochodzenie karne w historii USA. Upokorzone państwo uruchomiło potężny walec, który ze stalową konsekwencją znajdował i karał sprawców. Sukces przedstawicielom prawa i porządku ułatwili sami protestujący, którzy nagrywali się smartfonami i z dumą rozpowszechniali nagrania w mediach społecznościowych. Ponad 1500 osobom postawiono zarzuty, w tym napaści na funkcjonariuszy, utrudniania postępowania urzędowego i spisku powstańczego. 1200 zostało skazanych lub przyznało się do winy, ponad 645 osób poszło za kraty. – Praktykuję prawo i nauczam prawa od ponad 50 lat i nigdy nie widziałem, aby Departament Sprawiedliwości działał tak szybko i skutecznie – komentuje profesor Mark Denbeaux, dyrektor Centrum Polityki i Badań Uniwersytetu Seton Hall.

Najwyższe wyroki to 18 lat więzienia dla Stewarta Rhodesa, założyciela prawicowej milicji Oath Keepers, oraz 22 lata dla Enrique’a Tarria, byłego lidera neonazistowskiej Proud Boys. I tu rodzą się pytania. Prof. Denbeaux: – To, że FBI postępowało tak szybko i sprawnie, sugeruje, że musiało mieć jeśli nie dowody, to poszlaki i nasłuchy o spiskach, zwłaszcza bojówkarzy z Oath Keepers i ekstremistów z Proud Boys, jeszcze przed 6 stycznia. Nie chciałbym zażartować jak miłośnik teorii spiskowych, ale: dlaczego federalni nic nie zrobili z tą wiedzą przed atakiem?

I rzeczywiście, na FBI spłynęła fala krytyki za gapiostwo. Raport Senatu z czerwca 2021 roku ujawnił poważne zaniedbania w gromadzeniu informacji wywiadowczych i – przede wszystkim – w komunikacji. Jak zauważył senator Gary Peters, atak był „w zasadzie zaplanowany na widoku w mediach społecznościowych”. Raport inspektora generalnego Departamentu Sprawiedliwości, opublikowany w grudniu, podkreślił „krytyczne niedopatrzenie”, gdy FBI nie przeprowadziło ankiety w 56 biurach terenowych, co zastępca dyrektora Paul Abbate opisał jako „podstawowy krok”. Raport Senatu zauważa też, że chociaż pojawiały się sygnały ostrzegawcze, policja Kapitolu nie uwzględniła ich w planach operacyjnych.

Jak zwykle przy takich okazjach nastąpił wysyp teorii spiskowych. Raport obala koronną – że FBI podlegało do udziału w zamieszkach. Owszem, federalni mieli 26 informatorów wśród szturmujących, a czworo tajniaków weszło do Kapitolu podczas zamieszek – czego nie powinni byli robić, ale reagowali na gorąco. A więc, zachowując proporcje, wydarzyło się mniej więcej to, co przed 11 września i zamachami na dwie wieże WTC: były sygnały, dowody, każdy coś wiedział, tylko zawiodła komunikacja i nikt nie połączył kropek.

Człowiek z butami na biurku, Richard „Bigo” Barnett, emerytowany strażak z Mem-

phis, dostał 4,5 roku więzienia. Prokurator nazwał zdjęcie z biura Pelosi „jednym z najbardziej znanych obrazów tego dnia, symbolizującym to, że uczestnicy zamieszek przejęli kontrolę zarówno nad świętym [dla demokracji] miejscem, jak i nad procesem politycznym z rąk wybranych przywódców narodu”. Barnett przyznał się też do pozostawienia czegoś, co później nazwał „wredną notatką” dla 80-letniej wówczas Pelosi. Brzmiała ona: „Nancy, Bigo tutaj był, suko”.

64-letni Barnett wyraził skruchę, gdy stanął na sądowej mównicy. „Nie powinienem był kłaść stóp na biurku” – powiedział ławnikom. „Wtedy wydawało mi się to zabawne, ale dziś wydaje się to być nietaktowne”. Gdy mimo to zapadł wyrok skazujący, zaczął utrzymywać, że padł ofiarą „prześladowań politycznych” – i sprzedawać słynne zdjęcie, opatrzone autografem, za 100 dolarów.

Barnett wygląda jak przeciętny Amerykanin, którego można minąć w kolejce po cheesburgera. – Z wyjątkiem rasy i płci, pod wieloma względami oskarżeni odzwierciedlają Amerykę – zauważa Donna Crawley, emerytowana profesor Ramapo College i konsultantka w Seton Hall University. – Oskarżeni nie różnią się statystycznie pod względem wykształcenia od całej białej populacji dorosłych Amerykanów. Ponadto nie różnią się radykalnie od reszty kraju w ogólnych kategoriach zawodowych.

Wskaźnik bankructw wśród szturmujących Kapitol był niemal dwukrotnie wyższy niż w całej populacji Ameryki

Crawley i Denbeaux przeanalizowali dane wszystkich oskarżonych i doszli do wniosku, że w większości byli oni białymi (92 proc.) mężczyznami (81,3 proc.). Największa grupa zawodowa wśród oskarżonych to właściciele firm (24,7 proc.), a tylko 35 osób (4,9 proc.) było bezrobotnych. Około 18,5 proc. oskarżonych miało przeszłość wojskową lub związaną z organami ścigania. Co czwarta osoba była uzbrojona. Co ciekawe, 72 proc. z nich wpadło po donosach ludzi z najbliższego otoczenia – tak jak Guy Reffitt.

Nie było tam może zbyt wielu bezrobotnych, ale z analizy „The Washington Post” wynika, że blisko 60 proc. aresztowanych miało udokumentowaną historię problemów finansowych, w tym bankructw, niezapłaconych podatków, eksmisji lub przejęć nieruchomości. Wskaźnik bankructw w tej grupie – 18 proc. – był niemal dwukrotnie wyższy niż w całej populacji Ameryki.

Ponad połowa z ludzi, którzy złamali prawo, żyła w ekonomicznej niepewności, i to w państwie, w którym ochrona socjalna jest minimalna. Ekspertcy sugerują, że trudności te mogły wzmocnić poczucie krzywdy i utraty dotychczasowej pozycji, co uczyniło ich bardziej podatnymi na manipulację. A retoryka Trumpa od początku kręciła się wokół zagrożeń dla „amerykańskiego stylu życia” i przedstawiała go jako tego, który przywróci Ameryce jej wielkość – co każdy mógł interpretować dowolnie, więc sfrustrowani i zdeklasowani odczytali to jako obietnicę powrotu do Ameryki lat 50. i 60., prosperity klasy robotniczej i małych, rodzinnych biznesów. Jak zauważyła w „The Washington Post” Cynthia Miller-Idriss, profesor nauk politycznych na Uniwersytecie Amerykańskim w Waszyngtonie: „Ta niepewność – w połączeniu z poczuciem zdrady lub gniewu, że ktoś coś odbiera – zmobilizowała wielu ludzi tamtego dnia”.

Jenna Ryan, 53-letnia agentka nieruchomości z Teksasu szturmująca Kapitol, jest doskonałym tego przykładem. Pomimo pozornych oznak sukcesu przez lata zmagala się z niestabilnością finansową, w tym z niezapłaconym podatkiem federalnym w wysokości 37 tys. dolarów, oraz z groźbą przejęcia jej domu. Te osobiste niepowodzenia wzmocniły jej wiarę w spisek oligarchii, finansistów, elit i waszyngtońskich biurokratów, aż koniec końców uwierzyła Trumpowi, że wybory sfalszowano. – Uwierzyłam w kłamstwo, a kłamstwo to kłamstwo, i to jest żenujące – powiedziała przed sądem. Dostała 60 dni więzienia i 1000 dolarów grzywny. Po odbyciu kary próbowała – bardzo po amerykańsku – sprzedać prawa do serialu dokumentalnego o sobie.

Pamiętacie człowieka z rogami bizo- na i wielką dzidą? Jacob A. Chansley, powszechnie znany jako „Szaman QAnon”, stał się najbardziej rozpoznawalną postacią szturm na Kapitol. Nie tylko z racji rzucanego się w oczy kostiumu, również aktywności – był jednym z najgłośniejszych szturmanów, zagrzewał innych za pomocą megafonu, tryumfalnie wkroczył do sali Senatu. Chansley ma dziś 37 lat i nie stracił wiary w... No właśnie, w co?

Dobrze przed 6 stycznia 2021 roku deklarował się jako zwolennik QAnon, pra-

wicowej teorii spiskowej i ruchu politycznego, który zaczął się w 2017 roku od internetowej plotki, że tajna grupa pedomilów czczących szatana kontroluje świat. Niejaki Q, sugerujący, że jest wysokim urzędnikiem z Waszyngtonu z dostępem do tajnych informacji, może nawet człowiekiem służb, opowieść o pedofilach satanistach szybko uzupełnił o zwyczajowe imaginarium teorii spiskowych o „głębokim państwie”; nowość stanowiły zasięgi, jakie zdobył, oraz teza, że ich wszystkich powstrzyma szeryf Trump.

Ale Szaman nie jest statystycznym Qanowcem, czyli sfrustrowanym mężczyzną w młodym lub średnim wieku, z kłopotami osobistymi i kompleksami, szukającym pociechy na forach internetowych w rodzaju Reddita. Chansley łączy poglądy prawicowe i incelskie z duchowo-religijnymi odłotami, fascynacją pogańskimi rytuałami i New Age.

Szaman został aresztowany wkrótce po zamieszkach, bo zidentyfikowanie kogoś uwiecznionego na setkach zdjęć, nie było zbyt trudne. Szybko przyznał się do winy w sprawie utrudniania oficjalnego postępowania, co jest przestępstwem federalnym. Został skazany na 41 miesięcy więzienia, dolną granicę federalnych wytycznych dotyczących kar, bo wyraził skruchę. Siedział do marca 2023 roku, po czym został warunkowo zwolniony. Jeszcze w areszcie Szaman zażądał, aby w więzieniu serwowano mu ekologiczne jedzenie, powołując się na swoje ściśle wymagania dietetyczne i przekonania duchowe. Jego prawnik argumentował, że odmowa naruszałaby prawa klienta: „To głęboko zakorzenione przekonanie religijne, które jest kluczowe dla mojego dobrego samopoczucia”. Co wywołało krótką, lecz intensywną debatę o prawach obywatelskich pod tytułem, „czy takie udogodnienia należą się komuś oskar-

żonemu o udział w antypaństwowej insurrekcji”.

Ostatecznie sąd przychylił się do jego wniosku, z czasem Szaman odzyskał też swoje artefakty – w grudniu sędzia nakazał rządowi zwrócić mu rogatą czapkę i włócznię. Chansley cały czas jest aktywny w mediach społecznościowych, próbował nawet sił w polityce – startował do Kongresu w Arizonie, lecz nie zebrał wymaganej liczby podpisów.

Wróćmy do młodego mężczyzny oglądającego sztukę na swój temat i jego ojca, jednego z pierwszych skazanych za atak na Kapitol. Historia rodziny Reffitt, opowieść o głębokim rozłamie, ucieleśnieniu podziały, które zdominowały życie i emocje mnóstwa amerykańskich rodzin w czasach politycznego ekstremizmu.

Tata, Guy Reffitt, niegdyś odnoszący sukcesy konsultant w przemyśle naftowym, po utracie pracy w 2016 roku coraz bardziej angażował się w MAGA, trumpistowski ruch Make America Great Again, znajdując w jego retoryce sens, cel i utracone poczucie wartości. Drogi Guya i jego syna Jacksona zaczęły się rozchodzić podczas pandemii. Zamknięci w domu angażowali się politycznie poprzez internet. Na ich nieszczęście algorytmy wypchnęły ich do przeciwstawnych baniek. Pod koniec 2020 roku Guy zaczął gromadzić broń i obiecywać, że wkrótce wydarzy się coś wielkiego. 6 stycznia dołączył do tłumy pod Kapitołem, uzbrojony w broń palną, grożąc, że wyciągnie Nancy Pelosi z budynku za kostki.

Jego córka Peyton wspominała później ostrzeżenie, które Guy skierował do dzieci: „Jeśli mnie wydadcie, jesteście zdrajcami, a zdrajcy są rozstrzeliwani”. Zszokowany Jackson, już wcześniej zaniepokojony zachowaniem ojca, wysłał do FBI donos w Wigilię. Ale FBI zareagowała dopiero po wydarzeniach 6 stycznia. W głośnym procesie syn przedstawiał SMS-y i nagrania rozmów, w których ojciec opisywał swoje doświadczenia na Kapitolu. Zeznania Jacksona przyczyniły się do skazania Guya za „przewożenie broni” – karabinu AR-15 i rewolweru Smith & Wesson – „w celach związanych z zamieszkami” i inne przestępstwa. Guy dostał ponad siedem lat więzienia, mimo że nie udowodniono mu wdarcia się na Kapitol.

Proces rozbił rodzinę. Matka Jacksona, Nicole, początkowo wspierała syna, ale później stała się głośną orędowniczką sprawy oskarżonych o wydarzenia z 6 stycznia. Co więcej, przeprowadziła się do Waszyngtonu, gdzie zaczęła organizować nocne czuwania dla „więźniów politycznych” i nawiązała kontakty z rodzinami innych oskarżonych. – Jestem osobą, która zawsze jest lojalna – mówiła dziennikarzom. – Ludzie mówią, że wychowałam anarchistę i posłubiłam terrorystę.

– Straciłem rodzinę w imię tego, co uważałem za słuszne. Ale wolę bronić tego, co moralnie słuszne, niż milczeć – tłumaczył w wywiadach syn. – Mój własny syn mnie wydał. To rozdziera serce, ale wierzę w prawdę, o którą walczyłem – odpowiadał ojciec.

Konflikt dotknął każdego z Reffittów inaczej. Córki śledziły dialog ojca i brata w publicznych mediach. Najmłodsza Peyton, początkowo wspierała brata, ale publiczna krytyka rodziny przyprawiła ją o ataki paniki, silne poczucie zdrady i lęki. Dziś ma trudności z odnalezieniem swojej tożsamości.

Najstarsza Sarah opisała rodzinę jako „superzżytą”, zanim polityczne podziały zaczęły ją rozdzierać. Tak jak Peyton, próbowała odbudować relacje, ale napięcia odcisnęły także na niej piętno. „Jackson został nazywany amerykańskim bohaterem. A ja mu po prostu powiedziałam: Nie jesteś bohaterem. To, co nam robisz, nie jest bohaterkie” – zwierzała się w „The Washington Post”.

Córki wspierają ojca, ale winą obarczają Trumpa. Nie mogą uwierzyć, że ich tata

został skazany, a Trump, który podzegał do przemocy, pozostał na wolności, ba, został znów wybrany na prezydenta!

Po latach rozłąki rodzina podjęła próbę pojednania. W maju 2024 roku Refitto-wie spotkali się w mieszkaniu Sarah. Pięciogodzinna rozmowa, choć napięta, była – jak potem opowiadali – krokiem w kierunku uzdrowienia. Ale wszyscy zastanawiają się, co będzie, gdy Guy wyjdzie z więzienia.

Jednych zamieszki podzieliły, innych połączyły. Dla wielu skazanych życie po 6 stycznia było pełne wyzwań. I ci odsiadujący lub po odsiadce, i ci, którym się upiekło, bo dostali tylko nadzór sądowy, borykają się z problemami finansowymi wynikającymi z kosztów prawnych, publiczną niesławą i utratą pracy.

Nicole Reffitt w Waszyngtonie dzieliła mieszkanie z Micki Witthoeft i Tamarą Perryman. Ich wspólny aktywizm przekształcił placyk pod więzieniem w Waszyngtonie w Róg Wolności – centrum nocnych czuwań, Polakowi od razu nasuwające skojarzenia z miesięcznikami smoleńskimi pod Pałacem Prezydenckim w pierwszych miesiącach po katastrofie. Co wieczór śpiewają tam hymn i wspierają osadzonych, skandując przez głośniki.

Micki Witthoeft jest mamą Ashli Babbitt, 35-letniej weteranki Sił Powietrznych z Kalifornii, która stała się ikoną protestujących. Jedno z nagrań uchwyciło jej ostatnie chwile, gdy próbowała wspiąć się przez rozbite okno prowadzące do korytarza Kapitolu. Za chwilę zastrzelił ją strażnik Michael Byrd. Ashli niemal z miejsca okrzyknięto męczennicą. Fora dyskusyjne zwolenników Trumpa do dziś wychwalają ją jako „bojowniczkę o wolność” i „pierwszą ofiarę drugiej wojny domowej”, przypominają jako 18-, 16-, nawet 13-latkę. A jej mama stała się niestrudzoną orędowniczką walki z systemem. Mówiąc o śmierci córki, Micki często powtarza: „Zostawili ją, by wykrwawiła się jak zdechły pies”, choć nagrania pokazują, że funkcjonariusze udzielali jej pierwszej pomocy zaraz po strzałach. Żal Micki przeplata się z gniewem – domaga się skazania Byrda.

Trzecia z kobiet, Tamara Perryman, ostrzegała 6 stycznia swojego chłopaka Briana Jacksona, żeby nie atakował funkcjonariuszy. Nie posłuchał, użył masztu od flagi, później przyznał się do winy. Został skazany na kilka lat więzienia. Przyciągnął uwagę mediów z powodu swojej przeszłości – na ciele ma tatuaże ze swastykami, pamiątki z wcześniejszego pobytu w więzieniu, kiedy to dołączył do gangu Białych Rycerzy. Prawnicy Jacksona twierdzili, że odciął się od tej grupy, ale nie miał środków na usunięcie tatuaży. Perryman, obwołana „Nazistowską Barbie”, przeprowadziła się do Waszyngtonu, aby wspierać Jacksona. A co zacieklejsi antyrepublikkańscy komentatorzy zyskali potwierdzenie i przykład do przywoływania, że trumpiści to nie tylko pravicowcy, ale wręcz neonaziści.

Dom, w którym zamieszkały Nicole, Micki i Tamara, jest nazywany Orlim Gniazdem, co też nasunęło obserwatorom historyczne konotacje. – Niektórzy mówią, że to nazwa kryjówki Hitlera. Ale my jesteśmy amerykańskimi obywatelami, wygraliśmy tę wojnę. To absolutnie nie jest hold dla Hitlera – odpierała Witthoeft.

Wiele osób skazanych za udział w ataku na Kapitol zostało umieszczonych w izolowanym skrzydle więzienia w Waszyngtonie, znanym jako – co w zależności od poglądów jedni biorą serio, inni w ironicznym cudzysłowie – Patriotyczne Skrzydło. Ta izolacja, mająca na celu ochronę „szturmowców” (przeważnie białych) przed resztą populacji więziennej (przeważnie czarnej) nieświadomie stworzyła inkubator ekstremistycznej ideologii (białej). W hermetycznym środowisku więźniowie dzielą się teoriami spiskowymi, koordynują wystąpienia medialne i pielęgnują wspólne poczucie krzywdy.



• **Zwolennicy Trumpa próbują przebić się przez barierki pod Kapitołem (6.01.2021).**
Bilans ataku: 5 osób zabitych, ponad 140 rannych policjantów, 3 mln dol strat materialnych FOT. AP/JOHN MINCHILLO

Trump obiecał ulaskawienia oskarżonym z 6 stycznia 2021, nazywając ich „więźniami politycznymi”. Ta nadzieja – i perspektywa odszkodowań – wzmacnia ich przekonanie o słuszności szturm

Eksperci ostrzegają, że takie warunki nie tylko wzmacniają ich radykalne przekonania, ale także kreują długoterminowe zagrożenie dla bezpieczeństwa publicznego.

W Patriotycznym Skrzydle osadzeni zaczęli co wieczór śpiewać hymn amerykański, co przerodziło się w ruch polityczny. Ich wersja hymnu, zmiksowana z recytacją przysięgi na wierność przez Trumpa, została wydana jako singiel „Justice for All” i trafiła na szczyty list iTunes w 2023 roku. Na przedwyborczym wiecu w Waco w Teksasie Trump, który jest samorodnym didżejem, puścił ten hit, podczas gdy na ekranie za nim odtwarzano obrazy zamieszek na Kapitolu. – To są patrioci – oznajmił kandydat. – Potraktowano ich bardzo niesprawiedliwie. Były osadzony Scott Fairlamb skomentował: „To przypominało nam, że nadal jesteśmy patriotami, niezależnie od tego, co o nas mówiono”.

Więźniowie Skrzydła korzystają z zaskakujących przywilejów, które rzadko przysługują standardowym osadzonym. Mają tablety i dostęp do internetu. Organizują nocne transmisje na żywo, publikują podcasty i utrzymują kontakt z siecią zwolenników, którzy regularnie zasilają ich konta więzienne i podsyłają im smakołyki. Magazyn „New York” donosi, że więźniowie chwalą się potrawami z anchois, małą i piersi z kurczaka – wszystko dzięki darowiznom z sieci instytucji i osób prywatnych w całym kraju, które regularnie zasilają konta pensjonariuszy w kantinach. – Te niemal kultowe zachowania wzmacniają spiskowy światopogląd osadzonych i ich przekonanie o słuszności własnych działań – zauważa Jon Lewis, ekspert ds. ekstremizmu z George Washington University.

David Dempsey, związany z organizacją Proud Boys, opisał tę odsiadkę jako doświadczenie podobne do służby wojskowej. – Nie spotkałem tu nikogo, kto żałowałby 6 stycznia – przyznał osadzony Dominic Box. – Albo kto nie uważałby tego za szlachetną sprawę.

Michael Jensen, dyrektor ds. badań w Narodowym Konsorcjum Badań nad

Terroryzmem i Reakcjami na Terroryzm (START), w magazynie „New York” porównuje strukturę Patriotycznego Skrzydła do Irlandzkiej Armii Republikańskiej. Członkowie IRA wykorzystali wspólne uwięzienie do wzmocnienia ruchu, umocnienia ideologii i rekrutacji nowych członków. A osadzeni z Patriotycznego Skrzydła wzmacniają swoje przekonania i budują sieci, które mogą umożliwić im przyszłe skoordynowane działania. – Zbiorowe osadzenie uczestników zamieszek może zadziałać jak akcelerator działań ekstremistycznych – ostrzega Lewis.

Łącząc w Patriotycznym Skrzydle, więźniowie przechodzą proces selekcji, który zapewnia ideologiczną spójność grupy. Box wspominał, że po przybyciu był przesłuchiwany przez współwięźniów, którzy chcieli poznać jego poglądy, polityczną aktywność i szczegóły jego sprawy sądowej. Ci, którzy nie spełniają standardów grupy, są izolowani lub zmuszani do odejścia. – Mówimy strażnikom, żeby ich usunęli – wyjaśnił Dempsey.

Zewnętrzna sieć wsparcia Skrzydła może imponować nawet IRA. Według magazynu „New York” grupy takie jak Patriot Mail Project i Hughes Advocacy Foundation przekazują miliony dolarów na konta więźniów. Darowiznom często towarzyszą wyrazy wsparcia, takie jak ta od zwolennika QAnon: „Ta administracja jest czystym złem, robiąc to prawym obywatelom takim jak ty. Trzymaj się”.

Dzięki tym kanałom więźniowie utrzymują stale, intensywne więzi ze światem zewnętrznym, rozpowszechniając swoją ideologię i budując narrację o prześladowaniu. Ich media, w tym wideopodcast „The DC Gulag”, nadają stały strumień teorii spiskowych i usprawiedliwień wydarzeń 6 stycznia. Czołówka podcastu opisuje atak na Kapitol jako uzasadnioną reakcję na „skradzione wybory” i przedstawia oskarżonych jako prześladowanych patriotów. Eksperci od terroryzmu ostrzegają: „Osadzanie zradykalizowanych osób razem to tykająca bomba, która wybuchnie po ich wyjściu”.

„Tykająca bomba” wygrała wybory. Dla więźniów z Patriotycznego Skrzydła powrót Trumpa do władzy jest siłą jednoczącą, a perspektywa prezydenckich ulaskawień nie tylko podnosi ich na duchu, ale dodaje pewności siebie. „Zielone Trumpa,” jak nazywają potencjalne odszkodowania, postrzegają jako zadośćuczynienie za prześladowanie. Ta wspólna nadzieja napędza ich oddanie sprawie i wzmacnia przekonanie o słuszności ich działań.

Trump obiecał ulaskawienia wielu oskarżonym z 6 stycznia, nazywając ich „więźniami politycznymi”. Wśród prawników i sędziów zapanowało poruszenie, bo takie posunięcia zachęcają potencjalnych ekstremistów i umożliwiają podważenie odpowiedzialności za akty przemocy w innych przypadkach. – Przepisywanie historii 6 stycznia 2021 roku jest niezwykle niepokojące – powiedziała sędzia Beryl Howell.

Im bliżej objęcia urzędu przez Trumpa, tym więcej wniosków o odroczenie procesu lub wykonania wyroku składali adwokaci obrony. Sędziowie federalni podkreślają, że ich etosem jest egzekwowanie prawa niezależnie od rozwoju sytuacji politycznej. Ale czy będą tego samego zdania, gdy za parę dni cała państwowa hierarchia odwróci się do góry nogami?

Tymczasem kilka skazanych osób nie bawiło się w czekanie na łaskę i ruszyło do polityki, licząc, że poniesie je trumpistowska, altrightowa fala i efekt zwycięzcy. Jason Riddle, który przyznał się do wtargnięcia do Kapitolu, „wypicia butelki wina w budynku” i kradzieży mienia rządowego, za co odsiedział 90 dni, kandyduje do Kongresu w Drugim Okręgu New Hampshire. Derrick Evans, były delegat stanu Wirginia Zachodnia – też odsiedział trzy miesiące – próbował ponownie kandydować do Kongresu w Pierwszym Okręgu Wirginii Zachodniej, ale przegrał z urzędującym Republikaninem. Kimberly Dragoo, która przyznała się do winy w sprawie wykroczenia związanego z zamieszkami, starała się o miejsce w zarządzie edukacji St. Joseph, ale choć to Missouri, jej kandydatura przepadła.

A Treniss Evans, skazany na 20 dni więzienia za wtargnięcie do zastrzeżonych obszarów Kapitolu, próbuje zaistnieć w polityce, wchodząc do niej kuchennymi, aktywistycznymi drzwiami: założył grupę Condemned USA, która oferuje pomoc prawną i wsparcie publiczne innym osobom zaangażowanym w „incydent” w Kapitolu. Stwierdza: „Kiedyś ufałem naszemu systemowi sądowiczemu, ale teraz widzę i rozumiem, dlaczego mniejszości i ludzie o niskich dochodach wyrażali obawy”.

Nie wiemy natomiast, co teraz czują Jackson Reffitt i setki osób, które spełniły patriotyczny obowiązek i doniosły na uczestników zamachu stanu. Słowa ojca: „Jeśli mnie wydasz, będziesz zdrajcą, a zdrajców się rozstrzelują”, były być może czczymi groźbami. Ale co, jeśli nie?

A karabin AR-15 zawieszony w pierwszym akcie, wedle reguły Czechowa, wypali w akcie jeśli nie w drugim, to w trzecim. ●

Alek Korab

• przedsiębiorca medialny, dziennikarz, redaktor. Urodził się w Rzeszowie, współtworzył polski dziennik „Metropol”, był redaktorem naczelnym „Metra” – jednej z największych gazet codziennych w USA – kierując jej redakcjami w Nowym Jorku, Bostonie i Filadelfii. Prowadził lub uruchamiał projekty medialne w 14 krajach (m.in. w Hiszpanii, Szwecji, Czechach, Francji, Brazylii, Chile), współpracując m.in. z Lady Gagą, Richardem Bransonem i Karlem Lagerfeldem. Mieszka na Brooklynie w Nowym Jorku z partnerką Magdą, córką Stefanią i suczką Prymską. W tym roku po otrzymaniu amerykańskiego obywatelstwa wraz z Magdą po raz pierwszy brał udział w wyborach prezydenckich.

100

-procentowo amerykański prezydent

Mateusz Mazzini

W Polsce trwają przygotowania do Okrągłego Stołu, partia znosi kartki na benzynę, węgiel i samochody, a magazyn „Time” po raz pierwszy pokazuje na okładce Donalda Johna Trumpa:

„Oto mężczyzna, przez którego zazielenisz się z zazdrości albo który cię do siebie zniechęci”.

W poniedziałek Donald John Trump zostanie zaprzysiężony jako 47. prezydent Stanów Zjednoczonych. Choć o jego poprzedniej kadencji i stylu uprawiania polityki mówi się, że jest całkowitym zaprzeczeniem amerykańskich tradycji demokratycznych, tak naprawdę Trump to prezydent i polityk na wskroś amerykański.

★
W kontekście majątku osobistego trudno mówić o wyjątkowości Trumpa. Rodzinne finanse są owiane tajemnicą, a prezydent elekt zaliczył kilka spektakularnych bankructw i raczej nie jest aż tak bogaty, jak opowiada, ale wywodzi się bezpośrednio z nowojorskiej elity finansowej. To też nie pierwszy tego typu amerykański przywódca. Zamożny z domu był John F. Kennedy, którego fortuna wynosiła – po wzięciu pod uwagę inflacji – około miliarda dzisiejszych dolarów. Sporym majątkiem cieszył się jego następca Lyndon B. Johnson, który inwestował w nieruchomości, miał własne stacje radiowe i telewizyjne.

★
Włączanie najbliższej rodziny w działalność prezydenta jest typowe dla amerykańskiej polityki. W poprzedniej kadencji Trumpa jego doradcami byli córka Ivanka i jej mąż Jared Kushner, tym razem bliżej ojca ma się znaleźć brat Ivanka Donald Jr. Tak może powstać kolejna wielka amerykańska dynastia polityczna na miarę Clintonów, Bushów, a może nawet Kennedych. Nepotyzm na najwyższych szczeblach polityki za oceanem istniał też w administracjach Woodrowa Wilsona czy Franklina D. Roosevelta.



• **14 czerwca 1946 r.** • **Donald John Trump** przychodzi na świat w New York Presbyterian Hospital na Manhattanie.

Większość dzieciństwa spędził w Queens, nowojorskiej dzielnicy przechodzącej wówczas ogromną transformację społeczną. Sprawdzali się tam imigranci, zwłaszcza z Irlandii, Włoch i Niemiec, oraz sporo rodzin z klasy średniej z innych części miasta. W Queens aktywny zawodo-

wo był jego ojciec, deweloper Fred Trump. Podejrzewano go o związki z mafią, ale niczego nie udowodniono. W 2016 r. FBI odtajniło jego teczkę – jej zawartość liczyła zaledwie osiem stron. Agenci wiedzieli, że deweloper ma koneksje wśród gangsterów, ale dowodów na łamach prawa nie znaleźli. Matką Donalda była urodzona w Szkocji Mary MacLeod, kobieta raczej wycofana, we własnej rodzinie uważana za outsiderkę. Razem z Fredem przez lata udawali, że rodzina Trumpów pochodzi ze Szwecji, a nie z Niemiec, żeby nie drażnić podwykonawców na budowach, spośród których wielu było Żydami. Donald John Trump był czwartym z pięciorga dzieci w rodzinie. Do dziś żyje jego starsza o cztery lata siostra Elizabeth Trump Grau.

• **14 lutego 1983 r.** • **otwarcie Trump Tower w Nowym Jorku.** Budynek ma 58 pięter i obecnie jest główną siedzibą Trump Organization, rodzinnego holdingu biznesowego. W atrium znajduje się ponad 18-metrowy wodospad, a w samym budynku: biura, butiki, restauracje i luksusowe apartamenty. Trump Tower to przepych i wyraziste złote akcenty wykończeniowe.



• **1 listopada 1987 r.** • **premiera „The Art of The Deal”, biznesowego poradnika Trumpa** i dziennikarza Tony’ego Schwartza. Kilka lat później Schwartz ujawnił, że to on napisał zdecydowaną większość książki, w tym rozdziały, do których prawa przypisuje sobie Trump. „The Art of The Deal” był jednym z pierwszych elementów budowy marki osobistej Trumpa w popkulturze. Książka przez 48 tygodni nie schodziła z listy bestsellerów „New York Timesa”, do dziś sprzedano około miliona egzemplarzy (a według Trumpa dziesiątki milionów).

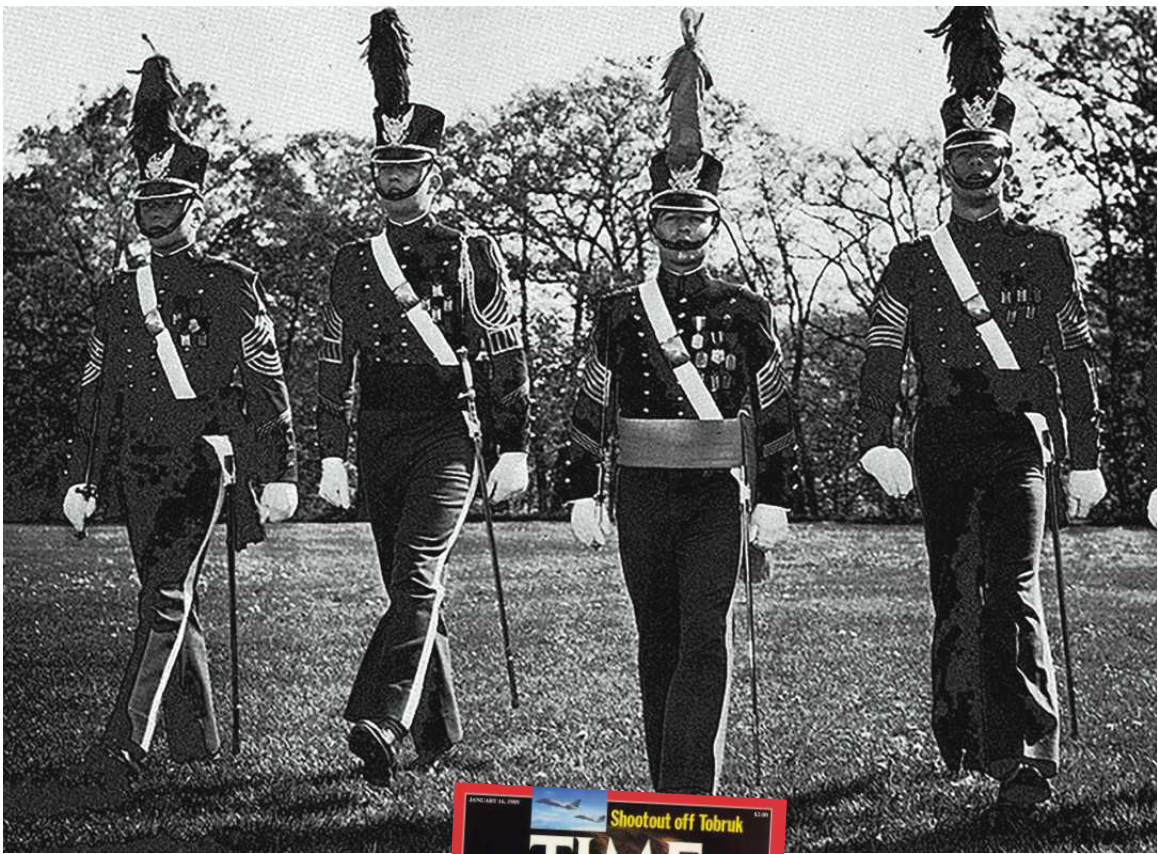


• **7 kwietnia 1977 r.**
• **pierwszy ślub. Ivana Zelníčková**, narciarka i instruktorka, reprezentowała Czechosłowację kraj w młodzieżowych zawodach, a później twierdziła, że brano ją pod uwagę przy ustalaniu kadry na olimpiadę w Sapporo w 1972 r. Wyjechała z kraju w 1971 r. dzięki platonicznemu małżeństwu z austriackim trenerem Alfredem Winklmayrem. Po roku się rozwiodła i wyjechała do Los Angeles. Żoną Trumpa była do grudnia 1990 r. Z tego związku prezydent ma trójkę dzieci: Erica, Iwanke oraz Donalda Jr. Po Trumpie miała jeszcze dwóch mężów.

• **22 stycznia 2005 r.**
• **ślub z Melanią Knauss**, pochodząca ze Słowenii modelką. Ceremonia odbyła się w posiadłości Mar-a-Lago na Florydzie. Państwo młodzi zaprosili ponad 350 gości, w tym Billa i Hillary Clintonów. Główną atrakcją artystyczną wieczoru był występ New York City Ballet. Panna młoda miała na sobie suknię Diora specjalnie zaprojektowaną przez Johna Galliano. Donald i Melania mają syna, 18-letniego Barrona.



• **1959 rok** • **Rodzice wysyłają Donalda do New York Military Academy**, prywatnej szkoły z internatem, znanej z nacisku na dyscyplinę. Powód - 13-latek ma problemy z koncentracją i niewłaściwie się zachowuje w domu. Spędzi w mundurze kadeta pięć lat, ukończy szkołę jako jeden z najlepszych w roczniku. Zostanie też zapamiętany jako dobry sportowiec, wyróżniający się zwłaszcza w baseballu. Na zdjęciu drugi z lewej.



200

• **MLN DOLARÓW**
suma wpłat na funduszy inauguracyjny Trumpa w 2025 r. Żaden inny prezydent nie zgromadził takiej kwoty. Republikanina w tym roku sporymi pieniędzmi wsparty zwłaszcza firmy technologiczne: Apple, OpenAI, Google, Microsoft i Amazon przekazały po milionie dolarów. Przed inauguracją Joeego Bidena większość z tych spółek wstrzymało się całkowicie od wpłat. Nadwyżka, która zostanie po ceremonii, będzie przeznaczona na budowę biblioteki prezydenckiej Donalda J. Trumpa.

★
Nie jest pierwszym, który do Białego Domu wróci po trwającej jedną kadencję przerwie – udało się to Groverowi Clevelandowi pod koniec XIX wieku.

• **14 listopada 1987 r.** • **otwarcie po ponadrocznym remoncie popularnego lodowiska Wollman Rink w Central Parku.** Należący do miasta obiekt miał być odnowiony wcześniej, ale władze Nowego Jorku borykały się z problemami finansowymi. Trump wziął na siebie renowację i skończył ją cztery miesiące przed terminem za 2,25 mln dol. – znacznie mniej, niż zakładały miejskie szacunki.



• **13 czerwca 1988 r.** • **walka Mike'a Tysona z Michaeliem Spinksem o pas mistrzowski wagi ciężkiej.** Tyson wygrał w 91 sekund. Była to pierwsza walka stoczona przez wybitnego pięściarza w budynku należącym do Trumpa – a konkretnie w Trump Plaza Hotel and Casino w Atlantic City. Trumpa i Tysona łączyła bliska relacja, deweloper wspierał finansowo karierę boksera. W końcówce lat 80. popularna w nowojorskiej socjocie była plotka o romansie Trumpa z Robin Givens, ówczesną żoną Tysona. Trump nigdy tego nie potwierdził, choć zmyślnymi lub wyolbrzymionymi sukcesami w biznesie i życiu osobistym chwali się bez skrępowania.



• **16 stycznia 1989 r.** • **Donald Trump po raz pierwszy pojawia się na okładce „Time”.** Nagłówek brzmi: „Oto mężczyzna, przez którego zazielenisz się z zazdrości albo który cię do siebie zniechęci”. Magazyn opisał go jako jednego z najważniejszych graczy na nowojorskiej scenie deweloperskiej, opromienionego sukcesami prestiżowych inwestycji, takich jak Trump Tower czy Trump Plaza Hotel.

• **8 stycznia 2004 r.** • **premiera pierwszego odcinka „The Apprentice” w telewizji NBC.** Koncepcja programu była banalnie prosta: widzowie oglądali zmagania kandydatów ubiegających się o pracę w Trump Organization. Na koniec każdego odcinka pojawiał się sam Trump, eliminując jednego z uczestników hasłem, które weszło do kanonu amerykańskiej popkultury: „You're fired!”, czyli: „Jesteś zwolniony!”. Program utrzymał się na antenie przez 15 sezonów.



2015

• **TYSIĄCA pracowników liczy Trump Organization.** Jak na amerykańskie warunki, Trump Organization jest biznesem skromnym i niewielkim, zarówno pod względem przychodów – w ubiegłym roku, według danych własnych spółki, 600 mln dol. – jak i zatrudnienia czy skali operacji. Głównym obszarem jej działalności są projekty deweloperskie i zarządzanie nieruchomościami, zwłaszcza z segmentu „premium”.



• **2004 rok • w „Toys R Us”, jednej z największych sieci sklepów z zabawkami, pojawiają się figurki Trumpa.** To część akcji promocyjnej związanej z premierą programu „The Apprentice”, którym Trump potwierdził swój status gwiazdy popkultury.

• **1987 rok • spotkanie zdobywającego sławę biznesmena z prezydentem Ronaldem Reaganem w Białym Domu.** Wielu współpracowników Reagana stało się później architektami politycznego sukcesu Trumpa: Roger Stone, Paul Manafort czy Larry Kudlow.



• **1992 rok • występ w filmie „Kevin sam w Nowym Jorku”,** kontynuacji „Kevina samego w domu”. Kevin spotyka Trumpa w holu hotelu Plaza i pyta o drogę. Rólka była częścią umowy, którą zawarli z nim producenci filmu – był kręcony w hotelu Trumpa.



• **Marzec 2011 r. • Donald Trump po raz pierwszy publicznie zarzuca urzędującemu prezydentowi Barackowi Obamie fałszowanie dokumentów i zagraniczne pochodzenie.** Według Trumpa Obama nie jest pełnoprawnym prezydentem, bo urodził się w Kenii, a nie w Stanach Zjednoczonych, więc zgodnie z prawem nie mógł się ubiegać o urząd głowy państwa. To początek ruchu zwanego birtherism i pierwszy moment poważnego zaangażowania się Trumpa w politykę.



• **7 października 2016 r. • „The Washington Post” publikuje artykuł o taśmie z nagraniem programu „Access Hollywood” z 2005 r.** Trump chwali się gospodarzowi programu Billy’emu Bushowi swoją taktyką podbojów seksualnych: zaczyna „całować kobiety, to jest jak magnes”. Nawet nie czeka, „całuję. Jeśli jesteś gwiazdą, po prostu ci na to pozwalają. Możesz zrobić wszystko. Złapać za cipkę”. Choć artykuł opublikowano na finiszu kampanii wyborczej, nie zaszkodziło to pozycji Trumpa.



• **Grudzień 2016 r. • mecz golfa z Tigerem Woodsem,** najbardziej znanym i jednym z najbardziej utytułowanych zawodników w historii dyscypliny. Woods, zdobywca 14 ważnych tytułów, powie mediom, że Trump „gra całkiem nieźle jak na 70-latkę”. Golf do dziś pozostaje ulubioną – poza oglądaniem telewizji – formą spędzania czasu wolnego przez prezydenta. Trump Organization kontroluje 17 pól golfowych w: USA, Katarze, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i w Wielkiej Brytanii.

• **27 stycznia 2017 r. • wchodzi w życie 90-dniowy zakaz wjazdu na teren USA dla obywateli siedmiu krajów: Iranu, Iraku, Libii, Somalii, Sudanu, Syrii oraz Jemenu.** Decyzją Trumpa na 120 dni zawieszono też program azylowy, całkowicie wstrzymano rozpatrywanie wniosków o ochronę prawną dla uchodźców z Syrii. Decyzja spotkała się z ogromną krytyką polityków Partii Demokratycznej i całego społeczeństwa obywatelskiego. Wywołała też chaos prawny, bo służby graniczne wielokrotnie zakazywały wstępu do kraju obywatelom USA mającym także paszporty krajów z czarnej listy.

FOT. TIMOTHY FADEK/EAST NEWS, PICTORIAL PRESS LTD / ALAMY / BEW, RONALD REAGAN PRESIDENTIAL LIBRARY, TIMOTHY A. CLARY/AFP/EAST NEWS, PETE SOUZA / THE WHITE HOUSE, MCNAMEE/GETTY IMAGES, THE WHITE HOUSE, MICHAEL KLIMENTYEV / SPUTNIK/EPA/PAP, KEN CEDENO/EPA/PAP, DAVID MAXWELL/EPA/PAP



• **20 października 2024 r.** - kandydat Trump serwuje frytki klientom McDonald's na przedmieściach Filadelfii. Jego sztabowcy twierdzili potem, że przepracował całą zmianę na stanowisku przy frytkownicy, ale naprawdę był tam znacznie krócej. Restauracja była zamknięta, obsługiwane osoby wcześniej wybrał sztab.

14

PROCENT
Amerykanów uważa Trumpa za osobę „bardzo religijną”. Son-
daż przeprowadzono na zlecenie
agencji AP jesienią, na finiszu
kampanii. Cztery lata wcześniej
podobne pytanie zadało prestiżowe
centrum badań opinii publicznej
Pew Research Center. Aż 63 proc.
odpowiedziało, że nie wierzy, by
Trump był w ogóle religijny. To poka-
zuje sprawność sztabu Trumpa
w kreowaniu jego wizerunku jako
osoby o poglądach konserwatyw-
nych – choć on sam rzadko mówi
o kwestiach religijnych we własnym
kontekście, ma bardzo wysokie
poparcie w najbardziej religijnym
elektoracie.

• **20 stycznia 2017 r.** • **inau-
guracja pierwszej prezydentury
Trumpa.** Od początku organizacji
imprezy towarzyszyły poważne
problemy. Żadna z gwiazd muzyki
rozrywkowej nie chciała wystąpić,
ostatecznie zdecydowano się na
Jackie Evancho, śpiewającą głównie
covery wokalistkę znaną z amerykań-
skiej edycji programu „Idol”. Trumpa
na żywo oglądało wówczas między
300 a 600 tys. osób – nawet ta
większa liczba oznaczałaby trzy razy
mniejszą publikę od tej na inaugura-
cji pierwszej prezydentury Obamy
w 2009 r.



★
**Dwukrotny impe-
achment naznaczył po-
przednie rządy Trumpa – pod
tym względem prezydent elekt
jest akurat rekordzistą, bo nikt
wcześniej nie został w ten sposób uka-
rany dwa razy. Ale impeachment urzę-
dującego prezydenta bez pozbawienia
go funkcji głowy państwa miał miej-
sce dwukrotnie – za rządów
Andrew Johnsona (1868 r.)
oraz Billa Clintona
(1998 r.).**



• **7 lipca 2017 r.** • **pierwsze spotkanie Trumpa i Putina w roli głów
państw.** Wcześniej spotkali się w Limie w listopadzie 2016 r. – Trump był
już prezydentem elektem, ale jeszcze nie został zaprzysiężony. Spotkanie
z lipca, zorganizowane na marginesie szczytu G20 w Hamburgu, przeszło
do historii z powodu bardzo koncyliacyjnego tonu Trumpa, za który kryty-
kowali go nawet wysocy współpracownicy z własnej administracji.

• **12 czerwca 2018 r.** • **pierw-
sze spotkanie Trumpa i Kim
Dżong Una.** Doszło do niego na
neutralnym terenie, w Singapurze,
gdzie Kim dostał się drogą lądową
i morską. Koreański dyktator znany
jest z unikania podróży lotniczych
w obawie o życie. Trump zapo-
wiała, że zmusi go do porzucenia
ambicji nuklearnych i po spotkaniu
twierdził, że osiągnął cel. Szczyt nie
przyniósł jednak żadnych trwałych
konsekwencji – Korea Północna
do dziś rozwija program zbrojeń
jądrowych.



• **23 kwietnia 2020 r.** • **po-
winno się rozważyć stosowanie
wybielacza jako środka leczni-
czego w przypadku zachorowa-
nia na Covid-19** – sugeruje przed
dziennikarzami Trump w czasie
konferencji prasowej w Białym
Domu. Mówi, że takie preparaty
„wykonują niesamowite numery
w płucach”, w związku z czym cie-
kawie byłoby rozważenie podawania
wybielacza doustnie lub dożył-
nie. Lekarze, naukowcy, na-
wet producenci wybielaczy
szybko wystosowali ostrze-
gawcze oświadczenia.
A Trump oznajmił,
że komentarz miał
charakter sarka-
styczny i nie po-
winien być brany
dosłownie.



• **13 lipca 2024 r.** • **kandydat
Republikanów został postrze-
lony w trakcie wiecu kampa-
ijnego w miejscowości Butler
w Pensylwanii.** Nabój drasnął go
w prawe ucho. Zamachowiec zabił
jedną osobę wśród publiczności
i ranił dwie inne. Podczas ewaku-
acji ze sceny Trump zatrzymał na
moment agentów Secret Service,
uniósł w górę pięść w geście zwy-
cięstwa i zaczął zagrzewać tłum
do walki. Ten moment stał się
jednym z symboli ubiegłorocznej
kampanii prezydenckiej.

Największym problemem resortu Wróblewskiej jest komunikacja. To paradoks w sytuacji, gdy minister kultury jest bliżej środowiska, niż był kiedykolwiek wcześniej. Jak wypada bilans resortu?

Komu przeszkadza ministra Wróblewska?

LAMENT KMICICA

Witold Mrozek

Nikt nie chciał tego ministerstwa” – mówi mi jedna z polityczek koalicji rządzącej. Trzeba znosić głośnie pretensje znanych ludzi filmu czy teatru, no i dzielić pieniądze, których zawsze jest za mało.

Obecnie rządzącej ministry kultury nie było na giełdzie nazwisk, którą ekscytowano się dziewięć miesięcy temu, gdy dotychczasowy szef resortu Bartłomiej Sienkiewicz wyjeżdżał do europarlamentu. Jednak to nie Paweł Kowal czy Małgorzata Kidawa-Błońska, ale Hanna Wróblewska zastąpiła Sienkiewicza. Jest jedną z nielicznych bezpartyjnych ekspertek w łączącym wiele ugrupowań i zdominowanym przez zawodowych polityków rządzie Donalda Tuska.

Profesjonalistka z Zachęty

Wróblewska (rocznik 1968) z wykształcenia jest historyczką sztuki. Przez zdecydowaną większość zawodowego życia związana była z Zachętą – Narodową Galerią Sztuki, gdzie trafiła jeszcze jako studentka historii sztuki w 1990 roku. Znała tę instytucję od podszewki – była przewodniczką, asystentką kuratora, kuratorką, wicedyrektorką, wreszcie dyrektorką. Ma opinię profesjonalistki. Gdy straciła stanowisko w Zachęcie za rządów PiS, szybko odnalazła się jako wicedyrektorka w nowo powstałym decyzją Piotra Glińskiego Muzeum Getta Warszawskiego.

– Wierzę w instytucje publiczne – mówiła Wróblewska „Wyborczej” zapytana o tamtą decyzję w 2022 roku.

Półtora roku później stanowisko ministra kultury objął Sienkiewicz, a Wróblewska została dyrektorką departamentu instytucji kultury. Ale jej awans na ministrę był zaskoczeniem. Przyjętym przez większość branży entuzjastycznie. Dziś to się zmienia.

– Jestem na stanowisku i pozycji tak zwanej władzy. To naturalne, że w stosunku do władzy jest się opozycją i stawia się wymagania. A że jestem postrzegana jako osoba znana czy koleżanka? Nie traktuję tego emocjonalnie ani osobiście. To naturalne, że nie wszyscy będą zgadzać się z moimi decyzjami i będą mnie popierać – mówiła w listopadzie 2024 w wywiadzie dla „Wyborczej”.

Komu dyrektację, komu

Najwięcej emocji, jak zawsze, budzą personalia. Zwłaszcza dyrektorskie.

Większość teatrów czy muzeów w Polsce to instytucje samorządowe, gdzie konkursy od lat są obowiązkowe, a zgodę na odstępianie od nich musi wyrazić minister kultury. Ale już w instytucjach podległych bezpośrednio ministrowi tenże minister – czy ministra, jak woli o sobie mówić Wróblewska – ma wolną rękę.

Przed rządami Wróblewskiej obsadzanie dyrektora państwowej instytucji kultury w konkursie było sytuacją wyjątkową. Ona sama była powołana w 2010 roku bez konkursu na stanowisko szefowej Zachęty przez ministra Bogdana Zdrojewskiego. „Żeby nie dogmatyzować – procedury muszą mieć cel. Więc jeżeli miałam poczucie, że jestem gotowa, mogę to zrobić i oszczędzi to pewnych wahnięć... Znałam instytucję, miałam swoje osiągnięcia i byłam wiarygodna. To byłby konkurs dla konkursu” – opisywała Wróblewska w wywiadzie dla „Dwutygodnika”.

Dziś, za jej rządów, konkurs jest normą – podkreślmy, pierwszy raz w historii polskiego Ministerstwa Kultury. Obecnie trwa kilkanaście konkursów, a kilka zostało już przeprowadzonych. Nową dyrektorkę Zachęty Agnieszkę Pinderę wybrano w konkursie, podobne decyzje kadrowe czekają m.in.: Centrum Sztuki Współczesnej – Zamek Ujazdowski, Filharmonię Narodową, Muzeum Sztuki Nowoczesnej i Muzeum Narodowe w Warszawie.

Inna sprawa to sposób, w jaki konkursy się odbywają. O ile ten w Zachęcie nie budził zastrzeżeń,

to już fakt, że w Teatrze Narodowym czy Instytucie Teatralnym odbywają się konkursy zamknięte, powoduje krytykę. Chodzi o to, że kandydaci, których program ocenia komisja ekspercka, nie zgłaszają się sami, ale są zapraszani. Z drugiej jednak strony część środowiska teatralnego, ta bardziej zachowawcza, sama po cichu zabiegała, by w tak nobliwej instytucji, jaką jest Teatr Narodowy, konkurs nie był otwarty „dla każdego z ulicy”.

Kino polityczne

Środowisko artystyczne znalazło się w ciekawym momencie – zawieszone między próbami klientelistycznego załatwiania swoich interesów starymi metodami a rosnącą retoryką żądania transparentności, jawności i partycypacji.

Szczególnie widać to w najgłośniejszej aferze świata kultury ostatnich miesięcy – sytuacji wokół Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej.

Najpierw, 4 lipca, na dyrektorkę PISF została wybrana Karolina Rozwód, która zapowiadała zwiększenie przejrzystości funkcjonowania Instytutu. Rozwód była wcześniej dyrektorką impresaryjnego Teatru Starego w Lublinie i epizodyczną szefową festiwalu Malta w Poznaniu. 30 października Rozwód zrezygnowała „z powodów osobistych”, by parę dni później ogłosić, że Wróblewska ją do dymisji zmusiła. Chciała też wycofać rezygnację. Wróblewska zarzuciła Rozwód, że ta nie wywiązywała się ze swoich obowiązków.

Emocje są ogromne, bo jeśli chodzi o świat kultury, to największe pieniądze są właśnie w filmie, przy czym nigdy nie mówiono o nich zbyt chętnie. Z jednej strony dotacje z PISF to środki publiczne, z drugiej – producenci działają na rynku, kontrakty obejmowane są klauzulami poufności czy tajemnicą handlową. Po chaosie i zaniedbaniach lat 90., kiedy kinematografię praktycznie sprywatyzowano, pod koniec rządów SLD Sejm przyjął ustawę o kinematografii i stworzył PISF, przywracając państwowy mecenat w kinie. Ale balans między wpływami polityków a filmowców zawsze był tu nie końca jasny.



FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ustawa mówi na przykład, że to minister projektuje kierunki realizacji polityki państwa w dziedzinie kinematografii, a PISF realizuje tę politykę. Dziś Wróblewska podkreśla, że PISF jest podmiotem autonomicznym. W historii sposób zarządzania PISF wyglądał różnie. Michał Merczyński, który współtworzył PISF i był pierwszym pełniącym obowiązki jego dyrektora w trakcie powstawania Instytutu, niedawno na łamach „Wyborczej” pisał o „absolutyzmie oświeconym” Agnieszki Odorowicz – pierwszej pełnoprawnej dyrektorki PISF, a wcześniej wiceministry kultury w rządzie SLD. Dopiero później władzą nad pieniędzmi Odorowicz podzieliła się hojniej z ekspertami.

Kolejną dyrektorką PISF była wieloletnia wiceprezydentka Krakowa Magdalena Sroka, a po jej odwołaniu przez Glińskiego – Radosław Śmigulski, człowiek Przemysława Wiplera i współtwórca prawicowego ugrupowania Republikanie. PISF był zawsze blisko władzy. A filmowcy starali się dobrze żyć z PISF.

Władza, pieniądze, kino

Śmigulski drugą kadencję w PISF również otrzymał w drodze konkursu – ten w przypadku PISF wymagany jest ustawą – i ponownie zdecydowaną większością głosów komisji. Zasiadali w niej bynajmniej niekojarzeni z prawicą twórcy, jak reżyserka Małgorzata Szumowska.

„Uważam, że Śmigulski nie był złym dyrektorem PISF. Personalnych opinii, jakie krążą na jego temat, nie zamierzam komentować. Z mojej perspektywy powinno się go oceniać jako menedżera. Ponieważ wspierał filmy Holland i całej masy innych filmowców, w tym moje, nie mam powodów, by narzekać” – mówiła Szumowska w wywiadzie dla „Polityki” w kwietniu 2024.

Że kolejny konkurs na dyrektora PISF „od samego początku był atrapą”, sugerowała w wywiadzie na Onecie... sama Karolina Rozwód, która go wygrała.

Pytanie tylko, co oznacza tu atrapa. Przypadek Śmigulskiego pokazuje, że chociaż duża część ko-

Rozczarowała mnie nasza koalicja rządząca, którą artyści wspierają, tak jak umieją, w 99 procentach wyborem ministry kultury, która jest wstydem dla polskiej kultury i dla tej koalicji” – **stwierdził Daniel Olbrychski**

misji konkursowej wybierającej dyrektora PISF zgodnie z ustawą reprezentuje środowisko, to środowisko to nietrudno dać się przekonać argumentami dotyczącymi łatwości przyszłej współpracy.

Trudno nie oprzeć się wrażeniu, że bardziej niż polityka państwa w sprawie PISF zmieniły się właśnie oczekiwania środowiska, a przynajmniej jego części. Te same osoby, które słały skargi na bezczynność Karoliny Rozwód i przedłużający się czas niepodpisywania decyzji o finansowaniu filmów, dziś protestują przeciwko jej odwołaniu – słyszę w Ministerstwie Kultury.

Według ustaleń „Wyborczej” nowy konkurs na dyrektora PISF ma być rozpisany w marcu tego roku. Procedura konkursowa ma być zreformowana – będzie więcej czasu na zgłoszenia. Projekt rozporządzenia można przeczytać już na stronie Rządowego Centrum Legislacji.

Co ważne, projekt przewiduje udostępnianie (na umotywowany wniosek) stenogramu z przesłuchania kandydata przez komisję konkursową. W świecie polityki kadrowej polskiej kultury, ciągle dość nietransparentnym, zmiana taka byłaby rewolucyjna.

Pytanie, czy przyjrzeniu się nie wymaga po 20 latach i sporych przemianach w sferze publicznej sama ustawa o kinematografii, na podstawie której działa PISF. Ale czy dzisiejszy Sejm jest gotowy na kolejną reformę kinematografii?

Czy afera PISF miała dalsze skutki personalne?

Z końcem roku odszedł z resortu kultury wiceminister Andrzej Wyrobiec, którego nazwisko powracało w aferze wokół PISF, a o którym mówiło się, że ma największy spośród zastępców Wróblewskiej wpływ na politykę ministerstwa. Wyrobiec to działacz Platformy, były skarbnik tej partii (2009-10) i jej były sekretarz generalny (2010-13). Wiceministrem kultury był już za poprzednich rządów PO – w czasach Małgorzaty Omilanowskiej.

Inaczej niż Wróblewska Wyrobiec nie wypowiadał się publicznie ani w sprawie PISF, ani w sprawie swojego odejścia. W ministerstwie można usłyszeć nieoficjalnie, że Wyrobiec od dawna chciał wrócić do kierowania krakowskim Teatrem Bagatela, którego jest dyrektorem od 2020 (przez ostatni rok wziął w teatrze urlop bezpłatny). Faktycznie, od początku mówiło się o tym, że obecność Wyrobca w ministerstwie jest tymczasowa. Czy dobiegła końca właśnie teraz, dlatego że opracowane zostały założenia nowej ustawy medialnej, które przygotowywał, czy w związku ze skandalami wokół PISF? Pozostaje niejasne.

KPO, czyli porażka

Największą porażką ekipy Wróblewskiej jest sposób wypłaty pieniędzy dla kultury z Krajowego Planu Odbudowy. Chodzi o spóźnione wsparcie pandemiczne, w czasach PiS blokowane przez UE, w ostatnim roku dzielone w ramach projektów jako stypendia i granty dla firm, organizacji pozarządowych czy instytucji kultury. Słuszną inicjatywę skompromitowała realizacja: opóźnienia, nierealne terminy, rozbudowana biurokracja.

Gdy piszę te słowa, część stypendystów ciągle nie otrzymała żadnych pieniędzy – choć zgodnie z regulaminem i umowami projekty, na które dostali stypendia, powinni zrealizować do końca 2024 roku. Za ten obszar polityki ministerstwa odpowiada wiceministra Marta Cienkowska z ramienia Polski 2050 Szymona Hołowni. Wcześniej Cienkowska zajmowała się m.in. sprawami uczelni artystycznych, ale odebrano jej ten departament.

Znamienne, że największa porażka ministry Wróblewskiej, krytykowanej za rzekome bezwzględne czystki personalne, związana jest z instytucją, w której dyrektora po rządach PiS nie zmie-

niono. Operatorem pieniędzy z KPO jest Narodowy Instytut Muzyki i Tańca (NIMiT). Dyrektorka NIMiT Paula Lis-Soloducha, była asystentka pisowskiej wiceministry Wandy Zwinogrodzkiej, została odwołana dopiero 27 grudnia.

Tyle tylko, że od zdymisjonowania dyrektorki bałagan i opóźnienia nie znikają. KPO to ciągle dla ministerstwa zadanie do rozwiązania, choć ministerstwo przeprowadziło konsultacje w sprawie kolejnej edycji. Następna pula pieniędzy z KPO ma trafić do sektora kultury w tym roku, nabór ma ruszyć wkrótce.

Koniec z punktami od ministra

Nadzieję na rozwiązanie problemu daje też fakt, że Wróblewska ma istotne osiągnięcia w zakresie reformowania systemu publicznego wsparcia kultury. Przede wszystkim – zmniejszenie bezpośredniego wpływu ministra na podział pieniędzy z grantów i wzmocnienie niezależnych ekspertów.

Przez lata – za PiS, ale i wcześniej – kluczowy wpływ na to, kto realnie dostaje pieniądze, miała ocena strategiczna. Dokonywało jej ministerstwo – a niekiedy sam minister osobiście – już po merytorycznych ocenach eksperckich. Odpowiednio dodając punkty, mogło niemal całkowicie zmienić zaproponowany przez specjalistów ranking.

Od tego roku decyzją Wróblewskiej o rozdziale grantów decydują komisje eksperckie. Zlikwidowano też instytucję odwołań, które rozpatrywało ministerstwo bez ekspertów. Dawna pula przeznaczona na odwołania rozdzielana jest od razu bezpośrednio przez ministra na projekty, które uzna za szczególnie ważne – spośród tych, których eksperci nie zdecydują się wesprzeć. Pula ta wynosi 15 proc. budżetu danego programu grantowego – jak teatr, edukacja kulturalna czy czasopisma. To skraca czas oczekiwania na decyzję, co ważne jest zwłaszcza dla najbiedniejszych organizacji pozarządowych czy samorządowych instytucji kultury, które co roku bardzo nerwowo czekają na wyniki grantowych konkursów.

Co po ministrze bezpartyjnej

Wśród problemów Wróblewskiej wymienia się często brak partyjnego zaplecza – obecna ministra nie jest polityczką, nie należała do żadnego ugrupowania, choć stanowisko zajmuje z rekomendacji KO. Jednak to Wróblewskiej udało się doprowadzić do publicznej rozmowy o polityce kulturalnej z innymi ministrami na niedawnym Kongresie Kultury.

Tu istotna jest przede wszystkim ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, bez której wsparcia nie da się wprowadzić kluczowej ustawy o ubezpieczeniach artystów. Ustawa dzięki dopłatom z budżetu do składek ZUS ma gwarantować najmniej zarabiającym artystom podstawowe świadczenia, jak ubezpieczenie czy prawo do emerytury.

Wróblewska w grudniu na posiedzeniu komisji kultury zapowiedziała, że ustawa zostanie przedłożona Sejmowi w pierwszej połowie 2025 roku. Pierwsze wnioski mają trafić do rozpatrzenia w roku 2026.

Dlaczego potrzebna była nowa wersja ustawy, skoro PiS przez przeszło sześć lat przygotowywał podobne rozwiązanie? Projekt z czasów PiS, mówiła Wróblewska w Sejmie, „nie przeszedł realnej procedury uzgodnień. Do samej procedury liczenia jego skutków finansowych było bardzo dużo zastrzeżeń”.

Co więcej – pisaliśmy o tym wielokrotnie w „Wyborczej” – choć Piotrowi Glińskiemu, a zwłaszcza wiceministrze Wandzie Zwinogrodzkiej, zależało na tamtych rozwiązaniach, były one zupełnie wbrew linii głównego nurtu PiS. Partia w artystach wolała widzieć poręcznego politycznego wroga.

Obecna ministra kultury podkreśla, że sytuacja socjalna najmniej zarabiających twórców jest dla

niej kluczowa. „W momencie, kiedy rozmawialiśmy z premierem o objęciu przeze mnie stanowiska ministry kultury, tę ustawę wskazywałam jako mój priorytet” – mówiła Wróblewska w wywiadzie dla „Wyborczej”.

Urzednicy ministerstwa odbyli kilka wielogodzinnych otwartych spotkań, podczas których odpowiadali na pytania i tłumaczyli projekt. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego publicznie przedstawione zostały już założenia ustawy, ale wciąż nie sama treść projektu.

Podgrzewanie atmosfery

Bilans rządów obecnej koalicji w kulturze wymaga precyzji i zniuansowania. To dużo zmian, reform, nadrabiania wieloletnich zaległości – w sposób nie zawsze dość transparentny. W wielu kwestiach sytuacja się poprawiła, w wielu wciąż widać niedociągnięcia, zaniedbania czy potrzebę polemiki.

Zamiast tego odbywa się jednak festiwal pohukiwań, oburzenia i załamania rąk – co potwierdza intuicje polityków, że kultura to naprawdę niezbyt wdzięczny odcinek dla potencjalnego ministra.

Jak konkursy na stanowiska dyrektorskie się odbywają? Ten w Zachęcie nie budził zastrzeżeń, ale w Teatrze Narodowym czy Instytucie Teatralnym już tak. To konkursy zamknięte: kandydaci, których ocenia komisja ekspercka, nie zgłaszają się sami, ale są zapraszani

Kanonada medialna w sprawie Wróblewskiej często jest mocno niecelna. Na przykład gdy porównywano odwołanie wieloletniego dyrektora Muzeum Historii Polski Roberta Kostry – który przez lata nie kończył inwestycji – do sytuacji ze stadniny koni w Janowie.

Albo gdy bezcennymi rumakami z Janowa, których Wróblewska lekkomyślnie się pozbywa, publicyści obwołali Krzysztofa Torończyka z Janem Englertem oraz Waldemara Dąbrowskiego – od dekad dyrektorów Teatru Narodowego i Teatru Wielkiego – Opery Narodowej, w których Wróblewska zapowiedziała konkursy.

Lub gdy producent Maciej Strzembosz napisze w „Rzeczpospolitej” komentarz o „miliardzie złotych” zabranym przez rząd rzekomo kulturze w nowym budżecie. Rewelacje Strzembosza okazały się nieprawdą – w budżecie, który trafił do podpisu prezydenta, w części 24. „Kultura i ochrona dziedzictwa narodowego” jest 8,4 mld zł, rok wcześniej było 8,1 mld zł – choć trafiły na podatny grunt w mediach społecznościowych.

26 grudnia do załamujących ręce dołączył Daniel Olbrychski. Słynny aktor występował tego dnia w „Dzień dobry TVN”. „Rozczarowała mnie nasza koalicja rządząca, którą artyści wspierają, tak jak umieją, w 99 procentach wyborem ministry kultury, która jest wstydem dla polskiej kultury i dla tej koalicji” – stwierdził Olbrychski. Pał sześć, że wypowiedział się zupełnie bez związku z tematem programu, którym były święta Bożego Narodzenia w domu aktora. Nie podał żadnego konkretnego argumentu przeciwko Wróblewskiej. Jednak portale plotkarskie i tabloidy grzały temat przez kilka dni.

Daniel Olbrychski spotkał się zawodowo z Wróblewską już ćwierć wieku wcześniej, gdy szablą zaatakował wystawę w Zachęcie. Artysta Piotr Uklański w pracy „Naziści” w listopadzie 2000 roku zestawiał 164 fotosy polskich i zagranicznych aktorów występujących w hitlerowskich mundurach – między innymi właśnie Olbrychskiego.

Aktor zaprosił wówczas do Zachęty ekipę telewizyjną i niczym Kmicic (którego grał w „Potopie”) zniszczył wystawę szablą. Sześć lat później Uklański sprzedał pracę greckiemu kolekcjonerowi za 560 tysięcy funtów brytyjskich.

„Nigdy nie zapomnę afery przy »Nazistach« Piotra Uklańskiego – mówiła po latach Wróblewska „Dwutygodnikowi”. – To była pierwsza nauka, jak się kształtuje bipolar i taki typ komunikatu ukierunkowanego na podziały – podgrzanie atmosfery i oglądalność”.

Na wylocie?

Pojawiają się też głosy, że brak partyjnego zaplecza może zagrażać pozycji Wróblewskiej w rządzie. „Tygodnik Powszechny” piórem Piotra Śmiłowicza spekulował o rzekomo mającym nadejść odwołaniu ministry w listopadzie. Portal Wiesci24.pl o tym, że „Wróblewska zostanie wkrótce zdymisjonowana”, pisał już 5 sierpnia, powołując się na „źródło w KPRM”. Ministra miała być odwołana „we wrześniu, a najpóźniej na początku października”.

Nic takiego się nie stało. Nie ma cienia wypowiedzi premiera Tuska ani nikogo z rządu, która by wskazywała na taki rozwój wypadków. Co więcej, warto pamiętać, że Donald Tusk ma do elit kulturalnych pewien dystans, a u zarania swej kariery wykonał na nich swoisty mord założycielski. W końcu Platforma Obywatelska narodziła się ćwierć wieku temu z odejścia Tuska z Unii Wolności, partii inteligenckich elit kulturalnych kierowanej przez profesora Bronisława Geremka. Partii, której senatorem – jeszcze jako Unii Demokratycznej – był Andrzej Wajda.

Media wolą bon moty

Spójrzmy, jak daleką drogę i w jakim tempie przeszedł resort kultury. Minął ledwo rok od czasów, kiedy instytucje Ministerstwa Kultury służyły jako przepompownie pieniędzy do skrajnej prawicy. Tym właśnie zajmował się założony przez PiS Instytut Dmowskiego. Miliony z budżetu szły chociażby do organizacji związanych z Robertem Bąkiewiczem. Resort podpisywał niekorzystne dla siebie umowy, na przykład z fundacją Lux Veritatis kierowaną przez Tadeusza Rydzka. Efektem takiego kontraktu jest Muzeum Pamięć i Tożsamość w Toruniu – dziś wciąż jeszcze do końca nieotwarte, ale już odwiedzane przez CBA.

Być może największym problemem resortu jest komunikacja. Byłby to problem cokolwiek paradoksalny w sytuacji, gdy minister kultury jest bliżej środowiska, niż był kiedykolwiek wcześniej. Ale dialog z branżą na premierach, wernisach czy lokalnych spotkaniach nie przekłada się na sprawną, lapidarną komunikację polityczną.

Co z tego, że ministra Wróblewska jednego dnia jest w Krakowie na premierze, drugiego na Dolnym Śląsku wizytuje popowodziowe straty w zabytkach, a trzeciego siedzi na konsultacjach z organizacjami branżowymi, skoro Sienkiewicz potrafił zrobić show, rzucił jeden bon mot na warszawskiej konferencji prasowej, mówił o swojej „rzeźnickiej pracy” albo o „deserze”, na jaki zostawił sobie odwołanie pisowskiego dyrektora – i media były zachwycone?

Czy Wróblewska i jej polityczni mocodawcy mają tego świadomość? Parę dni temu w Ministerstwie Kultury pojawił się nowy rzecznik prasowy. Piotr Jędrzejowski będzie miał nietatwe zadanie. ●

Hejterzy przeczytali Orwella

Obejrzałem „Wicked” i zrozumiałem, jak działa TV Republika



Marcin Matczak

Można zwariować. Człowiek poszedłby z siostrzenicami do kina na coś lekkiego, żeby w końcu uciec od tej polityki, ale się nie da. Tak się powykrzywiła ta nasza rzeczywistość, że wszystko przypomina wszystko. Na przykład bajkowy musical o zielonej czarownicy i gadających zwierzętach, umiejscowiony w kolejnej wersji Hogwartu, staje się metaforą współczesnej polityki – i tej amerykańskiej, i tej polskiej.

Chodzi oczywiście o „Wicked” – kinową wersję znanego broadwayowskiego przeboju, wariacji na temat „Czarnoksiężnika z Oz”, której światowa premiera odbyła się niecałe dwa miesiące temu.

To dość ryzykowne uznać cukierkowy film o czarach za metaforę naszego życia publicznego. Kiedyś przecież nawet metafory były poważniejsze: „Matrix” i „Terminator” obrazowały pokoleniowy strach przed dominacją maszyn, „Truman Show” ostrzegał przed nieautentycznością życia w świecie, w którym wszystko jest kreacją, a „Nie patrz w górę” odpowiadał na ludzkie obawy przed zagładą klimatyczną i krytykował tych, którzy zamiast działać, chowają głowę w piasek. A tu mamy film o dwóch młodych czarownicach, z których jedna jest cała zielona, a drugą gra Ariana Grande, czyli amerykańska Sanah. Akcja toczy się w krainie Oz, nad którą panuje czarnoksiężnik grany przez Jeffa Goldbluma, którego obecność jak w „Jurassic Park” czy w „Musze” zawsze zwiastuje jakąś niespodziewaną katastrofę. Dodatkowo w filmie występuje kozioł, który jest profesorem historii i mówi głosem Petera Dinklage’a, czyli Tyriona Lanistera z „Gry o tron”.

Niemniej jednak według różnych opinii rozsianych po mediach jest to dzieło jednocześnie traktatem o upadku demokracji, manifestem obrońców zwierząt, metaforą rosnącego w siłę populizmu, a nawet alegorią Holocaustu. I kiedy się dobrze mu przyjrzeć, może tak rzeczywiście być.

Weźmy takiego Czarnoksiężnika. Tygodnik „Elle” pisze, że w oryginalnej wersji opowieści, tej z 1900 roku, widziano w nim ówczesnego prezydenta USA Wiliama McKinleya, w musicalu z początku lat 2000 George’a W. Busha atakującego Irak, a w filmie z 2024 roku ewidentnie przypomina Donalda Trumpa. Wystarczy go posłuchać: „Najlepszym sposobem na zjednoczenie ludzi... jest dać im naprawdę dobrego wroga”. Albo: „Tam, skąd pochodzę, wierzymy w różne rzeczy, które nie są prawdziwe. Nazywamy to – »historią«”.

Gazeta „Teen Vogue” z kolei doszukuje się w „Wicked” aluzji do Billa Clintona i jego romansu z Monicą Lewinsky, gdy bohaterka na pytanie o to, czy pewna osoba jest jej przyjaciółką, odpowiada jak Clinton o Lewinsky: „Cóż, to zależy, co masz na myśli, mówiąc »przyjaciółka«”. Inni wreszcie idą naprawdę na całość, wnioskując, że skoro Czarnoksiężnik to jednak Trump, to Elphaba, zielona czarownica, atakowana

jego propagandą jest tak naprawdę Kama-lą Harris.

Chciałoby się tu postawić kropkę, jednak paralele się natężają, zamiast słabnąć. Ponieważ Czarnoksiężnik z Oz chce pozbać część obywateli, mianowicie mówiące zwierzęta, prawa głosu (i to literalnie – mają przestać gadać: „Zwierzęta powinny być oglądane, nie słuchane”), jest „Wicked” interpretowane jako manifest obrońców praw zwierząt. Ale dzięki tradycji „Folwar-ku zwierzęcego” zwierzaki w dystopii to oczywiście ludzie, więc kiedy profesor kozioł mówi, że jest jednym z ostatnich zwierzęcych nauczycieli, którym pozwolono zostać na uczelni, widzom przypominają się totalitarne czystki na uniwersytetach.

Zasadniczo robi się już z tymi metaforami zbyt gęsto. To jednak produkcja amerykańska, więc tym, którzy mieliby jeszcze za mało albo jeszcze nie zrozumieli przesłania, propaganda Czarnoksiężnika serwuje informacje, że za suszę i kryzys gospodarczy w krainie Oz odpowiadają właśnie te dyskryminowane zwierzaki. I według tej prostej logiki nie ma w tym nic dziwnego, choć bowiem lepiej nadaje się na kozła ofiarnego niż kozioł? Trudno się dziwić, że Ben Brantley, dziennikarz „New York Timesa”, w recenzji broadwayowskiej wersji „Wicked” nazwał ją „kazaniem w technicolorze”.

Może jednak na starość robię się cyniczny. Może dzisiaj trzeba jednak ludziom łopatologicznie kłaść do głowy swój przekaz, bo niuanse i subtelności przegrywają z prostactwem propagandy. Skoro więc prawnicowi czarnoksiężnicy prześcigają się w upraszczaniu rzeczywistości, muszą tak robić i ci lewicowi. Zostawisz coś interpretacji – stracisz czytelnika, widza i członka elektoratu. Więc budujesz metafory proste, ale skuteczne.

Może tak trzeba, zwłaszcza gdy żyje się w kraju, w którym nadaje TV Republika. Jakimże to trzeba być ocelotem, żeby najpierw urządzić hejterską nagonkę na człowieka, który zbiera pieniądze na sprzęt w szpitalach, a następnie żądać ich dla siebie? Żeby najpierw podeptać ideę pomocy innym, ryzykując życie i zdrowie deptanego, który dostaje groźby karalne, a potem chcieć się nachapać z tego, co wspólne, bo skończył się dopływ publicznych pieniędzy wraz z upadkiem PiS?

Więc drze się TV Republika jak Squaler z Orwella: „Towarzysze! Chyba nie sądzicie, mam nadzieję, że my zjadamy jabłka i mleko, bo jesteśmy samolubni i żądamy przywilejów? Tak naprawdę, wielu z nas nie lubi ani jednego, ani drugiego. Sam nie przepadam za jabłkami. Naszym jedynym celem jest zachowanie zdrowia. Mleko i jabłko (dowiodła tego nauka, towarzysze) zawierają substancje niezbędne dla dobrego samopoczucia świń. My, świnie, pracujemy bowiem umysłami”. Nie dawajcie zatem Owsiakowi, dawajcie nam!

Może „Wicked” trochę przesadza z nachalnymi metaforami. Ale w jednym ma rację: Elphaba śpiewa: „Żaden dobry czyn nie uniknie kary, żadna dobroczynność nie będzie przyjmowana bez urazy”. Czasami człowiek ma wrażenie, że ludzie, którzy oprócz nienawiści niczego z siebie innym nie dają, nie są w stanie fizycznie i psychicznie znieść tych, którzy od siebie dają wiele. Muszą więc tych ostatnich usunąć z publicznego widoku, muszą im zaprzeczyć, ponieważ, jak ufają, wtedy ogólny poziom dobra na świecie znacznie się obniży. I wtedy już nie będą wyglądać na takich moralnych karłów, jakimi w rzeczywistości są. ●

Przecież Rafał jest za

„Może sondaż był błędny”. Zapytałem polityków KO o 14 procent rozczarowanych wyborczyń Trzaskowskiego



Arkadiusz Gruszczyński

Jeszcze przed świętami słyszałem od sztabowców prezydenta Warszawy, że spodziewają się spadków sondażowych. Jednak wyniki sondażu Opinii24 był wstrząsem dla opinii publicznej: Trzaskowski stracił aż 9 punktów procentowych w miesiąc. A CBOS donosi, że różnica między kandydatem Koalicji Obywatelskiej a Karolem Nawrockim, popieranym przez PiS, wynosi obecnie 4 proc. Zadzwoniłem więc na początku tygodnia do polityków KO i zapytałem, jak oceniają te konkretne sondaże.

– Nie przejmujemy się nimi, ponieważ waż tego właśnie się spodziewaliśmy. Rafał jest długo w tej kampanii, Nawrocki dopiero przedstawia się wyborcom, więc było jasno, że będzie z tygodnia na tydzień zyskiwał. Ale proszę zwrócić uwagę na jedno: Nawrocki nie osiągnął w sondażu Opinii24 poziomu poparcia PiS, nie ma tych 33 proc., które niby miał mieć na starcie – próbowali mi tłumaczyć politycy Koalicji Obywatelskiej. W tym konkretnym badaniu prezes IPN mógł liczyć na 23 proc. poparcia.

Pytałem jeszcze o jedno: a może Trzaskowski przedobrzył z puszczaniem oka do konserwatywnego elektoratu? W ostatnich tygodniach prezydent Warszawy odwiedził groby ks. Jerzego Popiełuszki i ks. Józefa Tischnera, opowiedział się za nieobowiązkową edukacją seksualną w szkołach, sprzeciwiał się zapisom Zielonego Ładu, był u gospodyni wiejskich i strażaków OSP. – Ale jednocześnie cały czas podkreśla, że jest za liberalizacją aborcji, więc dba o różnych wyborców i wyborczyń. Nie wydaje nam się, żeby Rafał przesadził z konserwatywnym komunikatem – słyszę w odpowiedzi.

Ale faktem jest – na co zwraca uwagę Opinia24 – że 14 proc. wyborczyń Trzaskowskiego wystawiało mu żółta kartkę i przeniosły głosy do grupy „niezdecydowanych”. – Jeszcze nie wiemy, z czego dokładnie wynikają spadki, być może sondaż był błędnie przeprowadzony, a być może nasza obecna strategia wymaga korekty. Czekamy na nasze badania – mówi jedna z ważnych osób z KO.

Kiedy wybory wygrywał w 2023 roku Tusk, KO, Trzecia Droga i Nowa Lewica nie musiały wysyłać sygnałów do konserwatywnego centrum. W dominującej narracji politycznej pojawiały się więc hasła o aborcji, związkach partnerskich, ograniczeniu przywilejów Kościoła, ulg dla przedsiębiorców czy innej polityki gospodarczej.

Jasne: wybory prezydenckie są inne, ponieważ nie wygrywa się ich koalicyjnie, tylko jeden kandydat musi do siebie przekonać 50 proc. + jeden głosujących. Jasne: kandydat musi łowić w centrum. Ale dla czego centrum zostało zdefiniowane jako

konserwatywny i katolicki bastion chrześcijaństwa? Czy w ciągu kilkunastu miesięcy wyborcy popierający 15 października trzy demokratyczne partie nagle zmienili poglądy? Wątpię: zmiany społeczne nie zachodzą w tak szybkim tempie. Wydaje się więc, że sztab KO przyjął inną strategię niż w 2023 r. Wtedy chodziło o mobilizację, dzisiaj Trzaskowski chce rozegrać typową kampanię z sumiennym objazdem kraju, reagowaniu na trendy sondażowe, z dobrze prowadzoną kampanią w serwisach społecznościowych i odklejaniu się od łatki warszawiaka od urodzenia.

Problem w tym, że na samym początku kampanii wypada w tych nowych rolach niewiarygodnie. Kiedy odcina się od progresywnych wyborców czekających od 36 lat na edukację seksualną w szkołach – tak naprawdę więcej traci, niż zyskuje. Bo konserwatyści spod znaku PSL i tak mu nie uwierzą, a liberalne wyborczynie z byłych miast wojewódzkich pomyślą sobie, że mężczyźni znowu chcą im meblować świat.

Kiedy 13 grudnia odwiedza grób ks. Popiełuszki, to z jednej strony próbuje powiedzieć, że mit „Solidarność” jest szeroki i inkluzywny, ale z drugiej wchodzi w buty wszystkich kandydatów na prezydenta po 1989 roku, którzy niezależnie od poglądów i nastrojów społecznych w pewnym momencie uznawali, że muszą uwzględnić głos Kościoła. I znowu: czy kojarzony z progresywnymi hasłami Trzaskowski przekona konserwatywnych wyborców?

– Nie – mówią szczerze sztabowcy. – Chodzi o zasianie niepewności po prawej stronie: skoro Trzaskowski szanuje kapelana „S”, to może nie jest taki straszny, jak go maluje Jarosław Kaczyński? Zależy nam na wahających się wyborcach, którzy mogą po prostu zostać w domach – słyszę w KO.

Ciekawie o przepływach elektoratów w drugiej turze pisali analitycy z Opinii24 przy okazji głośnego sondażu. Okazuje się, że, na Trzaskowskiego zagłosuje w drugiej turze: 100 proc. wyborców Razem, 94 proc. KO i 92 proc. Nowej Lewicy. Jeśli chodzi o ugrupowania centroprawicowe i prawicowe, to 80 proc. wyborców Trzeciej Drogi zapowiada oddać głos w drugiej turze na kandydata KO; to samo zrobi 8 proc. elektoratu Mentzena oraz 3 proc. wyborców Nawrockiego.

Co z tego wynika? Jeśli badania Opinii24 są miarodajne, to taktyka Trzaskowskiego nie sprawdziła się i kandydat KO szybko musi przestawić ster na mobilizację własnej bazy wyborczej, która dała zwycięstwo Koalicji 15 października. W najbardziej niepokojącym scenariuszu kobiety zostaną 18 maja w domach i dadzą silne zwycięstwo Karolowi Nawrockiemu.

– Prawda może być banalna: wśród kandydatów pojawiła się Magdalena Biejat i wyborczynie po prostu zaczęły się zastanawiać, na kogo zagłosować w pierwszej turze. My mamy jeden cel: wejście do drugiej tury i wygraną w drugiej – przekonuje mnie współpracownik Trzaskowskiego. ●

Nie wydaje nam się, żeby Rafał przesadził z konserwatywnym komunikatem – słyszę od współpracowników prezydenta Warszawy

Lodówka

Na drzwiczkach zamrażalnika znajdowało się zdjęcie Tuska. Do końca trwania numeru Mariusz Błaszczak nie otworzył zamrażalnika, więc nie dowiedzieliśmy się, co lub kto się w nim znajdował.



Michał Rusinek

Wszystkie niedawne imprezy estradowe – z sylwestrowymi we wszystkich stacjach telewizyjnych włącznie – przyćmiła konferencja prasowa Jarosława Kaczyńskiego, Beaty Szydło i Mariusza Błaszczaka.

Była ona stylizowana na telewizyjne tzw. talent shows, w których na scenie występują zwykli, nikomu nieznanymi ludźmi obdarzeni niezwykłymi talentami. Tu jednak mieliśmy do czynienia z ludźmi dobrze znanymi, udającymi zwykłych ludzi – co wszak wymaga umiejętności scenicznych.

Dodajmy dla porządku, że zwykłego konferansjera udawał Rafał Bochenek. Beata Szydło, odziana w lekko połyskujący kasztanowy żakiet, w okularach w stylu Jeffreya Dahmera, zwykłego seryjnego mordercy, występowała w roli prestidigitatorki. Mariusz Błaszczak był jej eleganckim pomocnikiem o imieniu Mariusz. Jarosław Kaczyński, zasłonięty w trzech czwartych mównicą, występował albo w roli typowego polskiego emeryta, który za chwilę będzie przez prestidigitatorkę zamknięty w skrzyni i przetrzynięty piłą, albo jako uczestnik teleturnieju „Jeden z dziesięciu”, albo po prostu udawał popiersie Jarosława Kaczyńskiego. Bardzo przekonująco.

Przedstawienie trwało dość długo jak na programy tego typu, bo aż 48 minut. Punktem kulminacyjnym spektaklu było teatralne odsłonięcie przez pomocnika prestidigitatorki tajemniczego przedmiotu, który stał obok mównicy przykryty niebieską żorżetą i zapowiadany był jako „niespodzianka”. Nie była to wprawdzie – oczekiwana przez koneserów tego typu występów – typowa skrzynia do przetrzynania, ale istotnie fryzyder firmy Amica, z serii Fresh. „Zobacz, Mariusz, jak ta niespodzianka wygląda” – powiedziała prestidigitatorka i dodała, że jest to „przeciętna lodówka przeciętnej polskiej rodziny”. Nie świeciła się w niej lampka i nie emitowała ona sygnału ostrzegawczego mimo że była otwarta przez prawie 40 minut, z czego jasno wynikało, że była odłączona od prądu. Jak powszechnie wiadomo, odłączona od prądu lodówka może pełnić wyłącznie funkcję prestidigitatorskiej skrzyni.

Z jednej strony, lodówki wydają się o wiele trudniejsze do przetrzynięcia piłą niż drewniane skrzynie, numer zapowiadał się więc brawurowo. Z drugiej jednak, Jarosław Kaczyński od początku konferencji wyglądał jak uprzednio docięty do rozmiaru wspomnianego popiersia Jarosława Kaczyńskiego, numer więc pachniał oszustwem. W głowach niektórych widzów pojawiło się nawet przypuszczenie, czy aby nie dojdzie do zmyłki: wszyscy będą myśleć, że to numer z piłą, a tymczasem będzie to numer z hibernacją.

Zwłaszcza, że lodówka była prawie pusta: masło, mleko, filety z kurczaka i jajka nie zajmowały wiele miejsca i spokojnie mógł się w niej zmieścić niewysoki czło-

wiek, a już na pewno jego popiersie. Mogliśmy więc podejrzewać, że Jarosław Kaczyński zostanie nie tyle przetrzynięty piłą, ile zahibernowany, by po wielu latach obudzić się mówiąc: „ciemność widzę, widzę ciemność”. To jednak numer do pokazania raczej w kinie niż na estradzie.

Konferencja okazała się jednak mieć zupełnie innego bohatera literacko-filmowego, którym był Pinokio o twarzy Donalda Tuska, którego portret widniał na scenie przez cały czas trwania numeru. Dzięki temu zabiegowi przed oczami widzów stanął jeszcze jeden (już trzeci!) pisowski premier, Mateusz Morawiecki, który przez lata użyczał przecież swojej twarzy bohaterowi książki Carla Collodiego.

Na drzwiczkach zamrażalnika znajdowało się drugie zdjęcie Tuska, nieprzerobione w Photoshopie. Był na nim uśmiechnięty i pokazywał dłońmi znak serduszka. Do końca trwania numeru pomocnik Mariusz nie otworzył zamrażalnika, więc nie dowiedzieliśmy się, co lub kto się w nim znajdował. Okulary Beaty Szydło mogły jednak sugerować, że to raczej ktoś niż coś.

Najczęściej powtarzanym słowem przez wszystkich aktorów tego spektaklu było słowo „Tusk”. To on zafundował nam drożyznę, więc pomocnik Mariusz ośmielił się posłużyć odkrywczym neologizmem „tusko-drożyzna”. Wszystkim Polakom (swoją drogą dziwne, że nie Polkom i Polakom) rzędną miny i już tylko Tusk się uśmiecha, bo zaraz „wyjedzie w Dolomity na narty, tam będzie palił cygara, a Polacy będą się zastanawiać, w jaki sposób zapłacić rachunki za prąd”.

Popiersie Jarosława Kaczyńskiego odniosło się też do wpisu Tuska umieszczonego na portalu X, dotyczącego decyzji Państwowej Komisji Wyborczej w sprawie wypłaty PiS-owi pieniędzy na kampanię: „Pieniądzy nie ma i nie będzie. Na moje oko tyle wynika z uchwały PKW”. Popiersie powiedziało: „Okazuje się, że teraz – jak to powiedziano w mediach, w Republice – to oko to jest nowe źródło prawa”. To jawna aluzja do wszechobecnego i wszechwładnego oka Saurona, unoszącego się nad Kancelarią Prezesa Rady Ministrów, czyli naszym rodzimym Mordorem. Odbiorcom, którzy nie czytali trylogii Tolkiena, popiersie Kaczyńskiego wyjaśniło, że: „nastąpiła w tej chwili w Polsce daleko idąca personifikacja władzy w postaci jednej osoby”.

Popiersie powiedziało też, że w Polsce prawo przestało obowiązywać, że prof. Dudek raczej nie jest rozzgarnięty i że jego krytyka Karola Nawrockiego to jakieś rozgrywki między historykami, że obecnie jest u nas realizowana agenda niemiecka i że gdyby jednak PiS dostał pieniądze na kampanię, to nie zamierza zwracać zbieranych od pewnego czasu datków, bo niektórzy ludzie, którzy wpłacali owe datki, „mogliby się obrazić”. Nieświadomie podjęło też metaforę Rafała Trzaskowskiego mówiąc, że: „ta władza doszła do steru przy pomocy zewnętrznej” (i realizuje agendę Niemiec i Rosji). Skoro doszła do „steru”, więc marynistyczne hasło kandydata Platformy Obywatelskiej „Cała Polska naprzód” jest tego naturalną konsekwencją. Oznacza to, że hasło było jednak udane.

Na tym numer estradowy się skończył. Beata Szydło, przez większość czasu bezrobotna na scenie, przestała kołysać się miarowo w przód i w tył (pięta-palce), Mariusz Błaszczak przestał kręcić kołowrotek kciukami, a popiersie Jarosława Kaczyńskiego wychynęło zza mównicy i okazało się całym Jarosławem Kaczyńskim. Inna rzecz, że schodząc z estrady pomylił on kierunki i prawie wszedł do lodówki. I był to jedyny akcent humorystyczny w tym dość ponurym spektaklu. ●

Małgorzata Sidz

Szóstego stycznia Justin Trudeau złożył rezygnację ze stanowiska premiera Kanady, które piastował od 2015 r. W marcu Liberalna Partia Kanady wybierze nowego lidera, a we wrześniu naród – nowego premiera.

Najpoważniejsza kandydatura to Pierre Poilievre, urodzony w Calgary, w Albercie, reprezentujący typowe dla tej prowincji konserwatywne poglądy. To właśnie z zachodu wieje wiatr zmian społecznych i gospodarczych w kraju. Żeby zrozumieć, co niesie, trzeba zrozumieć Albertę.

Alberta bywa nazywana Teksasem Kanady. Nie dlatego, że są podobnej wielkości (choć w Teksasie mieszka 30 mln ludzi, w Albercie 5). Łączą je niskie podatki, popularność prawicy, rozwinięte rolnictwo (prawie 13 mln ha ziemi rolnej) i to, że stanowią energetyczne zaplecze kraju. Sektor zatrudnia 250 tys. osób, a żywi na różne sposoby kolejne setki tysięcy.

W Teksasie produkuje się 5 mln baryłek ropy dziennie, w Albercie, gdzie skupiają się trzy czwarte kanadyjskich złóż – 3,7 mln. On i ona są bogate w gaz ziemny, a jednocześnie w dużym stopniu wykorzystują energię odnawialną – wiatr i słońce.

Przez 15 tys. lat mieszkali tutaj rdzenni nomadzi żyjący się głównie mięsem bizona i owocami leśnymi. Po przybyciu Kompanii Zatoki Hudsona w XVIII w. forty w Calgary i Edmonton stały się centrum handlu skórami bobra. W międzyczasie na ogromnych preriach u podnóża górskiego łańcucha Rockies, wypasem bydła zaczęli się zajmować ranczerzy i kowboje.

Osadnictwo na serio rozkręciło się wraz z budową Kolei Transkanadyjskiej w latach 1881-85. Zjeżdżali: Brytyjczycy, Włosi, Irlandczycy, Polacy, Węgrzy, Ukraińcy. Rząd obiecywał im 65 hektarów, o ile sami wykarczują las, wzniosą dom z bali lub z darni i zagospodarują przynajmniej 30 akrów rocznie. Wielu musiało najpierw zapracować na narzędzia, latami najmuąc się do ciężkiej pracy. Ci bez doświadczenia na roli umierali z zimna i głodu. Wielu kończyło kanadyjskie marzenie już podczas miesięcznej podróży statkiem.

Dziś Albertczycy to odwrotność stereotypu o liberalnych, do bólu miłych i nijakich Kanadyjczykach. Noszą koszulę w kratę, są wyluzowani, nieustannie grillują. Każdy spędza tyle czasu na zewnątrz, ile może, nawet zimą, kiedy temperatury spadają do -40 stopni, i nawet gdy powietrze jest gęste od smogu z letnich pożarów lasów.

Od 112 lat w Calgary, organizowany jest festiwal Stampede: 10 dni parad, rodeo, konkursów łapania bydła, wyścigów byków, koncertów country. Wtedy każdy zakłada kowbojki i kapelusz.

Większość glosuje tutaj na prawo, ceni sobie wolność, ciężką pracę i otwarcie wyraża poglądy. Podkreślając przy każdej okazji, że niezależność i siłę woli odziedziczyli po przodkach. Catherine Ford, kolumnistka „Calgary Herald”, w książce „Against the Grain. An Irreverent View of Alberta” pisze, że „połączenie wschodnioeuropejskich chłopów przyciągniętych obietnicami darmowej ziemi, drugich synów brytyjskich rodzin szlacheckich i wyrzutków wysłanych do kolonii, by prowadzić rancza, amerykańskich handlarzy whisky i farmerów, których przyciągnął bezkres dostępnej ziemi, stworzyło mocny wywar na parę pokoleń”. Podkreśla ten ostatni, północnoamery-



MASŁO ZA 10 DOLA FUCK TRUDEAU!

Liberalni, do bólu mili i trochę nijacy? Poznajcie prawdziwych Kanadyjczyków

kański komponent: na etykę pracy oraz charakter miejscowych mocno wpłynęli imigranci od wielkiego sąsiada na początku XX wieku.

Albertczycy mają opinię surowych, nieociosanych, patriotycznych, konserwatywnych, często religijnych (najczęściej tą religią jest hokej). W reszcie kraju rozpoznaje się ich po tym, że są hałaśliwi i mówią na głos to, czego nie wypada mówić na wschodzie kraju. Symbolem statusu są nie modne ubrania czy gadzety, ale potężny pick-up. Im większy, tym ważniejszy jego kierowca.

Stereotypowy przysłup z Alberta umieszcza na tylnym zderzaku truck nutz, gadżet w postaci dyndających jąder. Ale ci, którzy z niego drwią, trzymając na podjeździe elektryczną teslę, prenumerując „New Yorkera” i załamując ręce nad tym, co to będzie z Trumpem za miedzą, też na łono natury wybierają się 6-litrową półciężarówką.

560 mln lat temu natura pochowała tu bogate zasoby materii organicznej. Milion lat temu ciśnienie i temperatura zamieniły cmentarzysko pierwotnego ży-

cia w ropę, węgiel i gaz ziemny. Ale nie całe – region Badlands i okolice miasta Drumheller to jedno z najbogatszych w prehistoryczne skamieniałości miejsc na świecie. Kości dinozaura można znaleźć na spacerze brzegiem rzeki North Saskatchewan w Edmonton, a zęby megalodona kupić w sklepie z minerałami za parę dolarów. Dinozaur widnieje nawet na prawie jazdy.

Naturalne gorące źródła i przepiękne jezioro Louise czynią z Parku Narodowego Banff drugie po wodospadzie Niagara najczęściej odwiedzane miejsce w kraju. Ale to to płynne szczątki pierwotnych organizmów – choć wbrew mitowi nie dinozaurów – są największym bogactwem Alberta, najzamożniejszej prowincji kraju. „Bez ropy i gazu ziemnego byłibyśmy kolejną wieśniacką prowincją bez populacji, która mogłaby rzucić wyzwanie dominacji Ontario i Quebecu” – pisze Ford. „To z tej historii narodziła się dzisiejsza Alberta. Od pionierów, których niestrudzona praca własnych rąk była zależna od kaprysów bezlitosnej pogody, do olejarzy, zależnych od kaprysów światowych rynków i cen baryłki”.

W kwietniu 2008 r. około 1600 dzikich kaczek wylądowało na stawie opadowym koncernu Syncrude w okolicy rzeki Athabasca. Takie zbiorniki są nieodłącznym elementem skomplikowanej operacji wydobycia ropy z piasków roponośnych. Ładują w nich piasek, metale ciężkie, gazy, chemikalia. To dużo substancji oblepiających pióra. Kaczki powoli utonęły. Dwa lata później Syn-

crude ukarano rekordową kwotą 3 mln dolarów. W 2018 r. podobną karę zasądono nafciarzom za śmierć 31 morderczych czapli w 2015 r.

W Albercie w sezonie polowań zabija się 120 tys. kaczek rocznie, ale 1600 ptaków z Athabaski stało się symbolem katastrofy ekologicznej. Nigdzie widocznej lepiej niż w Forcie McMurray, zwanym tu Fortem McMoney.

Żeby zrozumieć skalę przedsięwzięcia, trzeba je zobaczyć, liczby jej nie oddają. Doły naftowe głębokie na 100 metrów. Ciężarówki wysokie na ponad 7 metrów, długie na 14, szerokie na 9, ważące ponad 63 tony, każda może przewieźć 400 ton. Białe wieżowce na horyzoncie okazują się piramidami siarki. Jest jej tak wiele, że gdyby zarząd zdecydował się ją sprzedać, światowy rynek siarki załamałby się natychmiast.

Wydobycie bitumenu z piasku jest jednym z najbardziej energochłonnych procesów zdobywania ropy. Pochłania też ogromne ilości wody. Kanada jest czwartym producentem gazu ziemnego, z czego prawie jedną trzecią zużywa sama – do obróbki bitumenu.

Szefowie koncernów obiecują zalesianie i rewitalizację. Oraz przekonują, że cały czas pracują na rzecz przyrody. Według Ricka George’a, byłego dyrektora Suncoru, wydobycie ropy z piasków bitumicznych jest „oczyszczaniem największego naturalnego wycieku ropy naftowej na świecie”. – Czytam, że naukowcy gromadzą różnorodne nasion-



RÓW?

ka i rozsiewają je potem na naszych terenach, żeby odtworzyć ekosystem, ale to stek bzdur. Nie musisz przejeżdżać się po okolicy, po prostu weź oddech. Tutaj wszystko pachnie ropą – opowiada mi pracownik platformy wiertniczej. Ale zaraz dodaje, że choć martwi go klimat, to nie jest tu tylko dla pieniędzy. Wspiera sektor energetyczny. – Katastrofa ekologiczna to straszne rzecz, ale -40 stopni zimą to też katastrofa ekologiczna. Żadne odnawialne źródła nas nie ogrzeją. Ropa naftowa pozwala, żebyśmy mieszkali tu na północy i nie umierali z zimna.

Większość stałych robotników pracuje zmianowo. Albo 24 dni bez przerwy, po 16 godzin dziennie, dzień wolnego. Albo praca 16 dni i dwa tygodnie z rodziną mieszkającą na wschodzie kraju. Ale jedni i drudzy pracują i zimą, kiedy jest tu -40 stopni, i latem, kiedy bywa nawet +30. A gdy barylka idzie w górę, Fort McMurray zapełnia się dodatkowymi setkami pracowników tymczasowych. Morale pomaga utrzymać wychwalana przez Catherine Ford amerykańska etyka pracy. Lecz jeszcze lepiej pomaga kokaina.

Młodzi mężczyźni, bez wykształcenia, dostają ogromne pieniądze – tuż po liceum można zarabiać 100 tys. dolarów rocznie, ponad dwie średnie pensje. Z czasem zarobki robotnika mogą sięgnąć 200 tys.. Koledzy z pracy proponują kasyna, imprezy i striptiz. I trudno nie ulec lub pofolgować nalogowi, kiedy w zasadzie nic innego do roboty na pustkowiu nie ma, jest się

• **Łzy wzruszenia. Premier Justin Trudeau i przywódczyni Zgromadzenia Pierwszych Narodów (AFN) RoseAnne Archibald podczas obchodów Narodowego Dnia Prawdy i Pojednania. Ottawa 30.09. 2022 r**

FOT. REUTERS/
PATRICK DOYLE/FILIP
PHOTO

daleko od rodziny i ma się gotową wymówkę – w końcu jakoś muszą się zrelaksować po wielu godzinach ciężkiej pracy. – Dziewczynę zamówimy do hotelu szybciej niż pizzę – uśmiecha się chłopak z grupki robotników.

Pół biedy, jeżeli w ten sposób spędzają młodość, nawet jeśli po kilku latach wyjeżdżają z dziurami w pamięci zamiast wkładu własnego na dom. Gorzej, kiedy ten styl życia przenoszą w dorosłość. A jednocześnie piaski roponośne wciskają rodziny w konserwatywny model. Bo kiedy mężczyźni ciężko pracują fizycznie, kobiety samotnie wychowują dzieci, czekając na powrót męża. Bywa, że widują ich raz w miesiącu albo i rzadziej. Zdrady są na porządku dziennym nie tylko wśród facetów pracujących na północy, ale także wśród znudzonych, sfrustrowanych, przepracowanych żon.

Rozwody wśród nafciarzy są częstsze niż narodowa średnia – 9,7 rozwodu na tysiąc osób po ślubie w porównaniu do 7,7 w kraju według Statistics Canada.

• Odchodzący Trudeau nie cieszy się popularnością już nawet wśród stereotypowych postnowoczesnych, przyjaźnych, liberalnych wielkomiejskich Kanadyjczyków – a Albertczycy powtarzają z satysfakcją: „A nie mówiliśmy?”. Bo patrzyli nań sceptycznie od samego początku, kiedy jeszcze w kraju i na świecie panowała trudeaumania. Nigdzie nie widuje się tyle naklejek „Fuck Trudeau” na zderzakach co tutaj. Miejsco wi powtarzają półżartem, że najlepsze w jego rezygnacji jest to, że musiał ją złożyć dwukrotnie – bo raz po angielsku, a raz po francusku. Dzielią się memami z wiwatującym tłumem, gdzie na telebimie zamiast meczu hokeja wyświetla się przemowa premiera. Justin przegrał tak spektakularnie, że rozpad grozi całej Partii Liberalnej, najdłużej rządzącej partii w historii Kanady.

– To nie do uwierzenia, że kraj można zniszczyć w tak krótkim czasie – unosi się Erin, 40-letnia makijażystka, która do Alberta przeprowadziła się na studia z Manitoby. – Kiedy Trudeau dochodził do władzy, miał ogromne poparcie i doskonały, zrównoważony budżet. I wsparcie tatusia, też byłego premiera. Kraj się rozwijał, szedł do przodu. Jak to możliwe, żeby tak go zniszczyć? – powtarza.

Co zniszczyło kraj według Kanadyjczyków? W ankiecie Ipsos prawie połowa obywateli za największy problem społeczny, jakim powinien zająć się rząd, uznaje wzrost kosztów życia.

W Costco za solone masło płacę 10 dolarów, za litr średniej jakości oliwy z oliwek 15, za kilogram pomidorków koktajlowych 9,50, za kurczaka z grilla 8,50. A to tani dyskont. Bliżej domu w lokalnym sklepie sieci Safeway pajdę chleba, która ugina się pod palcem, kupię za 4 dolary, mrożoną pizzę za 7,50. A za litr wody gazowanej płacę 2.

– Z najzwyklejszych codziennych zakupów wracam lżejsza o 100 dolarów – śmieje się Milla, 40-letnia urzędniczka. – Więc kończy się tak, że kupuję to, na co mam ochotę, a nie to, co powinienam wybrać, myśląc o budżecie. Ostatecznie i tak zapłacę tyle samo.

– Myślałem, że kiedy będę zarabiał sześć cyferek [tak Kanadyjczycy mówią

o dochodach od 100 tysięcy dolarów rocznie], to będę żył jak król – wspomina Ben, 30-letni budowlaniec z St. Albert pod Edmonton. – A teraz okazuje się, że możesz zarabiać dwie średnie pensje, a i tak nie stać cię na kupno mieszkania. Ludzi, którzy budują domy, nie stać na to, żeby w nich mieszkać.

Ponad jedna trzecia Kanadyjczyków martwi się inflacją i stopami procentowymi pożyczek. Pozostałym sen spędzają z powiek kwestie – splecione ze sobą – mieszkalnictwa, imigracji i bezdomności. W ciągu jednego, 2023 roku populacja Kanady – zbliżona do polskiej – wzrosła o 1,1 mln osób. Kanadyjczycy sami są potomkami imigrantów i zawsze życzliwie witali nowych przybyszów; nawet podczas globalnego kryzysu migracyjnego minionej dekady, wywołanego rozpadem Libii, wojną domową w Syrii i terrorem Państwa Islamskiego, chlubili się swoją gościnnością kontrastującą z lękiem przed obcymi narastającym w Europie i w USA.

Ale teraz mają dość. Imigrantów winią za podwyżkę czynszów i kurczący się rynek pracy. – Ludzie przyjeżdżają tu i w ogóle się nie integrują – mówi Milla, która sama przyjechała z matką do Kanady z Serbii podczas wojny w byłej Jugosławii. – Moglibyśmy przyjmować nawet dwa miliony ludzi, jeżeli mielibyśmy do tego infrastrukturę i jeżeli oni by się integrowali. Ja nie skończyłam szkoły, a sobie radzę, bo można było znaleźć dobrą pracę bez wykształcenia. Teraz w Tim Hortonsie [popularna sieć ciastkarnio-kawiarni, kanadyjski odpowiednik Dunkin Donuts] pracują za minimalną studenci z Indii.

• Jadę autobusem przez centrum Edmonton. Muszę wysiąść dwa przystanki przed domem, bo do środka wsiada mężczyzna w czerwonych spodniach i zarządza, żeby przód autobusu wysiadł i zrobił mu miejsce. To przedstawiciel gangu Redd Alert złożonego wyłącznie z osób rdzennych.

Rdzenne gangi to temat delikatny, wynik połączenia dumy etnicznej, poczucia wykluczenia i krzywdy, pragnienia odwetu i codziennych trudności ekonomicznych. U młodych, gniewnych i sfrustrowanych przedstawicieli Pierwszych Narodów działa ten sam mechanizm co lata temu w USA, gdy w czarnych gettach na podglebiu braku perspektyw, dyskryminacji, kultury ulicznej i rapu wyrastały osiedlowe gangi.

– To naprawdę źli ludzie. Żeby wstąpić do ich gangu, trzeba zrobić coś serio złego, na przykład zgwałcić dziewczynę – tłumaczył mi współpasażer, kiedy jednego z pierwszych dni po przeprowadzce siedzieliśmy parę rzędów za parą ubraną na czerwono. Dowiedziałam się, że ten kolor zastrzeżony jest dla gangsterów i dla własnego bezpieczeństwa lepiej nie nosić go publicznie.

Oprócz przemocy każde większe miasto zmagą się z plagami bezdomności i uzależnień, które zwykle idą w parze. W centrum Edmonton narkotyki zażywają się otwarcie na ulicy, w metrze i na przystankach autobusowych. Po półtora roku potrafię rozpoznać zapach różnych narkotyków w toalecie miejskiej biblioteki. Przechodząc przez wiktoriano-biznesowe śródmieście, rozpoznaję, kto jest na mecie, a kto po fentanilu – pierwsi są agresywni, boksują się z powietrzem, próbują zaczeplić, a czasami uderzają przechodniów; drudzy stoją w półśnie, zgięci wpół, cudem wygrzywając z grawitacją.

– Kiedy my się zastanawiamy, skąd wziąć pieniądze na przedszkole albo na buty dla dziecka, w radiu robią debatę o eutanazji nastolatków z depresją bez informowania rodziców – oburza się Ben, 50-letni elektryk z Leduc pod Edmonton.

Można skwitować taki głos wzruszeniem ramion jako obiegową mądrość podobną do narzekania na odklejenie elit, jakie można usłyszeć w polskiej taksówce czy na bazarze. Ale wszyscy Albertczycy, których spotykam, deklarują, że nie ufają publicznym mediom. Jeżeli mówią o CBC, to z pogardą.

I chyba coś jest na rzeczy, jeśli w niedawnej porannej debacie w radiu CBC prezenterzy zastanawiali się, czy safe injection sites, czyli miejsca, w których uzależnieni mogą w obecności pielęgniarki, przyjąć dawkę, powinny powstawać w okolicy przedszkoli, szkół i parków. Puenta – musimy zaakceptować osoby uzależnione jako część naszej wspólnoty, bo nie pozwalając im przebywać wśród dzieci, nie traktujemy ich równościowo.

Problem w tym, że równościowe, troskliwe i odpowiedzialne – bo przecież nie można chować głowy w piasek, problem narkotykowy dotyka również uczniów – założenie pomija fakt, że takie miejsca poza szukającymi pomocy uzależnionymi zwykle przyciągają też bezdomnych oraz dilerów.

• Do tej pory prowincja żyła w cieniu kraju postrzeganego jako progresywny, tolerancyjny, siedząc cicho i ciężką pracą budując jego dobrobyt. Ale Alberta nie chce już być tylko energetycznym zapleczem Kanady. Skoro na nas wisi budżet kraju, to też chcemy wpływać na kulturę i politykę.

Jak może wyglądać ten wpływ, pokazuje Danielle Smith, premierka prowincji, nazywana Trumpem w spódnicy. Zaszczepionych na COVID, których porównywała do Niemców ulegających urokom Hitlera, przeprosiła, ale nie zmienia zdania w najważniejszych kwestiach: chce bronić granicy, uzbroić obywateli, zlikwidować podatek węglowy i bronić energetyki. A najchętniej widziałaby Albertę jako region autonomiczny.

Z tego wolnościowego raju zbożem i ropą płynącego pochodzi Pierre Poilievre, lider Konserwatywnej Partii Kanady, typowany na przyszłego premiera. W odróżnieniu od odchodzącego w marcu Trudeau Poilievre nie pochodzi z rodziny z długą tradycją w polityce i biznesie – jest synem nastolatki, wychowali go adopcyjni rodzice z klasy średniej. Klasa ludowa i robotnicza docenia jego opowieści o tym, że zamiast chodzić na siłownię, idzie w pole porzucać oponą do traktora albo biega pod górę z 30-kilogramowymi sankami; w oczach liberalnych wyborców środka uwiarygodniają go pochodząca z Wenezueli żona Anaïda i deklaracje, że ceni kanadyjskie bogactwo wielu kultur.

Pod tym względem zawodzi również porównania do Trumpa. Ale wszystko inne – niewyparzony język, zamilowanie do kontrowersji jako metody autopromocji, krytyczne wycieczki pod adresem tzw. progresywnej agendy, od ekologii po migrację – się zgadza.

Szerszą popularność Poilievre zaczął zdobywać, kiedy poparł kierowców ciężarówek strajkujących w trakcie pandemii – tych samych, których Trudeau nazwał rasistami i którym zablokował konta. Teraz obiecuje że utnie podatek węglowy (jego kampania „Axe the tax!” cieszy się powodzeniem w mediach społecznościowych), że zbuduje nowe mieszkania, zreperuje budżet, powstrzyma przestępczość, położy nowe gazociągi, wesprze sektor technologiczny i uczyni z Kanady najlepsze miejsce do inwestowania na świecie.

Ale najwięcej mówi o energetyce. Chce, żeby Kanada inwestowała jeszcze więcej w wydobywanie i stała się energetycznym supermocarstwem. Argumentuje, że dzięki eksportowi „czystego” ziemnego gazu jego kraj może pomóc

Europie uniezależnić się na zawsze od Rosji, ograniczyć zużycie węgla w innych krajach świata i przez to pomóc środowisku.

W podcaście innego sławnego Albertczyka, nazywanego przez krytyków „guru inceli”, psychologa Jordana Petersona, tak opisuje myśl przewodnią swojej partii: „Chcemy przywrócić kanadyjską obietnicę – że każdy, kto ciężko pracuje, otrzyma świetną pensję i emeryturę, które pozwolą mu na zakup dobrego jedzenia i ładnego domu w bezpiecznej okolicy; że ktokolwiek skądkolwiek może zrobić wszystko i że ludzie są odpowiedzialni za swoje życie”.

Jeżeli Partia Liberalna do września nie znajdzie nowej, charyzmatycznej postaci na miejsce Trudeau, Poilievre właściwie nie ma konkurencji. Chris Day, ekspert od komunikacji w polityce, w podcaście „The Big Story” podsumowuje popularność Poilievre’a trzema M – Man, Message, Moment. Mężczyzna, Misja, Moment. Jego popularność jest efektem nie tylko tego, co reprezentuje i co obiecuje, ale także momentu w historii Kanady, kiedy ludzie są szczególnie głodni zmiany.

– To nie jest tak, że nagle po latach stałam się konserwatystką – mówiła mi Erin, zanim jeszcze Trudeau ogłosił rezygnację. – Wierzę w równość małżeńską, w prawo do aborcji, w te wszystkie liberalne ideały. Ale Poilievre im nie zagraża. A obiecuje przywrócenie jakiegoś ładu w tym kraju. Niezależnie od poglądów ludzie mają dość Trudeau, dość jego hipokryzji i dość jego partii. Stracili zaufanie i już go nie dostaną.

Kanada została bez lidera tuż przed zaprzysiężeniem Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wielu uważa, że rezygnując przed zakończeniem kadencji, Trudeau stchórzył, bo obawiał się negocjacji z nowym prezydentem. Jeszcze pod koniec roku Trudeau przestał mówić o „kanadyjskiej części Arktyki”, a zaczął o „północnoamerykańskiej”, co eksperci zinterpretowali jako znak, że jest otwarty na współdzielenie cennej strategicznie i surowcowo terytorium ze Stanami Zjednoczonymi. Co może i byłoby sensowne samo w sobie i zrozumiałe, zważywszy na dysproporcje między sąsiadami – rzecz w tym, że jeszcze przed rozpoczęciem negocjacji, ba, przed sformulowaniem przez nową administrację konkretnych oczekiwań, wysłał sygnał, że jest gotowy na ustępstwa.

To, że prezydent elekt proponuje Kanadyjczykom dołączenie do USA jako 51. stan, można uznać za niesmaczny żart lub typową dla Trumpa retoryczną przygrywkę do rozmów o nowym podziale obciążeń obronnych i pomocy militarnej udzielanej Kanadzie (trumpiści postrzegają wspieranie „z naszych podatków” obronności zamożnej, pacyfistycznej Kanady nawet bardziej krytycznie niż pomoc walczącej Ukrainie).

Republikanie wiedzą, że Kanada nie jest na sprzedaż. Ale już zapowiadane przez Trumpa 25-procentowe cła na kanadyjskie produkty to poważna groźba. Od eksportu zależą miliony miejsc pracy oraz siła kanadyjskiego dolara. 20 proc. amerykańskich samo-

chodów produkuje się w Kanadzie, a Trump chce przenieść produkcję z powrotem do Detroit, upadłego „Motor City”. „Nie potrzebujemy ich samochodów, nie potrzebujemy ich mleka, nie potrzebujemy ich drewna” – powtarza. Tymczasem sam syrop klonowy odpowiada za dodatkowe 100 milionów dolarów rocznie w kanadyjskim budżecie.

Trudno znaleźć bliższych partnerów biznesowych niż ci sąsiedzi. Kanada jest czwartym na świecie producentem i trzecim eksporterem ropy – ale 95 proc. produkcji eksportuje do Stanów. Nie tylko dla Amerykanów, również dla siebie ma zbyt mało rafinerii, dlatego wysła swój surowiec na południe, by odkupić już przetworzony.

Z południa pochodzi też połowa kanadyjskiego importu – bez USA Kanadyjczycy nie mają (albo mają, ale znacznie droższe) bananów i cytrusów. Choć ulubione frytki Trumpa McDonald’s wytwarza z kanadyjskich ziemniaków z Wyspy Księcia Edwarda.

Cła Trumpa to największa bitwa, która czeka Albertę, może nawet – z punktu widzenia budżetu – poważniejsza od prób ograniczenia wydobycia z powodów ekologicznych. Kanadyjczycy pocieszają się, że groźby Trumpa wynikają po prostu z jego biznesowego sposobu prowadzenia negocjacji – zaczyna wysoko, żeby później przy stole negocjacyjnym dużo wygrać.

Przed Poilievre’em zadanie niemal niemożliwe, bo jego „trumpistowscy” wyborcy i będąca ekonomicznym sercem Kanady „trumpistow-

ska” Alberta oczekują, że w interesie ich, „trumpistów”, i ich kraju postawi się samemu Trumpowi, broniąc przed nim tych filarów gospodarki, które temuż Trumpowi są bliskie. Będzie też musiał dopieścić „trumpistowski” światopogląd i obyczajowość ziomków, ale nie pozwalając socjalmediowym harcownikom i propagandystom nowego prezydenta radykalizować sytuacji u siebie.

Bo choć w Albercie, sercu konserwatywnej Kanady, od dawna odbywają się najbardziej ogniste spory o kwestie społeczne – nie przeradzają się one w taką wojnę kulturową jak w USA. Jeśli – a wszystko na to wskazuje – w najbliższych wyborach Kanada obierze kurs na prawo, pod banderą najbardziej zachowawczej prowincji, to jednak kanadyjski konserwatyzm jest inny niż obecny europejski czy amerykański i nie przedzierzgnął się w obskurantki alt-right. Nie zapowiada się, żeby kraj czekały ogromne zmiany obyczajowe, bo nawet truckerzy czy brodaci myśliwi z największych pick-upów nie są w kwestiach obyczajowych tak radykalni i zacietrzewieni jak ich odpowiednicy z Teksasu czy Missouri.

W miastach Alberty co rusz można się natknąć na protest w obronie praw osób transseksualnych, łazienki „dla wszystkich płci” w restauracjach stają się normą, mało kto – przynajmniej głośno – kwestionuje wsparcie finansowe dla osób rdzennych czy imigrantów. No i właśnie tu odbywa się największa na kontynencie edycja festiwalu Fringe kojarzonego z wszystkim, co niezależne, alter-

natywne, łamiące tradycyjne normy, ekscentryczne i liberalne.

Aborcja i eutanazja są dostępne, osoby homoseksualne mogą się pobierać i adoptować dzieci, marihuanę można kupić bez szykan na każdym rogu. Wojna o swobody obyczajowe została wygrana i krajobraz po tych potyczkach podoba się również tradycjonalistom. Ludzie chcą głosować na konserwatyistów i prawieć nie przeciwko osobom LGBT+ czy z obawy przed omniennością kulturową migrantów.

Więc jeśli Poilievre dotrzyma obietnicy, stworzy energetyczne supermocarstwo i obroni kraj przed Trumpem, Kanada wciąż – nawet w mniej stereotypowym, „trumpistowskim” wydaniu, nie tak otwarta, łagodna, progresywna i wielkowiejska – może być dla świata wzorcem społecznej równowagi i „fajnego kraju do życia”.



FOT. JOANNA GOŁEMBIEWSKA

Małgorzata Sidz

• ur. w 1990 r., japonistka, specjalistka od Azji Wschodniej, reporterka. Autorka książek reporterskich „Kocie Chrzczyny. Lato i zima w Finlandii”, „Mądre matki, dobre żony. Kobiety w Korei Południowej” i powieści „Pół roku na Saturnie”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34355407

DO 24 STYCZNIA

Zamów PRENUMERATĘ TECZKOWĄ „Wyborczej” — na luty 2025 u swojego sprzedawcy prasy

- Masz pewność, że każde wydanie będzie na Ciebie czekać (zamawiasz gazetę na cały miesiąc z góry)
- Masz niższą cenę niż przy zakupie pojedynczych wydań każdego dnia
- Masz bezpłatny dostęp do Wyborcza.pl*
- Masz gwarancję niezmienności cen w okresie realizacji prenumeraty
- Możesz zostać członkiem Klubu Wyborczej i mieć dostęp do archiwum tekstów



CENA
179,90 zł**



Dostęp także do
Wyborcza.pl*

* Prenumeratorów teczkowych zapraszamy do Klubu „Wyborczej”. Jego członkowie mogą m.in. uczestniczyć w spotkaniach online z redakcją i jej gośćmi.

Dodatkowo Klubowicze mają dostęp do archiwum tekstów „Wyborczej”. Co zrobić, by zostać członkiem Klubu:

1. Skontaktuj się z naszą infolinią, tel. 22 555 54 55 (od poniedziałku do piątku w godz. 8-17). 2. Podaj numer dowodu zakupu prenumeraty teczkowej. Zapraszamy. ** Cena sugerowana



• Izraelscy żołnierze przy granicy z Libanem na początku grudnia, tuż po zawieszeniu działań militarnych przeciwko Hezbollahowi

FOT. REUTERS/SHIR TOREM

Izrael próbuje trwale zmienić układ sił

TASOWANIE NA BLISKIM WSCHODZIE

Operacje wojskowe Izraela w Strefie Gazy, Libanie i Syrii zwiększyły bezpieczeństwo jego granic i bardzo osłabiły irańską oś w regionie. Ale czy premier Netanjahu wie, że pycha kroczy przed upadkiem?

Isabelle Lasserre

LE FIGARO

W pierwszej fazie izraelskiej odpowiedzi militarnej na atak Hamasu z 7 października 2023 r. zwycięstwo z „irańską ośmiornicą” wydawało się poza zasięgiem rządu Benjamina Netanjahu. Prawie piętnaście miesięcy później terrorystyczny Hamas został pozbawiony przywództwa, libański Hezbollah jest w chaosie, a wpływy Iranu w Syrii w dużej mierze wyeliminowane.

„Rok temu Izrael był strauumatyzowany i upokorzony. Dziś odzyskaliśmy kontrolę i to Iran jest w defensywie”, podsumował to izraelski dyplomata w zakulisowej rozmowie podczas Dialogu Strategicznego Europa-Izrael, który odbył się w grudniu.

Rodziny izraelskich jeńców pozostających w niewoli w Gazie wciąż wykrzykują swój gniew na rząd na tzw. Placu Zakładników w Tel Awiwie, ale ogólnie popularność premiera – który w miesiącach przed atakiem Hamasu i po nich był pod rosnącą presją – wzrosła.

„Nawet ludzie lewicy”, mówi nam wspomniane źródło, „zastanawiają się dziś, czy Bibi ostatecznie nie miał racji i czy nie jest

obecnie jedynym politykiem w Izraelu, który ma jakąś strategiczną wizję”.

W Strefie Gazy Hamas de facto został pokonany. Według izraelskich służb źródła bezpieczeństwa, pozostał tam pod bronią zaledwie batalion liczący około tysiąca bojowników. Reszta została „wyeliminowana” lub „aresztowana”. Uderzenia militarne są teraz kontynuowane w celu „zmniejszenia wpływu”, jaki Hamas nadal posiada na tamtejszą infrastrukturę cywilną. „To jest nasza strategia w Gazie: niszczyć Hamas tak długo, aż przestanie mieć jakikolwiek wpływ wśród Palestyńczyków. Uniemożliwić mu powrót do władzy nad Autonomią”.

Infrastruktura militarna Hezbollahu w Libanie wskutek interwencji izraelskiej armii w tym kraju została w dużej mierze zniszczona, a jego przywódcy prawie w komplecie zabici, łącznie z długoletnim przywódcą tej szyickiej organizacji, Hassanem Nasrallahem. „Organizacyjnie cofnęliśmy Hezbollah o dziesięć lat. A jeszcze trzy miesiące temu wydawało się to scenariuszem z rodzaju science fiction. Ale dokonaliśmy tego”, pogratulował sobie Netanjahu tuż po zawieszeniu broni w Libanie 27 listopada.

Efekt ataku Hamasu: przeciwny od zamierzonego

Niespodziewany upadek Baszara al Asada w Syrii na początku grudnia, będący bezpośrednią konsekwencją izraelskiej wojny z Hezbollahem, ale także związania całej siły Rosjan w Ukrainie, dał Izraelowi szansę, która została natychmiast wykorzystana przez dowództwo. Armia wykorzystwała upadek karta z Damaszku, aby zniszczyć arsenały syryjskiego reżimu i zapobiec ich przejściu przez szyckie bojówki wrogie Izraelowi lub przez nowe dżihadystyczne władze Syrii. Składy amunicji, okręty, samoloty i lotniska, pociski, broń chemiczna i wojskowe ośrodki badawcze: wszystko to stało się bezbronnym celem armii izraelskiej, która od dawna uważała Syrię za miejsce kluczowe dla Iranu pod względem handlu bronią i szkolenia terrorystów.

Trwa czwarty etap prowadzonej przez Izrael w regionie wojny, który prawdopodobnie również zakończy się sukcesem. Został on otwarty po nowych atakach rakietowych jemeńskich Huti, kolejnego sojusznika

Iranu, który w ostatnich latach dzięki Teheranowi bardzo urósł w siłę. Izrael odpowiedział atakami na cele wojskowe szyickich rebeliantów. „Będziemy polować na wszystkich przywódców Huti i uderzać w nich, tak jak robiliśmy to w innych miejscach. Żaden wróg nie będzie w stanie nam uciec”, oznajmił minister obrony Israel Katz. Sam premier Netanjahu zapewnił, że ataki będą kontynuowane „dopóki zadanie nie zostanie wykonane”, ponieważ „musimy odciąć tę terrorystyczną gałąź od irańskiej osi zła”.

Strategia izraelskiego rządu znacznie osłabiła irańską oś w regionie i odcięła „szyicką autostradę” łączącą Teheran z Bejrutem przez Syrię i wykorzystywaną m.in. do zaopatrywania Hezbollahu w broń. Trwale osłabiło to również irański reżim, który został pozbawiony ochrony i odstraszania, które zapewniali mu jego sojusznicy w regionie. Atak na Izrael z 7 października 2023 spowodował przetasowanie kart w regionie, ze skutkami odwrotnymi do oczekiwanych przez jego sprawcę, lidera Hamasu Jahya Sinwara, który zresztą także został zabity.

„Potwierdza to, że jedynym językiem, który działa w tym regionie, jest język siły. Dziś dominuje siła, a nie polityka”, uważa Udi Dekel, badacz z Instytutu Studiów nad Bezpieczeństwem Narodowym (INSS) w Tel Awiwie.

Wraca idea pojednania z Saudami

Według optymistów, po zwycięstwie Izraela na wielu frontach militarnych może nadejść także sukces dyplomatyczny. Po zawieszeniu broni w Libanie wielu liczy na negocjacje w celu zapewnienia zawieszenia broni i uwolnienia zakładników w Strefie Gazy, nawet jeszcze przed styczniowym objęciem urzędu przez prezydenta elekta Donalda Trumpa (o postępach w rozmowach katarscy negocjatorzy faktycznie donosili w ostatnim tygodniu). Teoretycznie osłabienie proirańskiej osi szyickiej mogłoby zachęcić do stworzenia alternatywy politycznej w samym obozie palestyńskim i przywrócenia silnych instytucji państwowych w Libanie, a także nowej równowagi w pozbawionej Asada Syrii.

„Magiczne myślenie” Trumpa, który chce położyć kres wojnom w Europie i na Bliskim Wschodzie, aby móc skoncentro-

wać się na polityce wewnętrznej w samej Ameryce oraz na konfrontacji gospodarczej z Chinami, z jednej strony budzi obawy przed lekkomyślnymi ruchami USA, ale z drugiej ożywia ideę nowej integracji regionalnej pomiędzy Izraelem a umiarkowanymi krajami arabskimi – ideę, której orędownikiem był Trump podczas swojej pierwszej kadencji.

Wstrzymana po 7 października normalizacja stosunków między Izraelem a Arabią Saudyjską powraca jako temat rozmów. „Saudyjskie władze muszą działać powściągliwie ze względu na arabską opinię publiczną, która jest nadal bardzo wrażliwa na kwestię palestyńską. Jednak wobec braku szans na szybkie tzw. rozwiązanie dwupaństwowe, książę Muhammad bin Salman może zadowolili się zobowiązaniem Izraela do „wejścia na drogę w kierunku utworzenia państwa palestyńskiego”. Jest to zarazem formuła, która może być również do zaakceptowania przez Izrael.

„W zamian Rijad może wreszcie uzyskać od Waszyngtonu bilateralny pakt o obronie i bezpieczeństwie, a wtedy umowa o normalizacji stosunków z Izraelem będzie na wyciągnięcie ręki”, wyjaśniał dyplomata Eric Danon, były ambasador w Izraelu, jeszcze przed wyborczym zwycięstwem Trumpa w listopadzie.

Jednak za zwycięstwem militarnym i dyplomatycznymi gestami wciąż kryje się wiele niewiadomych. Pierwsza z nich dotyczy sytuacji w Iranie, pozostającym zasadniczym problemem strategicznym Izraela. „Teheran od dawna nie był tak osłabiony ekonomicznie, politycznie i militarnie. Iran rozumie, że jego strategia szachowania Izraela przez Hamas i Hezbollah, rozwijana przez ostatnich piętnaście lat, w nadziei, że państwo żydowskie nie będzie miało czasu ani siły na interesowanie się irańskim programem nuklearnym, zawiodła”, wyjaśnia Udi Dekel, analityk z INSS.

Izrael odzyskał sprawczość w regionie

Eksperti i dyplomaci przewidują różne scenariusze. Pesymistyczny zakłada, że zdesperowany Iran, aby zrekompensować swoją nagłą słabość, podejmie decyzję o budowie bom-

by atomowej. Izrael mógłby wówczas opóźnić ten projekt, bombardując obiekty nuklearne Republiki Islamskiej, z pomocą lub – co bardziej prawdopodobne – tylko przy aprobachie Stanów Zjednoczonych. „Od 7 października 2023 mówimy stale o wojnie między Iranem a Izraelem. Ale dopiero teraz ataki na obiekty nuklearne są możliwe i prawdopodobne jak nigdy dotąd”, mówi izraelskie źródło z kręgów rządowych. O ile oczywiście impet dyplomatyczny wywołany powrotem Trumpa nie ożywi w jakiś paradoksalny sposób porozumienia nuklearnego między Stanami Zjednoczonymi a Iranem.

Ale na jak długo da się ugłaskać reżim ajatollahów? „Polityka powstrzymywania Iranu zapewnia tymczasowe rozwiązania większości problemów. Jednak tylko opóźni kolejne ataki na wzór tego z 7 października i zaledwie spowolni marsz Iranu w kierunku uzyskania broni nuklearnej. Bez zmiany reżimu w Teheranie nie będzie trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie”, komentuje anonimowo irański analityk mieszkający w Europie.

Nawet jednak uwzględniając gotowość nowej amerykańskiej administracji do radykalnych rozwiązań, kwestia ta nie zostanie rozwiązana w ciągu kilku miesięcy. „Bezpośrednie granice Izraela są teraz mniej lub bardziej bezpieczne. Ale szerszy krąg, który rozciąga się aż do Iranu, Turcji i Jemenu, będzie poważnym wyzwaniem dla Izraela w 2025 roku”, ostrzega Éric Danon.

Kolejny problem stanowi sam Benjamin Netanjahu, dla którego wojna – i skuteczna obrona kraju – pozostaje obecnie głównym politycznym paliwem. W tym kontekście jego zdolność i gotowość do znalezienia politycznego rozwiązania dla Palestyńczyków jest wątpliwa.

„Musimy mieć komfort przewagi militarnej, ponieważ nasi sąsiedzi są twardzi i tak też grają. Ale musimy też mieć wolę kompromisu, by móc wykończyć politycznie uzyskaną poprzez wojnę przewagę”, podsumował to Chaim Weitzman, profesor Uniwersytetu Reichmana, na spotkaniu zorganizowanym w Tel Awiwie przez American Jewish Committee.

Co prawda da się słyszeć głosy bardziej optymistyczne, nawet po stronie palestyńskiej. Na przykład Samer Abdelrazzak Sinjilawi, odpowiedzialny w Fatahu za stosunki z Izraelem i społecznością międzynarodową, mówi: „Zniszczenie Hamasu jest dla Palestyny dobrą wiadomością, ale to nie wystarczy. Teraz jest okazja, by sami Palestyńczycy zainicjowali zmiany, które z czasem otworzą drogę do zmian w Izraelu. Potrzebujemy nowego przywództwa po obu stronach, ponieważ Netanjahu i Mahmud Abbas nigdy do niczego nas nie doprowadzą. Myślę jednak, że jesteśmy bliżej porozumienia i zakończenia konfliktu żydowsko-palestyńskiego niż kiedykolwiek”.

Na razie jednak wciąż nie rozstrzygnięto, jak będzie wyglądała najbliższa przyszłość w Strefie Gazy i kto przejmie kontrolę nad enklawą. Już sam brak zupełnie podstawowych ustaleń stanowi przeszkodę dla pokoju. „Netan-

jahu ma polityczną wizję równowagi sił w regionie, ale nie ma żadnego politycznego rozwiązania kryzysu palestyńskiego. Przedkłada bezpieczeństwo nad pokój. Biorąc pod uwagę przewagi uzyskiwane obecnie przez Izrael na polach walki, nie spieszmy mu się z trwałym i definitywnym rozwiązywaniem konfliktu. Chce zyskać jak najlepsze pozycje”, podsumowuje były amerykański ambasador Éric Danon.

Hamas wygrał wojnę komunikacyjną

Inny problemem Izraela jest opinia międzynarodowa, mająca mu za złe bezwzględność i brutalność operacji wojskowych wobec cywilów i zrównanie Gazy z ziemią. Wygląda na to, że kraj będzie również musiał przez długi czas zmagać się z pewną międzynarodową izolacją i wzrostem antysemityzmu – oba te zjawiska już od miesięcy towarzyszą militarnej reakcji Izraela na masakry z 7 października. Również w tym przypadku Netanjahu ponosi część odpowiedzialności.

„Premier pozwolił Hamasowi narzucić opinii publicznej na Zachodzie narrację o konflikcie, odmawiając zagranicznym dziennikarzom możliwości relacjonowania wojny w Strefie Gazy. Zapomniął, że globalne media muszą dziś być codziennie karmione nowymi obrazami i nowymi emocjami. A tych – z niszczonej Gazy – dostarczył Hamas, który wygrał wojnę komunikacyjną, a tym samym bitwę o serca, podczas gdy Netanjahu wolał nie epatować świata wstrząsającymi obrazami z 7 października – raz, aby nie dostarczać inspiracji kolejnym terrorystom, a dwa, aby nie podkreślać skali klęski izraelskich służb bezpieczeństwa, które nie zapobiegły atakom”, wyjaśnia Éric Danon.

Na Netanjahu czekają zamrożone problemy

Wreszcie, chociaż wojna zamroziła inne problemy izraelskiego społeczeństwa, to przecież nie zostały one rozwiązane. Dotyczy to w szczególności forsowanej przez Netanjahu reformy wymiaru sprawiedliwości, która w 2023 r. skłoniła dziesiątki tysięcy demonstrantów do regularnego wychodzenia na ulice w proteście przeciwko rządowi, w którym zasiadają ministrowie ze skrajnej prawicy.

Ale kolejnym problemem jest status i ulgowe traktowanie ultraortodoksów, którzy są zwolnieni ze służby wojskowej, co stało się bardzo drażliwą kwestią od początku wojny.

Ponadto w samym Izraelu wielu ludzi zadaje sobie pytanie: jaki jest sens tego wszystkiego? „Ta wojna ma sens tylko, jeśli w jej rezultacie Hamas zostanie złamany na dobre i nigdy więcej nie zdoła prowadzić operacji wojskowych”, uważa Éric Danon.

Czy granicząca z pychą pewność siebie Netanjahu popchnie go do całkowitej aneksji Zachodniego Brzegu? Udi Dekel z INSS ostrzega: „To byłby koniec państwa Izrael. Największym zagrożeniem dla Izraela jest przekształcenie w państwo unitarne, ponieważ wtedy nie będzie już ono ani demokratyczne, ani żydowskie”. ●

Czy w szaleństwie jest metoda

Zarządzanie przez chaos

Skoro wszyscy są przekonani, że Trump blefuje, to żeby się uwiarogodnić, będzie musiał naprawdę zrobić coś szalonego.

Robert Stefanicki

Grenlandię kupi lub przejmie siłą. Kanadę przyłączy do USA. Panamie odbierze kanał. Wszystkich jak leci uderzy wysokimi clami, bo „clo to najpiękniejsze słowo”.

Przy nowym prezydencie Stanów Zjednoczonych przywódca Rosji, Korei Północnej czy Iranu wydają się wręcz przewidywalnymi satrapami usiłującymi po prostu metodycznie realizować swoje cele. Cały świat zastanawia się, czy on tak na poważnie. Czy naprawdę mógłby zrealizować swoje groźby? A jeśli nie, to dlaczego plecie takie farmazony?

Sporo już o Trumpie wiemy. Np. to, że imponuje mu siła, że jest łasy na pieniądze i pochlebstwa, oraz że uwielbia skupiać na sobie uwagę i robi to na sposób patostreamerów. Poczucie wstydu, żenady jest mu obce. Podobnie jak jego bardziej cyborgowa wersja, Elon Musk, szczyci się mocą bezkarnego prowokowania i dezinformowania.

Dziś jest upojony władzą: zamiast do więzienia, po raz drugi trafił do Białego Domu, stając na czele najpotężniejszego państwa świata. Władza jest dla niego tożsama z prawem do użycia przymusu, nie tylko wobec wrogów, ale i sojuszników. Postrzega świat w kategoriach konfliktu o sumie zerowej. Wierzy, że groźby są najlepszą drogą, aby wywołać zmianę w postępowaniu innych krajów.

Wciąż jednak trudno powiedzieć czy naprawdę chce realizować co bardziej szalone pomysły, czy tylko wzbija nimi kurz. W myśl założenia: jeśli zapowiem 30 absurdów, a zrealizuję trzy, na których mi zależy, to i tak wszyscy odetchną z ulgą. Jego pierwszej kadencji nie daje jednoznacznej odpowiedzi. Wtedy biurokratyczne otoczenie go mocno temperowało, teraz może być z tym gorzej, bo nauczony doświadczeniem obsadza swoją nową administrację lojalistami. Pozostaje liczyć na zdroworozsądkowy opór Kongresu, gdzie część deputowanych z jego partii jest gotowa się czasem postawić.

A może to igrzyska

Możliwe, że Trump struga wariata tylko na pokaz, w ramach igrzysk dla elektoratu. Jego wyznawcy cenią sobie krzykliwe, memiczne hasła bardziej niż realne osiągnięcia. Przypomnijmy sztandarową obietnicę z poprzedniej kadencji: miało powstać „wielkie, piękne” ogrodzenie na granicy z Meksykiem. Trump go nie zbudował, ale fani nie mają mu tego za złe. „Fizyczna manifestacja bariery na południowej granicy nie miała znaczenia. [Zwolennicy Trumpa] ekscytowali się ideą muru jako wyrazem siły i buntu”, napisał w „Foreign Policy” Steven M. Walt. Gdy Demokraci w Kongresie zaoferovali sfinansowanie ogrodzenia w zamian za drobne ustępstwa w polityce imigracyjnej, Trump stracił zainteresowanie projektem.

Na Grenlandię wysłał nie kogoś z doświadczeniem dyplomatycznym czy wojskowym, tylko swojego

syna, który zajmuje się monetyzacją marki „Trump” i zabawianiem bazy w mediach społecznościowych. Walt podkreśla, że rzeczywista, konkretna agenda polityczna prezydentury Trumpa składa się w dużej mierze z nudnych przysług regulacyjnych i podatkowych dla bogatych darczyńców – to priorytety, które nie interesują większości jego wyborców.

Machiavelli à la Nixon

Drugim powodem lansowania szalonych pomysłów najpewniej jest chęć wymuszenia na innych krajach rozmaitych ustępstw. Trump wierzy, że jeśli będzie wydawał się irracjonalny i niebezpieczny, to wzmocni jego pozycję negocjacyjną.

Ta idea ma korzenie sięgające Niccolò Machiavellego, który w „Rozważaniach nad pierwszym dziesięcioksięgiem historii Rzymu Liwiusza” zasugerował, że „czasami jest to bardzo mądre, aby symulować szaleństwo”. Współcześnie „teoria szaleńca” jest przypisywana prezydentowi Richardowi Nixonowi. Jego szef sztabu, Harry „Bob” Halde-man, napisał we wspomnieniach, że w 1968 r. szef zwierzył mu się, iż zamierza przekonać Wietnamczyków, że byłby zdolny użyć broni jądrowej, jeśli się nie poddadzą. „Nazywam to teorią szaleńca, Bob. Chcę, żeby Wietnamczycy z Północy uwierzyli, że osiągnąłem punkt, w którym mogę zrobić wszystko, aby powstrzymać wojnę. Po prostu im powiemy, że ‘na litość boską, wiecie, że Nixon jest opętany antykomunizmem. Nie możemy go powstrzymać, gdy jest zły – i trzyma rękę na nuklearnym przycisku’, a sam Ho Chi Minh będzie w Paryżu za dwa dni, błagając o pokój”.

Te nadzieje były płonne, Nixon nic nie wskórał. Potem jeszcze w październiku 1969 jego administracja zasugerowała Sowietom, że „szaleniec jest na wolności”, gdy wojsko amerykańskie otrzymało rozkaz przejścia w stan pełnej gotowości bojowej (bez wiedzy społeczeństwa amerykańskiego), a bombowce uzbrojone w broń termojądrową przez trzy kolejne dni wykonywały loty w pobliżu granicy radzieckiej.

Nixon nauczył się sztuki groźby jako wiceprezydent u Eisenhowera. Niedługo po objęciu urzędu w 1953 r. Eisenhower ostrzegł Chińczyków, że jeśli nie zgodzą się zakończyć wojny koreańskiej, przeprowadzi atak nuklearny. Potem ustępstwo ze strony Pekinu błędnie przypisał użyciu szantażu atomowego.

Jeffrey Kimball w książce „Wojna wietnamska Nixona” zasugerował – co interesujące w kontekście Trumpa – że Nixon cierpiał na zaburzenie osobowości, które predysponowało go do dyplomacji groźby. Jego zachowanie „wykazywało cechy paranoi, aspołeczności, narcyzmu i biерnej agresji”.

Czy teoria szaleńca działa?

Badania historyczne nie dają jednoznacznej odpowiedzi; niektóre wskazują, że nieprzewidywalność jako doktryna strategiczna może mieć jakąś skuteczność. Ale pod pewnymi warunkami.

Spójrzmy na dokonania Trumpa z pierwszej kadencji. W 2017 r.

zaostrzył retorykę wobec Korei Północnej, grożąc jej „ogniem, furia i siłą, jakiej ten świat nigdy wcześniej nie widział”. Następnie dokonał wolty i odbył z Kim Dzong Unem trzy spotkania w serdecznej atmosferze, które nie przyniosły nic poza efektownymi sesjami zdjęciowymi i krótkotrwałym zawieszeniem przez Pjongjang testów raketowych.

Jednocześnie jego administracja starała się renegocjować warunki umowy o wolnym handlu z Koreą Południową. Trump nakazał swojemu negocjatorowi ds. handlu, Robertowi Lighthizerowi, aby ostrzegł Seul: „Ten facet jest tak szalony, że może się wycofać z umowy w każdej chwili”.

Ostatecznie ustępstwa poczynione przez Seul były skromne. A największy sukces prezydenta Trumpa w polityce zagranicznej – Porozumienia Abrahama, czyli nawiązanie relacji z Izraelem przez kilka państw arabskich – wynikał z oferowania zachęt, a nie szaleńczych gróźb.

Zdaniem Jonathana Stevensona (członka Narodowej Rady Bezpieczeństwa za Obamą), problem tkwił w małej wiarygodności Trumpa. Jego groźby są uważane za „standardową procedurę operacyjną”, a nie przejściową reakcję emocjonalną. Wyrachowany szaleniec to oksymoron, wzbudza mniejszy strach. Tak też było z Nixonem – jego gambit z zastraszeniem Moskwy się nie powiódł, gdyż radzieccy urzędnicy do brze go znali i wiedzieli, kiedy udawał. Podobnie jest z Putinem, którego groźby użycia broni jądrowej nie robią szczególnie dużego wrażenia na adwersarzach. A Trump dodatkowo chlubi się tym, że jest „szalony”. Przypomnijmy powieściowy paragraf 22: jeśli ktoś zgłasza się do lekarza jako wariat, to tym samym demaskuje się jako symulant.

Według politologów Samuela Seitza i Caitlin Talmadge, taktyki „na szaleńca” zazwyczaj „nie wzmocniają strategii odstraszenia ani nie generują siły przetargowej”. Podają trzy główne powody: państwa będące celem nie otrzymują wiadomości, którą „szaleniec” myśli, że wysłał; państwa będące celem nie uważają zachowania „szaleńca” za wiarygodne (tzn. nie wierzą, że spełni on swoje groźby); państwa będące celem nie poddają się „szaleńcowi”, nawet jeśli wierzą w jego retorykę, ponieważ postrzegają go jako niezdolnego do składania wiarygodnych zapewnień dotyczących jego przyszłego zachowania. Czy jakkolwiek przywódca światowy uwierzy Trumpowi, że ten dotrzyma słowa na jakikolwiek temat?

Daniel W. Drezdner na łamach „Foreign Policy” zauważa, że przekonanie, iż Trump tylko odgrywa rolę szaleńca, jest pocieszające. Oznaczałoby, że prywatnie doskonale zdaje sobie sprawę z dramatycznych skutków, jakie wywołałaby realizacja jego pomysłów i nie wcielił ich w życie. Ale nie cieszymy się na zapas, bo i tu potykamy się o paragraf 22: jeśli Trump nie jest w stanie przekonać nikogo, że naprawdę jest szaleniem, to jedynym sposobem, w jaki mógłby tego dowieść, jest zrealizowanie swoich najbardziej absurdalnych gróźb. ●

PLEBISCYT „KSIĄŻKA 25-LECIA”

Strach

fantastyczny



FOT. GETTY IMAGES/ISTOCKPHOTO

Czy polska fantastyka to tylko dziadersi i Andrzej Sapkowski?
Co wspólnego z nią ma Olga Tokarczuk? Kogo z nurtu fantastycznego warto poczytać?
Marcin Zwierchowski, dziennikarz „od fantastyki”, o polskiej literaturze gatunku.

Z **MARCINEM ZWIERCHOWSKIM**, JEDNĄ Z 40 OSÓB, KTÓRA UŁOŻYŁA
LISTĘ SWOICH KSIĄŻEK DO PLEBISCYTU „KSIĄŻKA 25-LECIA”
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

• Szczegóły plebiscytu ► 25

Jesteś jednym z nielicznych dziennikarzy w mainstreamowych mediach, którzy zajmują się fantastyką. A przecież żyjemy w kraju, w którym książka Sapkowskiego łąduje na szczycie listy bestsellerów.

– O polskiej fantastyce pisze się dopiero wtedy, gdy już nie ma jak jej przemilczeć. A praca dziennikarza zajmującego się fantastyką jest pełna rozzczarowań. Ilu fantastycznych pisarzy i pisarek jest powszechnie ignorowanych!

Na przykład?

– Na przykład Michał Protasiuk, którego „Anatomia pięknięcia” jest na poziomie „Black Mirror”, czy Istvan Vizvary, autor niesamowitej powieści „Lagrange. Li-sty z Ziemi” w bardzo lemowskim klimacie. Vizvary od środowiska fantastycznego dostał wszystkie możliwe nagrody, ale został zupełnie zignorowany przez inne obiegi literackie.

Radek Rak się przebił.

– Rakowi kibicuję już od debiutu. Gdy przeczytałem „Kocham cię, Lilith”, pomyślałem: „Ten gość robi coś naprawdę fajnego”. Dwa lata później, w 2016 roku, ukazało się „Puste niebo”, które uważam za dzieło wybitne, ale jakoś nikt o nim nie pisał, poza oczywiście środowiskiem fantastycznym. Gdy wyszła „Baśń...”, od razu wiedziałem, że to będzie wydarzenie. Zaproponowałem kilku redakcjom tekst o tej książce. I co?

Niemal wszyscy mnie zignorowali, nawet nie chcieli słuchać, o czym to jest. „Bo to fantastyka”. Wiem, że wydawca Radka w pewnym dużym tytule prasowym usłyszał, że Radek może pięknie pisać, ale dopóki pisze fantastykę, to oni nie będą go recenzować.

Nagroda Nike dla Raka było dla mnie wielkim zaskoczeniem, bo przyznający ją nieszczególnie dostrzegają twórców fantasy. Książka Radka miała po prostu farta, bo wcześniej, jak mówiłem, niemal nie zaistniała w świadomości recenzentów, a przez to również wielu czytelników.

Mechanizmem, który pozwala książce fantastycznej przebić się do mainstreamu, jest nawiązanie do historii Polski. Sapkowski nominację do Nike dostał dopiero za „Narrenturm”, powieść, w której tłem dla akcji są wojny husyckie. Rak wbił się w sam środek debaty o ludowej historii Polski...

Doskonałym przykładem tego jest Jakub Nowak, pisarz o niesamowitych zdolnościach językowych i wspaniałej wrażliwości. Ale gdy w 2017 roku opublikował „Amnezjaka”, zbiór opowiadań science fiction, media to pominęły. Zwrócono na niego uwagę dopiero, jak napisał „To przez ten wiatr”, western, w którym Helena Modrzejewska i Henryk Sienkiewicz zamierzają w Kalifornii uprawiać winorośl.

A tysiące czytelników sięgają po Tolkiena, Pratchetta czy J.K. Rowling, czyli twórców jak najbardziej fantastycznych. – Pracowałem kiedyś w wydawnictwie Prószyński i S-ka. Jeździłem na targi i stałem za stoiskiem. Gdy wychodziła nowa książka Terry’ego Pratchetta, mieliśmy kolejkę przez kilka dni. No i wyprzedalo się. Wtedy podchodzi klient i mówi, że chce Pratchetta. Nie ma. Proponuję coś Toma Holta, brytyjskiego pisarza fantastycznego, bardzo pratchettowskiego. – Ale ja nie czytam fantastyki – mówi klient. Jak to?

Dla wielu samo słowo „fantastyka” to łątka. A przecież wiele historii, które czytamy, to fantastyka. Można oglądać godzinami „Grę o tron”, wychowywać się na „Harrym Potterze” i deklarować, że nie czyta się fantastyki. Jak to możliwe, skoro przed chwilą pochłonęło się ileś godzin fabuły jak najbardziej fantastycznej, w której są smoki i jakieś zamrożone zombiaki?

Wit Szostak kiedyś napisał, że każda powieść jest fantastyczna – opisany świat sam z siebie nie jest realny.

– Olga Tokarczuk to przecież pisarka od pierwszej powieści korzystająca z fanta-

stycznego imaginarium. Jenta w „Księgach Jakubowych” unosi się nad akcją powieści, Anna In wędruje po mitycznej krainie, a „Opowiadania bizarne” równie dobrze mogłyby być zatytułowane „Opowiadania fantastyczne”. Tylko pewnie wtedy by się nie sprzedady. A przecież to historie czę-sto w duchu Philipa K. Dicka.

W „Empuzjonie” zaczynamy od pastiszu powieści realistycznej, a finalnie łądujemy w powieści jak najbardziej fantastycznej.

– I ktoś o tym napisał? Polskie media jak ognia unikają słowa „fantastyka”, weźmy choćby recenzje książek Kazuo Ishiguro. Gdy Radek Rak dostał Nike, to aż notowałem, czym to słowo zastępowano. Pisano o klechdzie, fantazji, triumfie wyobraźni. Autor sam mówił, że to fantastyka, ale recenzenci – i wielu czytelników – wiedzieli swoje.

Jak wygląda ostatnie 25 lat z perspektywy polskiej fantastyki?

– Musimy najpierw cofnąć się w czasie bardziej, do początku lat 90., kiedy nastąpiła katastrofa. Od śmierci klinicznej uratował polską fantastykę dopiero Andrzej Sapkowski.

Katastrofa?

– Nagle otworzyły się granice, a rynek za-lały dziesiątki wyczekiwanych przekładów. Polskiej fantastyki niemal nikt nie chciał kupować. Liczyli się tylko starzy mistrzowie jak Lem, Zajdel. Ale i oni przegrywali z pisarzami z Zachodu. Dlatego też wydawcy nie chcieli ryzykować inwestowania w debiuty.

Gdy w 1990 roku ukazuje się w wydawnictwie Reporter książka mało znanego Andrzeja Sapkowskiego „Wiedźmin” [zbiór pięciu opowiadań], nikt nie wróży jej sukcesu. I rzeczywiście – początkowo to się zupełnie nie sprzedaje. Musiało minąć kilka lat, zanim Sapkowski zaczął podbijać rynek.

Gdy już wszyscy czytali o przygodach Geralta z Rivii, wydająca je SuperNova zrobiła tak dużo, że mogła pozwolić sobie na inwestowanie w debiutantów. W 1997 roku debiutuje u nich Jacek Dukaj, dwa lata później Anna Brzezińska. W 2000 roku powstaje Fabryka Słów. Tak powoli odrodziła się polska fantastyka.

Fabryka Słów próbowała też wyjść do czytelników, którzy byli przekonani, że z fantastyką im zupełnie nie po drodze.

– Doskonałym pomysłem były słynne okładki Fabryki, które projektował przede wszystkim Dominik Broniek. Wydawali starą gwardię – Grzędowicza, Pilipiuka czy Piekarę, ale sięgali też po debiutantów, jak Anię Kańtoch czy Jakuba Ćwieka.

10 książek 25-lecia wg Marcina Zwierzchowskiego:

- Jacek Dukaj, „Inne pieśni”
- Maciej Guzek, „Trzeci świat”
- Anna Kańtoch, „Niepełnia”
- Rafał Kosik, „Vertical”
- Maciej Parowski, „Burza. Ucieczka z Warszawy ’40”
- Radek Rak, „Baśń o węzowym sercu albo Wtóre słowo o Jakóbie Szeli”
- Magdalena Salik, „Płomień”
- Andrzej Sapkowski, „Narrenturm”
- Szczepan Twardoch, „Wieczny Grunwald”
- Robert M. Wegner, „Północ – Południe. Opowieści z meekhańskiego pogranicza”

Można powiedzieć, że Fabryka Słów odmieniła wizerunek polskiej fantastyki. Książki sprzedawały się bardzo dobrze, pojawiło się więcej pieniędzy w wydawnictwach, a więc też i odwaga do eksperymentów.

Dzisiaj jest gorzej?

– Wydawcy dostrzegli, że doskonale sprzedają się wznowienia klasyki, przy czym bardzo rzadko wznawia się polską fantastykę. Konkurowanie z martwymi autorami to tragedia dla pisarzy i pisarek, którzy w efekcie nie mają gdzie wydawać książek.

O jakich nakładach mówimy?

– Bywa, że książki nagradzane przez społeczność fantastyczną wychodzą w liczbie 300 egz. Nie żartuję. Oczywiście wciąż są pi-sarze, jak Rafał Kosik i Andrzej Sapkowski, którzy mają dużo większe nakłady, ale gros ambitnej fantastyki ma je mikroskopijne.

Może czytelnik boi się fantastyki?

– Myślisz, że jest wysoki próg wejścia? Przecież to bzdura.

Może i bzdura, ale ktoś, kto nie spróbował, nawet o tym nie wie.

– Rzeczywiście przez lata krytycy najbardziej doceniali fantastykę naukową, która nie jest łatwa w odbiorze, ale przecież to właśnie ona miała najwięcej czytelników. Na przykład Jacek Dukaj, intelektualista, który pisze książki o niesamowitym wręcz skomplikowaniu, ale jednocześnie lubiane przez czytelników.

Co ciekawe, zarzutu o zbytnią trudność nie stawia się zagranicznej fantastyce. A przecież jednymi z największych bestsellerów ostatnich lat w Polsce są książki Liu Cixina, inżyniera, który napisał „Problem trzech ciał”. Tutaj próg wejścia

jest dużo wyższy niż u Dukaja, bo to literatura inżynierska, fabularnie sucha, w której bohaterowie np. biją się na prawa fizyki. Gdy wyszedł trzeci tom cyklu „Wspomnienie o przeszłości Ziemi”, Rebis ogłosił, że całość sprzedawała się w 100 tys. egzemplarzy. To na polskim rynku świetny wynik.

To w czym problem?

– Czytelnicy mają w sobie mnóstwo uprzedzeń i niestety niewielką wiedzę o tym, co się w fantastyce dzieje, wydaje. Dla wielu polska fantastyka to wciąż książki Fabryki: Ziemiański, Pilipiuk, Grzędowicz, Piekara... Dwaściecia lat temu byli gigantami, do dzisiaj pamiętam billboardy przed supermarketami, gdy ukazywała się nowa powieść Piekary. Bez problemu osiągał nakłady na poziomie kilkudziesięciu tysięcy egzemplarzy. Ale oni już nie nadają tonu polskiej literaturze fantastycznej, choć – jak przypuszczam – wciąż się dobrze sprzedają.

„Dziady polskiej fantastyki”?

– Mnie to nie śmieszy. Nie dlatego, że nie śmieszyły mnie filmiki Kasi Babis, która opisywała, co można znaleźć w książkach niektórych polskich pisarzy fantastycznych. Tylko dlatego, że wielu potencjalnych czytelników zaczęło o całej polskiej fantastyce myśleć jako o czymś dziaderskim. Akcja Babis – w zamiarze humorystyczna, nie krytyczna – obróciła się przeciwko całemu środowisku. Wbrew intencjom autorki, podkreślimy.

Innej, konkurencyjnej narracji o polskiej fantastyce w mediach nie ma. Bo te nie są nią zainteresowane. Skoro nie ma wiedzy, nie ma recenzji, nie ma czytelników. W efekcie dominują wznowienia, a fantastyka przestaje się rozwijać. Nie wiem, czy z tego zamkniętego kręgu uda nam się jeszcze wyrwać.

Poprosiłem cię jako jedną z kilkudzie-sięciu osób, żebyś wskazał 10 najważ-niejszych dla ciebie książek ostatnich 25-lecia. Co znalazło się na twojej liście?

– Oczywiście „Baśń o węzowym sercu...” Radka Raka, która finalnie znalazła się też wśród tytułów, które walczą o tytuł Książki 25-lecia. Ale to jedyny taki przypadek, bo z powodu braku narracji, o którym wspominałem, postanowiłem być przekorny.

Nie mogłem nie wspomnieć o „Trzecim świecie” Macieja Guzka, czyli szalenie oryginalnym reportażu z fantastycznej krainy.

Musiałem wyróżnić Roberta Wegnera i jego „Opowieści z meekhańskiego pogranicza” obsypane Nagrodami im. Janusza A. Zajdla – bo to fantasy na poziomie światowym, dyszące w kark „Grze o tron” czy „Wiedźminowi”.

Anna Kańtoch, szerzej znana dzięki kryminałom, w środowisku fantastycznym bryluje jako autorka szalenie oryginalnych i odważnych powieści – w „Niepełni” jako jedna z pierwszych w polskiej fantastyce eksplorowała temat niebinarności.

Z kolei Magdalena Salik w „Płomieniu” ożywia marzenia o eksploracji kosmosu, ale pisze też o sile wąskiej grupy potężnych mężczyzn władających naszymi marzeniami, czyli CEO.

„Vertical” Rafała Kosika to wspaniała historia w duchu starych mistrzów fantastyki naukowej, od której według mnie rozpoczęła się kariera jednego z najważniejszych polskich autorów science fiction.

Jest też na mojej liście „Burza. Ucieczka z Warszawy ’40” Macieja Parowskiego. To jego opus magnum, niesamowicie wciągająca historia alternatywna osadzona w Warszawie tuż po kampanii wrześniowej, którą wygrywają Polacy. Chciałem też uhonorować Parowskiego, redaktora „Fantastyki” i „Nowej Fantastyki” od 1982 do 2013 roku, jedną z najważniejszych postaci rodzimej literatury fantastycznej.

Bez Parowskiego nie byłoby też „Wiecznego Grunwaldu” Twardocha. Nie wszyscy pamiętają, że zanim napisał „Morfinę”, był pisarzem zajmującym się fantastyką. „Wieczny Grunwald” to już Twardoch w najlepszej formie literackiej. Jest tu

wszystko to, co będzie pojawiało się w jego kolejnych powieściach i przyciągnie uwagę krytyki – Śląsk, historia, polskość. To też jedna z najbardziej przegapionych i niedocenionych polskich powieści tego 25-lecia.

Mówiliśmy już o Dukaju, ale na twojej liście nie ma jego „Łodu”.

– W „Książkach. Magazynie do Czytania” niedawno napisano, że liczymy na powrót do „wielkiej polskiej powieści”, którą się doskonale czyta, która uruchamia wyobraźnię...

Przecież my mamy takie powieści! „Łód” na pewno jest jedną z nich. Jednak zdecydowałem się na „Inne pieśni” Dukaja. Podoba mi się pomysł – podróż po świecie, w którym byty składają się z materii oraz formy określającej, czym one są. Zachwycą mnie wizja tej książki, jej dziwność, ale też to, że jest skondensowana.

Kto czytał „Łód” i utknął, ponieważ bohaterowie jechali w pociągu przez kilkadziesiąt stron i rozmawiali? „Łód” jest dla mnie czystą wizją i wspaniałością, ale to „Inne pieśni” czyta się doskonale.

A z listy 25 książek, które są w finale naszego plebiscytu, która wydaje ci się najważniejsza?

– Trudne zadanie, ale to musi być Tokarczuk. W końcu dostała Nobla. A obojętnie zdecydowanie wolę „Księgi Jakubowe” od „Biegunów”.

Dlaczego właśnie „Księgi...”?

– Bo świetnie się je czyta, co w przypadku nagradzanych pozycji wcale nie jest normą! Dzieje się w świecie, o którym niewiele dziś wiemy, opisuje ludzi, których system filozoficzny czy wiara są nam niemal zupełnie obce, a jednak udało się Tokarczuk opowiedzieć o tak, że śledzimy to z zacięciem.

Tokarczuk pamięta o czytelniku. Sam z obawą sięgnąłem po „Księgi...”. Niemal tysiąc stron to jednak wyzwanie. I przepadłem, chłonałem. O to chodzi w literaturze.

Jeśli jednak mam w wyborze Książki 25-lecia kierować się sercem, to niech to będzie „Baśń...” Radka Raka. Może też dlatego, że jako pierwszemu polskiemu pisarzowi fantastycznemu udało mu się przebić jakąś granicę.

„Baśń...” to powieść wyjątkowa na tle polskiej fantastyki, której czytanie sprawia niesamowitą przyjemność, ale jednak sama w sobie niepozbawiona jest ambicji opowiedzenia czegoś nowego o historii.

Uwielbiam też samego Radka, lekarza weterynarii, który niesamowicie czuje fabułę i bohaterów i którego wyobraźnia chodzi ścieżkami, których nie jestem w stanie przewidzieć. On jest trochę post-Pratchettowski, post-Tolkienowski, ale czerpiąc z nich to, co najlepsze, idzie w swoją stronę. I jednocześnie jest w tym wszystkim jakiś bardzo polski. ●



Marcin Zwierzchowski

• jest dziennikarzem freelancerem, współpracuje m.in. z tygodnikiem „Polityka”, portalami lubimyczytac.pl i naEKRANIE.pl. Pisze recenzje na własnej stronie internetowej, w mediach społecznościowych prowadzi kanał Kulturalny Człowiek. Jako redaktor pracował m.in. w „Nowej Fantastyce” i wydawnictwo Prószyński i S-ka.

PLEBISCYT

Wybierz z nami
Książkę 25-lecia

Wybraliśmy 25 wyjątkowych książek, które zostały wydane w ciągu ostatnich 25 lat. Która była dla nas najważniejsza? Która wyjątkowo zapadła w pamięć? Która nas zmieniła?

Przez ostatnie dwie i pół dekady w polskiej literaturze działy się rzeczy niezwykle. Byliśmy świadkami fantastycznych debiutów, wybitnych tomów poezji i reportaży, które czytała „cała” Polska. Poznaliśmy „czulego narratora” i „cioty” z Lubiewa. Weszliśmy do Europy z naszymi umarłymi. Śledziliśmy wy-

czyny Jakuba Szapiry, Silnego i Kuby Niteckiego. Odkrywaliśmy, kim były nasze babki. I sąsiedzi.

Pisarki i pisarze zabrali nas w podróż przez prawdziwą i wyobrażoną Polskę, kraj wielu języków i religii. I wielu problemów. Czasem pokazywali, że nie jesteśmy wyjątkowi. Że są inne światy, którym warto poświęcić uwagę.

Jak powstała nasza lista? Poprosiliśmy 40 dziennikarek i dziennikarzy różnych mediów (oprócz „Wyborczej”, „Wysokich Obcasów”, „Książek. Magazynu do Czytania” m.in. Gazety.pl, Onetu, TVN, TVP,

Polskiego Radia, „Polityki”, „Krytyki Politycznej”, „Pisma”, ale także ekspertki tworzące Big Book Festival) o wytypowanie 10 tytułów głośnych, ważnych, nagradzanych, świetnie ocenianych książek opublikowanych na polskim rynku od 2000 r. Pozycje, na które oddano najwięcej głosów, utworzyły listę finałową.

Wojciech Szot

wyborcza.pl

• Na Wyborcza.pl. także: kto wybierał książki oraz jakie pozycje nie zmieściły się na finałowej liście

Teraz czas na Was

Prosimy o głos na Twoją książkę 25-lecia!

Głosowanie na Wyborcza.pl

trwa do 3 lutego.

Zwycięzcę ogłosimy 4 lutego.



• Wojciech Szot - pomysłodawca plebiscytu, dziennikarz działu kultura „Wyborczej” w otoczeniu książek-finalistek

- **Jan Tomasz Gross**
„Sąsiedzi. Historia zagłady żydowskiego miasteczka”, 2000, wyd. Pogranicze
- **Maria Janion**
„Do Europy - tak, ale razem z naszymi umarłymi”, 2000, wyd. Sic!
- **Dorota Masłowska**
„Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną”, 2002, wyd. Lampa i Iskra Boża
- **Anna Bikont**
„My z Jedwabnego”, 2004, wyd. Prószyński i S-ka
- **Michał Witkowski**
„Lubiewo”, 2005, wyd. Ha!art
- **Mariusz Szczygieł**
„Gottland”, 2006, wyd. Czarne
- **Wiesław Myśliwski**
„Traktat o łuskaniu fasoli”, 2006, wyd. Znak
- **Jacek Dehnel, „Lala”**, 2006, wyd. W.A.B.
- **Olga Tokarczuk**
„Bieguni” 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Jacek Dukaj**
„Łód”, 2007, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Bożena Keff**
„Utwór o Matce i Ojczyźnie”, 2008, wyd. Ha!art
- **Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki**
„Piosenka o zależnościach i uzależnieniach” 2008, wyd. Biuro Literackie
- **Artur Domosławski**
„Kapuściński non-fiction” 2010, wyd. Świat Książki
- **Aleksandra i Daniel Mizieliński „Mapy”** 2012, wyd. Dwie Siostry
- **Andrzej Leder**
„Przeżniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej” 2014, wyd. Krytyka Polityczna
- **Jakub Żulczyk**
„Ślepnąc od świateł”, 2014, wyd. Świat Książki
- **Olga Tokarczuk**
„Księgi Jakubowe albo Wielka podróż przez siedem granic...”, 2014, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Cezary Łazarewicz**
„Żeby nie było śladów. Sprawa Grzegorza Przemyka”, 2016, wyd. Czarne
- **Szczepan Twardoch**
„Król”, 2016, wyd. Wydawnictwo Literackie
- **Magdalena Grzebałkowska**
„Beksińscy. Portret podwójny”, 2016, wyd. Znak
- **Marcin Wicha**
„Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, 2017, wyd. Karakter
- **Zyta Rudzka**
„Krótka wymiana ognia”, 2018, wyd. W.A.B.
- **Radek Rak**
„Baśń o wężowym sercu albo Wtóre słowo o Jakobie Szeli” 2019, wyd. Powergraph
- **Adam Leszczyński**
„Ludowa historia Polski. Historia wyszysku i oporu” 2020, wyd. W.A.B.
- **Joanna Kuciel-Frydryszak**
„Chłopki. Opowieść o naszych babkach” 2023, wyd. Marginesy

TEN MAŁY PALEC U STOPY

Body shaming tak
samo dotyczy kobiet
jak mężczyzn

Z TOMASZEM
SCHUCHARDEM*
ROZMAWIA AGA KOZAK

AGA KOZAK: Wciąż się uczę wymawiać i pisać twoje nazwisko...

TOMASZ SCHUCHARDT: Widzisz, a ono jakoś mi nigdy nie zawadzało. Ludzie dookoła mnie mają taką ambicję, żeby się go nauczyć. Pamiętam panią Jadzię w dzieciństwie w krakowskiej Szkole Teatralnej, która umiała je od razu wypowiedzieć, bo tyle razy wypełniła z nim papiery, że się nauczyła.

Tam, skąd pochodzę, z Kociewia między Gdańskiem, Starogardem Gdańskim i Tczewem, jest nas – Schuchardtów – mnóstwo. Dziadek Zygfryd, od którego wywodzi się nasza linia, miał czterech synów, w tym mojego ojca, którzy również mieli synów. W pewnym momencie w miejscowości, w której się wychowałem, mogliśmy wypełnić cały skład drużyny piłkarskiej.

A ja mam dwie dziewczyny, druga córka mi się niedawno urodziła.

Coś szczególnego dostałeś z tego nazwiska i pochodzenia?

– Zakuty leć! Tak u nas się mówiło: „Wiesz, masz coś z rycerza”, „Co?”, „Zakuty leć”.

A tak naprawdę pewnie wszystko: i dobre, i złe. W genach mam jakąś szczególną upartość. Strasznie uparte dziady są wszystkie te Schuchardy. I w kłótni uparte...

A w miłości?

– W miłości są trudne. Nie mogę mówić za wszystkich, ale ja przeszedłem wyboistą drogę. Mawia się, że miłość uszlachetnia, i to prawda – u mnie nastąpiła duża zmiana z tego, kim byłem, na to, kim jestem dziś – właśnie dzięki miłości. Bo jestem z jedną kobietą, moją żoną, już 17 lat. I muszę powiedzieć, że to były to lata przeróżnych walk – również z moimi demonami.

Jestem trudny i uparty jak osioł. Właśnie tę upartość mam po kaszubskim dziadku. I brwi. Gdybym ich nie obcinał, tobym miał takie o, dotąd sterczące.

Nos mam z kolei po drugim dziadku, po linii mamusiowej, ale oczy schuchardtowe i stopy schuchardtowe. Cokolwiek to znaczy, ale tak się właśnie u nas gało.

Czego trzeba, żeby przeżyć tyle lat w miłości z upartym mężczyzną?

– Cierpliwości. Gdybym był tylko złożony z upartości, to pewnie nikt by ze mną nie wytrzymał. Na szczęście trochę tych cech przypisywanych niegdyś tzw. samcom alfa równoważą inne.

Tam, gdzie czuję się pewniej, jestem decyzyjny, sprawny, czasami nawet – choć bardzo rzadko – wręcz zahaczam o autorytaryzm – a z drugiej strony mam to właśnie przełamane strachem, takim podskórnym i dogłębnym. Wręcz pierwotnym, co powoduje dużo odruchów lękowych. Pół życia byłem kompletnie nieasertywny. Nie potrafiłem o siebie zawałczyć – tam, gdzie czulem się niepewnie.

Ktoś nazwał to „charakterystyką Polaka” – połączenie poczucia wyższości z poczuciem niższości jednocześnie.

Z jednej strony umiem przeć przed siebie, z drugiej – coś mnie powstrzymuje i może dobrze, bo a nuż stałbym się jakimś aroganckim, narcystycznym dupkiem?

Ale jesteś też czuły.

– Tak. Wrażliwy. To te cechy zawadzały mi przez pół życia – nie wiedziałem, dlaczego je mam. Tam, gdzie dorastałem, męska wrażliwość nie tyle się kojarzyła złe, ile prostu nie istniała. Jednak kiedy znalazłem się w szkole teatralnej, to okazało się, że jest tam mnóstwo facetów, którzy też to mają. Pomyślałem, że może to jest miejsce, którego szukałem.

Czułości mam w sobie coraz więcej i empatii. Mało osób dopuszczam do siebie blisko, mam tylko trzech przyjaciół – i już pewnie więcej miał nie będę – natomiast z bardzo wieloma osobami empatyzuję, aż czasem ludzie mówią „brat lata” albo „wu-jek Szuszu”.

Ale mam też rozbudowaną ambicję, która – w połączeniu z tą schuchardtowską upartością – była moim przekleństwem przez wiele lat: tak bardzo chciałem dobrze

FOT. ADAM STEPIEN / AGENCJA WYBORCZA.PL

wypaść, że np. bardzo się stresowałem na egzaminach czy zżerała mnie trema.

A ambicja zataczała szerokie koła, bo też chcę, żeby było dobrze. Mam kompas moralny tak ustawiony, że wiem, co jest dobre, a co złe. Za każdym razem, kiedy zrobię coś niedobrego, to się bardzo źle z tym czuję.

Targa tobą?

– No, targa. Wyrzut sumienia to było moje drugie imię. Teraz po prostu staram się tych rzeczy nie robić. Przyznawać się. Ale też rozumiem, że jestem człowiekiem i będę popełniać błędy. Uczę się sobie wybaczać.

W skrócie: jak coś się sieprzyło, to przyznać, przeprosić i starać się nie robić tego więcej. I żadnego kłamania i udawania, że czegoś nie było, albo przerzucania winy na kogoś, bo to na pewno już przekreśli relację czy cokolwiek.

Na szczęście ta ambicja i ta upartość pomagają mi tego dobrego, co mam, nie sieprzyć. I wiesz co, staram się też nie oceniać ludzi – choć właściwie nie ma takiej osoby, która nie ocenia, więc może bardziej niż nieoceniałącym jestem po prostu obserwatorem.

Rozglądam się po ulicy, podglądam przez szyby kawiarni, upatrzę sobie kogoś i myślę: „Co to może być za człowiek?”. W moim zawodzie to zresztą jest naturalne: bo skąd mamy brać inspirację do grania tych wszystkich typów ludzkich?

Czytam dużo książek z zakresu psychologii, filozofii. Interesuje mnie, jak działa mózg, jak atawizmy, skąd my się w ogóle wywodzimy, gdzie są nasze korzenie – jeśli chodzi o myślenie humanoidów. Po prostu się tym jaram.

Jak weszłam, to grałeś sobie na telefonie w szachy. Masz umysł analityczny?

– Byłem w mat-fizie, ale nadal nie do końca rozumiem ten podział na humanistów i ścisłych. Wiele osób, które znam są i jednym, i drugim. Wydaje mi się, że większość populacji jednak płynnie porusza się w tym spektrum.

Psychologia też na tym polega: na uporządkowaniu, ułożeniu mapy człowieka, mapy mózgu. Narzędzia do analizowania tego są przecież matematyczne i logiczne, choć służą do uporządkowania emocji – tych „humanistycznych”.

Ty używasz takich narzędzi?

– Emocji linijką nie mierzę, ale gdy potrzebuję zbudować świat postaci i zobaczyć, w którym miejscu coś w niej pęka, to tak. Bo weźmy na to: każdy z nas podszedłby do śmierci bliskiej osoby w inny sposób, ale ty sięci podejść się nie da zagrać. Nauczono mnie, że gra się tylko jedno, a konteksty budują to, że interpretacji może być wiele.

Zawsze uczulam na to reżyserów, którzy – zdarza się – dają sprzeczne uwagi: „Powiedz jej, że ją kochasz i nie kochasz jednocześnie”. Przecież to się wyklucza. Wiele osób z tym nie dyskutuje i próbuje to grać, ale tego się nie da zagrać. Trzeba dopytać, o co w tym chodzi.

Wracając do tej reakcji na śmierć – wybieram jedną, którą chcę zagrać. I można argumentować, że lepiej wziąć parę sposobów, złożoność można pokazać – jeszcze w teatrze może, ale filmie, gdzie czas robi rytym – już nie.

W filmie forma musi być skondensowana: nie mamy przestrzeni na to, żeby bohater rozgrywał przykładową śmierć matki przez 20 minut. Więc patrzymy na to, jaki jest kontekst postaci, jakie ta scena ma miejsce w filmie, czy to flashback, czy to ma dać tylko dopełniający obraz bohatera. To wszystko jest mocno analityczno-logiczne. Przynajmniej dla mnie. A zagram to już „humanistycznie”, czyli emocjonalnie.

Jak rozmawiałam z ludźmi na twój temat, wszyscy podkreślali, że mało kto w polskim kinie potrafi tak jak ty, pokazywać to wspomniane przez ciebie pęknięcie i przemianę bohatera. – To ciekawe, ja tego chyba nie dostrzegam. Po prostu mam tak, że to, co robię, ten za-

wód – musi mnie kręcić. Jak przestanę to kochać, to już nie ma sensu tego robić.

Mój idol z dzieciństwa Marek Kondrat w pewnym momencie zrezygnował z grania. Nie rozumiałem tego: „Czemu? Przecież ja chcę, żeby on grał!”.

A potem na mojej drodze życie postawiło Bogusia Lindę, który mi powiedział, że Marek po prostu stracił serce do grania. Że pro-pozycje, które dostawał, nie były takie, dla których chciałby zostawić na chwilę swoje życie i wskoczyć w tamto drugie.

A co sprawia, że umiem pokazać przemianę moich postaci? Chcemy – a ja jako widz na pewno – zobaczyć jakąś zmianę, jakąś drogę bohatera. Że był u niego jakiś punkt A, a doszedł do punktu B. Właśnie tego lubię szukać w scenariuszu, jak punkt A i punkt B się różnią od siebie, bo wtedy możemy tą drogę lepiej pokazać.

Ostatnio dostałem scenariusz, w którym nie miałem takiej drogi. A i B to był ten sam punkt. Moja postać od początku i do końca jest złym człowiekiem. Nie ma żadnego wytłumaczenia jego sposobu działania. Czyste zło.

Brzmi jak Smarzowski.

– Zgadza się! Nie mam nawet przestrzeni na to, żeby przełamać to zło. Pierwszy raz w życiu mam zadanie, żeby zagrać agresora, opresora, najgorszego, jakiego nosiła ziemia – i chcę to zrobić.

Wszyscy walczymy o uwagę, a niektórzy właśnie tym, że są najbardziej pokrzywdzeni

Jak szukasz w sobie takiego zła?

– Każdy człowiek nosi w sobie pierwiastki dobra i zła. Nawet nieustannie medytujący mnisi tybetańscy – oni też mówią, że jakieś zło musieli w sobie pokonywać.

Oczywiście, ci najbardziej oświeceni zła mają mniej, ale mnie daleko do oświeconego – jestem zwykłym człowiekiem, więc kiedy ktoś mi samochodem zajedzie drogę, prawie powodując wypadek, a do tego jeszcze jadę z dzieckiem, to nie mogę się nie zdenerwować.

No i istnieje ten mały palec u stopy.

Slucham?

– Nie znasz teorii, do czego on służy? Jest do tego, żebyś się w niego uderzyła i musiała zakląć – bo to, że się w niego przedęj czy później uderzysz, jest pewne.

Wracając do zła – niektórzy aktorzy nie chcą grać złych, dotykać tego w sobie. Ja nie stawiam sobie tego typu ograniczeń, nie wyobrażam sobie roli, której miałbym nie zagrać... No, chyba żeby to byłaby jakaś propagandówka. Ale samego aparaczkika to już bym zagrał.

Ostatnio grałeś przemocowca, i to w szkole teatralnej, w nagrodzonej w Gdyni „Utracie równowagi”.

– W teatrze a propos przemocy są różne zdania: niektórzy twierdzą, że jest potrzebna, inni, że nie. Dla mnie najważniejsze jest zdefiniowanie tego, czym przemoc jest. Bo przemoc jako idea zawsze jest zła.

Natomiast to, co my wrzucimy do worka pod tytułem „przemoc”, to już nie do końca jest jasne. I to mi się często nie do końca podoba. Bo uważam, że wiele rzeczy, które aktualnie są nazywane przemocą, nią nie są.

Musimy się zastanowić, jak pojemny jest ten worek, bo go chyba nadmiernie rozpychamy. Choćby taka dyscyplina – czy do niego należy? Jak teraz tak myślę – może zdefiniowanie przemocy jest proste? Może przemoc jest wtedy, kiedy ktoś się czuje pokrzywdzony?

O nie, ja się z tym nie zgodzę.

– No widzisz!? W jednym z filmów mój bohater ma na ręku bransoletę z wężem zjadającym własny ogon.

Uroboros.

– Mam wrażenie, że aktualnie trochę czynimy też zżerać własny ogon, bo bierzemy też to poczucie krzywdy wszystkich naokoło i jak tylko ktoś się czuje pokrzywdzony, to zachowanie, które to spowodowało, też wrzucamy do worka z napisem „przemoc”. Skoro przynajmniej jedna osoba się czuje źle, to znaczy, że jest źle. No nie, tak nie jest. Każdy z nas jest na różnym etapie swojego życia, każdy w różnej sytuacji i każdy ma różną wrażliwość. Wydaje mi się, że to wszystko jest teraz poprzeginanane na wszystkie strony i ludzie są nadwrażliwi.

Natomiast są rzeczy, które możemy jasno określić jako przemoc. W szkołach teatralnych to byłoby ocenianie ciebie osobiście, prywatnie. Personalne wycieczki niczemu nie służą, a na pewno nie służą tworzeniu sztuki. Za to zamykają człowieka. Wiele starszych aktorów, twórców teatralnych czy filmowych uzurpuje sobie do tego prawo. Uznają, że „kształtują charakter”. Musisz być twardy, nie miękki, że to też czasami wymaga tupnięcia nogą.

Choć też krzywdą jest mocno wygrywana, bo to zwrócenie na siebie uwagi – a w końcu wszyscy walczymy o uwagę,

Wszyscy walczymy o uwagę, a niektórzy właśnie tym, że są najbardziej pokrzywdzeni

a niektórzy właśnie tym, że są najbardziej pokrzywdzeni. Albo że ciągle wszyscy są przeciwko nim.

A część rzeczy, reakcji ludzkich, kompletnie nie jest o nas. Zwłaszcza kiedy, widząc człowieka, już sobie myślimy, co on sobie o nas pomyśli, mimo że mógł nawet nas nawet nie zauważyć... Lubimy snuć domysły na temat tego, co ludzie o nas myślą. Bo to oznacza, że zostaliśmy zauważeni, że jesteśmy ważni.

A czy aktorzy tego nie mają jeszcze mocniej rozwiniętego? W końcu wy się wystawiacie na widok służbowo, ukrywając prawdziwych siebie, swoje słabości. A za to zbierając głaski... – Ja sobie z tym poradziłem. Tak to sobie wymyśliłem prosto, choć jak wszystko, co jest proste, jest też bardzo trudne. Proste jest to, że nie będzie cię dotykać i obchodzić, co ludzie o tobie mówią lub myślą, jeśli nie będziesz kłamać samemu sobie. Jeśli będziesz zawsze prawdziwy i szczerzy wobec samego siebie.

Ale co to w ogóle znaczy być prawdziwym?

– To znaczy: nie pozować na kogoś, kim się nie jest. Był taki wywiad z O.S.T.R.-ym, w którym mówił, że w latach 90. wśród ludzi mieszkających w blokach, zanurzonych w kulturze hiphopowej najbardziej ostracyzmowi poddawało się pozerów. Niestety w dzisiejszych czasach premiuję się osoby, które budują jakieś dziwne wizerunki i kreują nawet w życiu codziennym jakieś postaci – bardziej kolorowe i ciekawsze niż oni są albo niż o sobie myślą. Teraz liczy się to, żeby wszystkich zaskoczyć, i choć wydawało się, że to stare przysłowie „nieważne, jak mówią, ważne, żeby mówili” już się zużyło, to jednak ludzie mają mocną potrzebę zaistnienia – i to w każdej branży.

A taka presja na rozpoznawalność powoduje, że robią głupoty. Ludzie robią rzeczy straszne, często kompromitujące,

a w oczach świata wcale nie przepadają, ich akcje idą w górę! To jest irytujące.

No ale w naszych narcystycznych czasach wszyscy przywdziewają jakieś maski, żeby świat nie zobaczył tych wszystkich rzeczy, których się wstydzimy.

– Ale jeżeli nie będziesz kłamać, jeśli będziesz prawdziwa, to nie będziesz musiała nic ukrywać. Nikt nic o tobie nie „odkryje”, bo nic nie będzie schowane. Choć nas uczono, że trzymanie tajemnicy, wiesz, „w środku”, to jest wielki atut. Ten taki sekret, niewypowiedziana część historii, to było...

...uwodzące.

– A mi się to kojarzy z tymi pozerami siedzącymi samotnie przy barze i czekającymi, żebyś ktoś podszedł do nich i zapytał: „Co jest, stary, co się stało?”. „O nie, nic nie zrozumiesz, mam problem, chcę побыć sam”. Takie osoby często po prostu pragną uwagi, bo jakby chciały być same, toby posiedziały w domu lub poszły do parku.

A ty to zawsze byłeś taki refleksyjny? Nie fascynowali cię ci goście przy barze?

– Kiedyś fascynowali mnie głośni ludzie. Albo ci, co zawsze byli w centrum zainteresowania. Frapowało mnie, co oni mają takiego, że skupiają na sobie uwagę, z czego jest ta ich charyzma? Często się okazywało, że to nie była charyzma, tylko głośność.

Mało tego, ja też stworzyłem jakiegoś siebie, który również był głośny. Nagle zauważyłem, że po premierach siedzę w jakichś pomieszczeniach wypełnionych dymem papierosowym, z piwem w rękę i brylując. Krzyczę, zwracam na siebie uwagę.

Boże, ile razy darłem japę, śpiewając jakieś piosenki... I wszystko to następnego dnia bardzo mi się nie podobalo. Nie tyle miałem kaca od alkoholu – choć to też – ale także kaca moralnego. „Po co ty to robiłeś? Ty nie lubisz takiego siebie!”. Więc zacząłem unikać imprez branżowych, bo wiedziałem, że jak wypije piwo, to wskoczę w rolę człowieka, którym nie jestem.

A ta twoja mądrość to skąd?

– No rozwijam się, bo nawet papier toaletowy się rozwija! Terapie mam różne za sobą, uwielbiam rozmawiać. Mam wrażenie, że z każdej rozmowy mogę wyciągnąć jakieś fajne zdanie, które mi oddziałuje na życie. Ja się cały czas uczę od różnych ludzi – i wiem, że brzmię teraz jak prezydent Duda... Z Mateuszem Pakulą widzieliśmy się teraz sekundę, bo mieliśmy wznowienie naszej sztuki „Lem vs. P.K. Dick” i zamieniliśmy z pięć zdań, z czego cztery były bardzo mądre – od wczoraj o nich myślę – o tym, jak dzieciństwo czy religijne wychowanie nas programują na całe życie. Nawet podczas krótkich spotkań szkoda mi już czasu na small talki, w których naprawdę byłem przez lata świetny.

Ty?

– Wiesz, bo w domu rodzinnym byłem – jak typowe DDA – przede wszystkim klaunem. Nie znosiłem ciszy, musiałem ją zakrzyczeć. Czulem, że muszę zaangażować wszystkich, żeby było dobrze, fajnie, żebyśmy się bawili. W związku z tym mój mózg wyewoluował w taki sposób, że np. zapamiętuję tysiące anegdotek, żartów, ciekawostek ze świata. Dogadam się z każdym. Mam bardzo dużo takiej wiedzy pozornie bezużytecznej, ale dla aktora akurat szalenie użytecznej. Tutaj z kimś zagadam o szachach, z kimś o książkach, to z kimś o muzyce, z innym o tokarce, o pilce nożnej.

Ale coraz większą mam ochotę, żeby te rozmowy były o czymś. Że nawet jeżeli obgadamy wynik ostatniego meczu i rzucimy trzy żarty, to dobrze jeszcze przed rozstaniem usłyszeć jakieś fajne, szczerze zdanie.

A myśmy przejęli to od Anglików i Amerykanów, to „How are you?”, „Fine, fine”. Zbywające. Ja wolę usłyszeć, co ostatnio cię zatrzymało na chwilę. Co obejrzałaś fajnego, co przeczytałaś. To właśnie mam na myśli, kiedy pytam: „Co u ciebie?”.

Bo nie interesuje mnie – przepraszam – czy masz wysoki cholesterol czy cukier. To mnie raczej smuci, wolę usłyszeć, co pod-słuchałaś w tramwaju czy taksówce. Daj mi obrazek, który ci zapadł w pamięć, to zrozu-miem, jakie rzeczy cię teraz obchodzą. I po-tem sobie to poanalizuję.

No dobra, to co tam u ciebie?

– Znasz tę sytuację, że życie podrzuca ci te zdania, których dokładnie teraz potrzebu-jesz? Ja wiem, że już kiedyś je usłyszałem, ale dopiero od kilku dni nad nim tak mocno myślę: „Nie możesz dać komuś czegoś, cze-go nie masz”. Wiesz, ja jestem ojcem i my-się, co mogę dać moim córom. Kiedyś my-slałem, że mogę im przekazać poczucie hu-moru i poczucie własnej wartości i że to im wystarczy na ten świat albo będzie musia-ło wystarczyć.

Ale teraz zaczynam myśleć inaczej. Bo kiedy siedem lat temu na świat przyszła mo-ja córka, to to wszystko przewartościowało. U mnie przez wiele lat na pierwszym miej-scu w życiu była praca, ale od momentu po-jawienia się Tośki spadła już na miejsce trzecie. Na miejsce pierwsze wskoczyła ro-dzina, na drugie ja.

A teraz tak sobie myślę, że muszę to zno-wu przewartościować – rodzinę przesunąć na drugie miejsce i powiedzieć sobie z wiel-ką pokorą, że na pierwszym miejscu powi-nieniem być ja sam.

Ale w rozumieniu nie tym najgorszym z możliwych, czyli tym, co trochę lansu-je współczesny świat, tylko jeśli chcę dać szczęście mojej żonie, moim bliskim, mo-im przyjaciółom, to muszę być szczęśliwy. I dlatego teraz muszę zadbać o siebie: mo-ją głowę, mój spokój psychiczny, wiarę we własne umiejętności. Kurczę, polubić siebie.

A jak u ciebie z tym lubieniem?

– Miałem to wręcz na sztyndardzie, że siebie nie lubię. Wielu ludzi tak ma: „nie muszę siebie lubić, bo moja miłość własna nie jest mi do niczego potrzebna” albo „zobaczcie, jaki to ja jestem brzydki, jaki jestem beznadziejny, a mimo to coś tam osiągnąłem”.

Ja nawet lubilem tę nienawiść do sie-bie. I wiesz, to było kompletnie, raz, szcze-niackie, dwa, pozerskie. Trzeba po prostu mądrze siebie polubić. Trzeba się skupić na tych rzeczach dobrych, które produkuje twój mózg. Te złe starać się eliminować.

A przede wszystkim znajdować momen-ty, kiedy jest ci dobrze. Bo te momenty bę-dziesz mógł komuś też potem dać, nie? To mi się wydaje takie odkrywcze w ostatnim czasie. I to, że te odkrywcze rzeczy są za-zwyczaj bardzo proste.

Wszyscy mówili mi, że jesteś supermi-łym, superfajnym człowiekiem. Aż się przestraszyłam trochę, bo ja też kiedyś byłam – rezygnując z siebie – supermila, nie lubiłam konfliktów, bo chciałam, żeby ciagle było miło...

– Też nie lubilem, a wręcz się bałem konflik-tów, bo nie miałem pewności siebie.

A czym jest ta pewność siebie?

– Wiąże się z feedbackiem, informacją zwrotną, którą dostajemy. Jak ten feedback na mój temat zaczął być pozytywny i zają-łem bardziej wierzyć w siebie, zacząłem też być bardziej asertywny. Nauczyłem się tego na terapii, bo – przyznając – długo nie umia-łem mówić „nie”.

Najpierw musiałem zauważyć własną moc i siłę. A teraz sobie myślę: „Co mi się może stać, jeżeli się nie zgodzę?”, zakwestio-nuję coś, zadam pytanie. Mam do tego pra-wo. Ale powiem ci, że czasem – nawet nie-świadomie – testuję sobie to życie trochę.

To znaczy?

– W większości sytuacji w życiu pływę z ludźmi na wspólnej fali, ale coraz częściej się zdarza, że z kimś wchodzę w sytuacje wyzwania. Jak spotykam jakąś mocną jed-nostkę, taką narzucającą innym swoje zda-nie, oceniającą innych, lubię się z nią zmie-rzyć. Bo ona jest u mnie do odstrzału. Na-gle ja, nielubiący niegdyś konfliktów, czuję

w sobie taką siłę, że absolutnie mogę na sie-bie wziąć starcie z taką osobą. A takie jed-nostki nie podejmują ze mną żadnej walki, gry – chyba czują tę moją energię.

Jaką energię?

– Że jeżeli ktoś mi obrazi kogoś z moich lu-dzi, no to będę jak wilk. Obronię.

Co to znaczy „twoich ludzi”?

– Moi ludzie to oczywiście moja rodzina, przyjaciele, to moi bliscy koledzy, ale rów-nież spotkani na planie pracownicy, którzy mi pomagają w tworzeniu roli. Tacy, któ-rych pracy często nie doceniamy, czyli ci, którzy robią make-upy, kostiumy, światło, podają rekwizyty – kurczę... krócej byłoby po prostu ekipa filmowa czy teatralna.

Oni pracują też na mnie, pomagają mi, więc to są też moi ludzie. Jeżeli są rzetelni, profesjonalni. Bo jeżeli są nieprofesjonalni, to to nie są moi ludzie. Jak nie szanują in-nych, partaczą. Nienawidzę cwaniaczków i z tymi cwaniaczkami bardzo chętnie pój-dę na starcie, wejdę w konflikt.

Mam trójkę rodzeństwa, wychowywa-łem się na podwórku, szczekane mam, a że dzisiaj już nie mam strachu o to, że coś mi

chłopa... I właśnie się zorientowałam, że to zazwyczaj z kobietami rozmawiam o przemianach cielesności, a z tobą też chcę: jak to jest – czasem masz wygląd na amanta, czasem duże ciało, jak mó-wi Holoubek.

– Jaki kraj, tacy amanci. Nigdy nie lubilem gadać o sytuacjach, które są poniekąd oczy-wiste. Dzisiaj aktorzy do filmu zmieniają so-bie fryzurę, obcinają włosy i robią z tego rol-kę. Na zasadzie: „Wow, patrzcie, jak się po-święcam!”.

Jak chciałem być chudszy do „Jestem Bo-giem”, to wzięłem trenera i się wyżyłowa-łem. A jak chciałem przytyć do „Hiacynta”, to przytyłem. To są moje wybory. Oczywi-ście byłoby super, jakby producent płacił za takie przemiany, ale to się zdarza tylko cza-sami. Myślałem, że w inną stronę pój-dzie to pytanie....

W jaką?

– Mam wrażenie, że w ogóle mężczyzn się o wiele rzeczy nie pyta. A oni chyba tych pytań potrzebują. Bo ja – wedle mojej we-wnętrzonej Zosi Samosi – z wieloma rzecza-mi sobie sam poradziłem. Sam poszedłem do psychologa czy terapeuty.

W domu rodzinnym byłem – jak typowe DDA – przede wszystkim klaunem. Nie znosiłem ciszy, musiałem ją zakrzyczeć

się stanie, bo ktoś mi coś brzydkiego po-wie czy złego na mnie i ja się potem zamknę w sobie – to mogę u to iść i nawet to lubię.

I to mi dało to zbudowanie siebie: od kie-dy wiem, że dobrze pracuję, że dobrze ro-bię rzeczy. Bo ja jestem dobrym pracow-nikiem aktorskim.

Traktujesz swój zawód jako pracę czy to jednak jest misja?

– To się nie wyklucza. Moją pracę kocham, ale podchodzę do niej profesjonalnie: ja się do niej przygotowuję i nie lubię, jak ktoś się do niej nie przygotowuje. Nie lubię ściem-niaczy. Czasem takim ludziom nawet na sta-nowiskach potrafię wygarnąć, najczęściej w obronie tych, którzy są w hierarchii niby niżej. „On nie może tego powiedzieć, to ja to za niego powiem: przestań się tak, kurwa, do niego odzywać”.

Szczerze? Chciałbym spotkać kiedyś jed-nego z tych przemocowców z naszej branży, o których słyszę od moich kolegów i koleża-nek, bo oni do mnie naprawdę się nie zbli-żają.

No się nie dziwię.

– My już nie chcemy tak pracować. A wiesz, ja byłem uczony w szkole teatralnej pokory: mówiono nam, że każda metoda ma jakieś plusy, że choć boli i uwiera, i obraża, to ona cię czegoś uczy. Pamiętam, jak ktoś mi mó-wi, że tak, to okropny reżyser, przeklina, wy-zywa, posuwa się do rękoczynów, ale: „Ro-zumiesz, jakie on robi przedstawienia! Je-zus, jakie to wybitne”.

Szczerze? Niech spierdala. Widzę teraz mnóstwo młodych ludzi z innym menta-lem, którzy potrafią robić piękne, wzrusza-jące rzeczy bez przemocy, więc jak mi ktoś próbuje wmówić, że przemoc czasem jest konieczna do stworzenia czegoś wielkie-go, to niech po prostu spierdala. To jest głu-pie tłumaczenie podłego charakteru. Ale na szczęście już nie ma tych ludzi chyba dużo – ja przynajmniej ich nie widzę.

Może chowają się przed tobą. W końcu jesteś, jak mówiła moja babcia, kawał

Ale widzę też po moich kolegach, że oni się pogubili w tym, co teraz można, cze-go nie można, gdzie i kim oni w ogóle ma-ją być, jak się zachowywać. I nie możemy te-go zagubienia nie zauważać. Mówi się co-raz częściej o depresjach czy śmierciach sa-mobójczych wśród facetów – oczywiście jest to też skorelowane z ilością chłania, które jest większe u facetów niż u kobiet – ale też mam takie wrażenie, że omijamy pewne te-maty w kontekście mężczyzn.

Myśmy byli tak wychowani, żeby o „tych sprawach” nie rozmawiać – ci młodzi już potrafią. Starsi po terapiach też. Taka np. cielesność. Jak kiedyś patrzyłem na mane-kiny w sklepach, to w sukienkę dla dorosłej kobiety moja siedmioletnia córka może by weszła. Straszne były te wymogi piękna, to pranie mózgu.

Ale wyście się tym – kobiety – zajęły ja-koś: dziennikarki pisały artykuły, pisar-ki książki o nierealnych ideałach i wyma-ganiach. Kobiety potrafią się zająć, zaopie-kować teraz swoimi sprawami. A o tym sa-mym problemie u mężczyzn już nie mówi-my. A przecież pełno jest tych instagrame-rów, którzy tylko na siłowniach siedzą i tam śmierzdzą – piękni jak bogowie. I ilu jest fa-cetów, którzy kompletnie nie potrafią sobie poradzić z tym, że do ideału nie doskoczą?

Body shaming tak samo dotyczy kobiet jak mężczyzn.

Ja coraz częściej słyszę i czytam o wsty-dzie mężczyzn dotyczącym ciała. Raport „Zrozumieć męskość” zrobiony przez Gedeon Richter mówi, że mężczyźni oce-niają swoją atrakcyjność nawet trochę gorzej niż kobiety. Średnia samooceny Polaka wynosi 6,6 w 10-stopniowej skali, Polka ocenia się na 6,7. Kobiety mówią, że wstydzą się ciała, a u mężczyzn na-wet mówienie o tym, że się go wstydzą, jest zakazane.

– Wszyscy się czegoś wstydzą. Ja bym już traktował kobiety i mężczyzn tak samo: przecież i to, i to – to człowiek.

Wy przez te lata, kiedy nie mogłyście o sobie decydować czy mówić własnym gło-

sem, jakoś przygotowałyście się do tej sytu-acji, w której jak już będzie wolno wam mó-wić, to będziecie wiedziały co macie powie-dzieć.

Natomiast mężczyźni nigdy nie czuli ta-kiej potrzeby, żeby się nad sobą zastanawiać – przecież „było, jak było, jest dobrze, my tu-taj mamy swój porządek” i pyk, pyk, fajecz-ka, piwko, fajeczka. No, ale to się zmieniło i teraz my też potrzebujemy się zastanowić.

Faktycznie badacze gender – w tym męskości – mówią, że kobiecość zadawała sobie pytania o to, czym jest, a męskość nigdy nie musiała, bo była przezroczysta. No i o co chodzi? Chłop to chłop.

– No nie była przezroczysta. Forma wszy-stko przykrywała, żeby właśnie nie było wia-domo, co się kłębi w środku. Ja swoje ra-chunki ze światem, swoje rzeczy już zała-twiłem – czyli poszedłem na terapię. Trudny to jest temat, bo sam jestem facetem, wiem, co to jest za problem, żeby w ogóle...

Mnie na terapię przygnął lęk. Miałem ta-kie objawy psychosomatyczne, takie na-pięcie w klatce piersiowej, że myślałem, że umieram. One się ciągnęły już dłuższy czas i potrzebowałem wsparcia kogoś, kto mo-że mi to wytłumaczyć, co to może być – bo mój logiczny umysł nie miał już odpowie-dzi, wszystko niemojonalne bowiem wy-eliminowałem.

Okazało się że to mieszanika rzeczy z przeszłości z używkami – trzeba było to wszystko z panią psycholog poczyścić. A ja starałem się to wszystko zrozumieć, bo dla mnie, jak czegoś nie rozumiem, to to nie in-tejuje. My całe życie słyszeliśmy te komu-nikaty, że mamy nie płakać, że mamy być twardzi, że jak nie, to jesteś, za przeprosze-niem, pizda.

Że taki nasz psi los, na co moja star-sza córka, która kocha pieski, zawsze re-aguje zdziwieniem. Ale my się poruszamy w świecie takich utartych schematów, wy-rażeń i definicji, które trzeba zmienić. Tak samo jest z mężczyznami. Oni są w kropce, bo czasy się zmieniły, wymagają otwartości, a oni mają być twardzi.

Bo taki ich pieski los.

– Tymczasem kobiety chcą mieć bardziej rozmownych partnerów. Dietność spada, więc chyba to wszystko nie idzie nam za do-brze, bo ludzie, zamiast rozmawiać, prze-stają się komunikować. Oczywiście przy-czyn jest więcej niż kryzys męskości, bo i so-ciał media, i wszędzie atakowani jesteśmy zewsząd przez dopaminowe rozrywki, co sprawia, że dwóm osobom – zarówno w he-tero, jak i homoseksualnej relacji – coraz trudniej się zauroczyć.

Do tego puste hasła „stawiaj na siebie”, „wsluchaj się w siebie” nie mówią, że zwią-zek polega na ustępstwach, a nie wiecznym spełnieniu w wariacjach narcyzmu i ego-centryzmu. Ja bym zaczął jednak pozytywi-stycznie, od podstaw.

Czyli?

– Mężczyźni potrzebują być zapraszani do rozmowy, więc jak widzimy faceta z pro-bblemem, zadajmy mu pytanie. I tak, rozmo-wa – która nam ze świata realnego wyszła ostatnio do sieci – jest trudna, bo zawsze jest wyjsciem ze strefy komfortu.

Więc po prostu zadajmy temu mężczyź-nie, swojemu bliskiemu: bratu, ojcu, chłó-pakowi, przyjacielowi czy kumpłowi, pyta-nia: „A co myślisz?”, „A dlaczego zrobiłeś tak, jak zrobiłeś?”. Bez oceniania, z zaintere-sowaniem. ●

Tomasz Schuchardt

• aktor (rocznik 1986), zdobywca Orłów i nagrody w Gdyni za rolę w „Doppelgänger. Sobowtór” (2023) i gdyńskiej nagrody za „Je-steś Bogiem” i „Chrzest”. Aktualnie można go oglądać na Canal+ w „Czarnych stokrotkach” we wzruszającej roli Majchera

Agassi:

*Kiedy mój ojciec będzie leżał na łożu śmierci,
nauczy papugę mówić: „Andre, skup się na serwisie!”*



• Iga Świątek z ojcem,
już nie trenerem,
czerwiec 2024 r., Paryż
FOT. EPA/TERESA SUAREZ

Ojcorwie tenisistki

Było to niecodzienny i zastanawiający gest zwycięstwa: Coco Gauff po wygraniu piłki meczowej z Igą Świątek w finale United Cup, wielkim turnieju reprezentacji w Sydney, złapała raketę jak szufłę i zaczęła nią ładować. Robiła to tak, jak ładuje maszynista do pieca lokomotywy. Można powiedzieć: kopala, kopala i się dokopala.

Przez ponad trzy lata mierzyła się ze Świątek w sumie 14 razy. Przegrała 11 meczów. Z nikim nie przegrywała tak bardzo. I nagle, jak nożem uciął. W finałach WTA w Rijadzie Gauff pewnie wygrała ze Świątek. W finale United Cup ponownie. Obydwa zwycięstwa były niewątpliwe, o ile można użyć tego słowa w tenisie, dwusetowe.

Więź między ojcem a córką w sporcie buduje się
jak u kowala, w ogniu

Radosław Leniarski

Wreszcie Gauff pokonała swoją uległość i poczucie bezsilności. Stąd taka eksplozja radości po zakończeniu meczu. Jak pisała poetka: „Sukces zda się najslodszy tym, co ugięli kark. By pojąć, czym jest nektar, trzeba spieczonych warg”.

Niepokojące polskich kibiców odwrócenie trendu w bilansie zwycięstw i porażek można rzecz jasna wytłumaczyć tenisowym dojrzwaniem. Gauff ma 20 lat, a więc jest trzy lata młodsza od Świątek. No właśnie, przecież to ten wiek, ten moment, kiedy i Świątek szturmem zajęła szczyt kobiecego tenisa. Gauff pierw-

szy tytuł wielkoszlemowy zdobyła co prawda już dwa lata temu, ale nie tylko ja widzę (prawdopodobnie Świątek również), że dopiero teraz Amerykanka osiąga swój najwyższy poziom.

Gdyby ktoś chciał kopać głębiej, zauważy, że czasowa zbieżność szturmu Świątek i Gauff prawdopodobnie nie jest przypadkiem i że podobieństwo może mieć związek z decyzją ojców obu tenisistek. Mniej więcej w tym samym okresie życia swoich córek postanowili usunąć się z ich najbliższego sąsiedztwa. Uznali, że czas na to, żeby tenisową edukacją ich córek zajęli się

profesjonaliści. Abdykowali dobrowolnie, a to nieczęsta decyzja w tenisie.

Ojcowie córek: Williams, Sabalenka, Rybakin...

Nie ma chyba innego sportu na świecie, w którym rola ojca miałaby większy wpływ na sportową karierę dziecka, a co za tym idzie, na jego życie – w każdym razie w przypadkach, które opisuję. Ojciec w tenisie to instytucja. Owszem, zdarza się, że w sportowych biografiach mówi się o zaangażowaniu rodziny, i tak jest również w tenisie, ale akurat w tej dyscyplinie ojciec jest najważniejszy.

Oto dlaczego: ze względu na częstsze u mężczyzn zainteresowanie sportem jako poważną dziedziną życia; na rolę mężczyzn w rodzinie, często przejmującego kontrolę nad pieniędzmi i tym, co się dzieje poza domem rodzinnym; na rodzeństwo, którymi matka ma potrzebę się za-

jąc w czasie, gdy rozwijana jest kariera jej córki; na częstsze u mężczyzn niż u kobiet osobiste doświadczenie sportowe jako zawodnika lub trenera, z pełną konsekwencją – gdy było ono niesatysfakcjonujące, córka daje okazję rewanżu (co pokazuje różnicę z „hockey mum”, której zależy na zadowoleniu dziecka i jego pełnego rozwoju).

A także ze względu na emocjonalną więź ojciec – córka, mało zbadaną przez psychologów, w każdym razie w porównaniu z obszernymi studiami dotyczącymi więzi matczynej, a jednak mocną, wykrywającą się współdziałaniem, a w pewnym okresie rozwojowym dziewcząt korzystającą z odczuwania niechęci córki do matki.

Nie ma na wyżynach współczesnego tenisa zawodniczki ani zawodnika, którzy weszli na sportową drogę sukcesu samodzielnie lub tylko z pomocą trenerów. Na ogół kroczy się nią w towarzystwie ojca, rzadziej matki lub innego bliskiego członka rodziny. Działo się to i dzieje na każdej szerokości geograficznej. Weźmy obecną czółówkę rankingu WTA i umieśćmy ją na mapie świata.

Białorusinkę Arynę Sabalenkę – dziś liderka rankingu WTA – na pierwsze treningi w Mińsku przyprowadził ojciec Siergiej, były bramkarz hokeja. Potem koszarowy system białoruski organizował treningi w dużych grupach, więc ojciec już się tak nie angażował jak w przypadku bardziej indywidualnego podejścia poza białoruską satrapią. Sześć lat temu Siergiej zmarł na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

Trenerem Jeleny Rybakiny (WTA 6) był na początku ojciec Andriej, producent telewizyjny w moskiewskiej centrali NTV Plus, i to on zdecydował, że córka wyprowadzi się daleko na wschód do Kazachstanu, skoro rosyjskie państwo nie chce jej pomóc. To on tłumaczył, że Jelena nauczyła się być spokojna na korcie, nie złała ani jednej rakiety ze złości, bo nie było ich na nie stać.

Były lekkoatleta Jianping Zheng, ojciec Qinwen Zheng (WTA 5), zabrał pięcioletnią córkę na olimpijski turniej tenisowy w Pekinie. Przeniósł się wraz z nią z Shiyan o 500 km na wschód, do 15-milionowego Wuhanu, gdzie trenowała w szkole sportowej z bursą, a gdy miała 12 lat, do podobnej szkoły w Pekinie – kolejne 1,2 tys. km na północ. Kiedy przeszedł na emeryturę, poświęcił się jeżdżeniu po różnych instytucjach lokalnej władzy w poszukiwaniu pomocy dla córki.

Siostry Serena i Venus Williams i ich ojciec Richard, który sam nauczył się trenować tenis i napisał 85-stronicowy plan dla obu córek? Wygzekwował go, bo gdy obejrzał mecz tenisowy w telewizji, wymarzył sobie, że będą gwiazdami. Ojciec Igi Świątek – to znana historia.

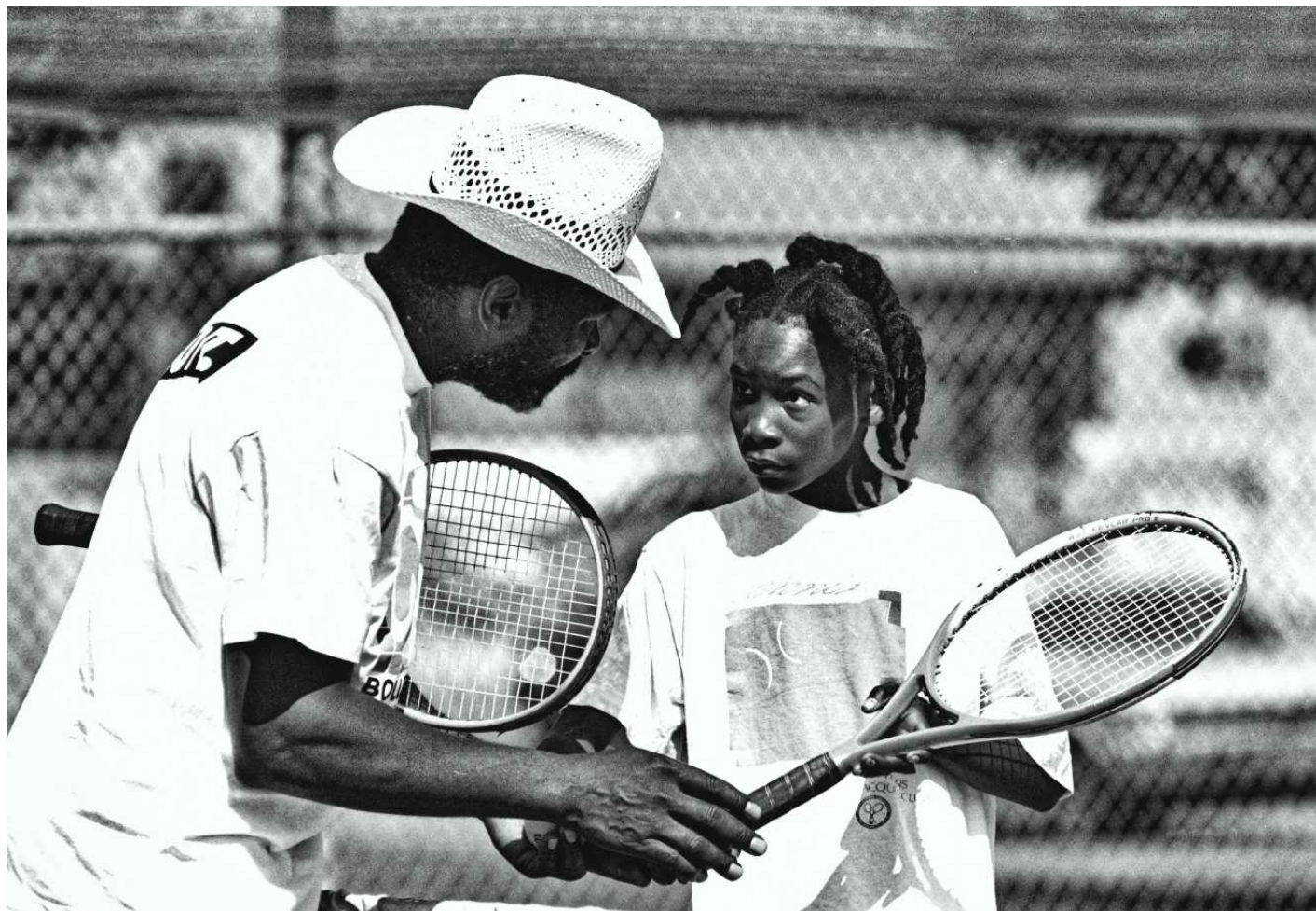
Można ciągnąć korowód przez świat, włączając do niego Agnieszkę Radwańską, w którą ojciec Robert, trener tenisa w Niemczech i Polsce, zainwestował majątek rodzinny i całą swoją wiedzę o tenisie.

Zobaczmy, jak to jest w innych sportach. W lekkoatletyce lub w pływaniu rolę ojca na ogół wypełnia trener. Surowy, inspirujący, imponujący młodemu człowiekowi charyzmą, doświadczeniem i wiedzą. Wielkie medalowe kolekcje zostały zebrane przez dzieci, które pod wpływem wybitnych trenerów zostały olimpijczykami. Zawodniczki i zawodnicy opowiadają w późniejszych latach, że stali się bohaterami dzięki wspianiemu nauczycielowi wuefu w ich szkole. To powszechne historie.

Ale nie w tenisie.

Tenis stał się trampoliną do osiągnięcia satysfakcji i pieniędzy. Czy też raczej nie trampoliną, bo ona sugerowałaby gwarancję zerwania owoców wiszących bardzo wysoko. Stał się marzeniem o sukcesie. Marzeniem rodziców, marzeniem ojca o szczęściu dziecka takim, jak on je rozumie. Z czasem, aczkolwiek nie zawsze, stał się też marzeniem samych dzieci.

Osiągnięcie sukcesu w tenisie jest szalenie trudne. Obecnie – według Interna-



• 11-letnia Venus Williams słucha uwag taty trenera, Richarda Williamsa. Los Angeles, kwiecień 1991 rok. FOT. PAUL HARRIS/GETTY IMAGES

tional Tennis Federation – na świecie gra w tenisa 106 mln osób, przy czym około 20-21 mln kobiet. Wikipedia podaje, że o 146 mln dolarów zgromadzonych w puli nagród turniejów tenisowych walczy na korcie 2,5 tys. kobiet.

Tak się złożyło, że ogromna motywacja rodziców i ich determinacja w wyszkoleniu córek na gwiazdy zbiegła się z rozwojem profesjonalnego tenisa granego za duże pieniądze.

Powiedzmy sobie szczerze: bohaterka emancypacji kobiecego tenisa z lat 60. i 70. Billie Jean King nie dostała pierwszej rakietki od ojca (lub matki), ale musiała ją sobie sama kupić. Mimo że rodzice byli bardzo pozytywnie nastawieni do wysiłku fizycznego, namówili ją do zmiany z baseballu i softballu na tenis, bo był według nich bardziej dziewczęcy. Margaret Court – jedna z najlepszych w historii, zdobyte 22 Wielkie Szlemy w latach 60. i 70. – dostała starą rakietę od kolegi ojca i godzinami waliła w ścianę.

Dziś dzięki tenisowi można być sławną kobietą, spełnić się jako kobieta w globalnym sporcie i jako kobieta zarobić majątek. W piłce nożnej, futbolu amerykańskim, hokeju, koszykówce, czyli najbogatszych sportach, czas kobiet dopiero nadciąga.

Tylko w tenisie równouprawnienie kobiet i mężczyzn zaszło na tyle daleko, że w wielu turniejach zarabiają dokładnie tyle samo. Nic dziwnego, że ambicje ojców i ich córek skanalizowały się właśnie w tej grze.

Ojcowie odgrywają różne role i w różny sposób, a ich wpływ nie ogranicza się rzecz jasna do córek, choć tu jest najbardziej widoczny i nieco inny. Prześledźmy kilka najbardziej znanych przypadków ojciec – syn.

Ojcowie synów: Federer, Aghasi

Robert Federer, ojciec Rogera i handlowiec w biznesie farmaceutycznym, był głównie kierowcą dziecka w drodze z domu do klubu w Bazylei. Nigdy nie podnosił głosu. Elegancki, wytworny nawet – później – Roger jako dziecko wściekał się, gdy przegrał mecz lub coś mu nie wychodziło na treningu. Ojciec prowadził samochód w ciszy. Pozwalał synowi się wykrzyczeć.

Kiedyś był bardzo rozzaczarowany postawą syna na treningu, ale nawet wtedy nie doszło do krzyku. Po prostu odjechał z klubu do domu. Synowi zostawił pięć franków na powrót. Zasadniczo dawał Roge-

rowi przestrzeń. Nie było go na dwóch pierwszych triumfach syna w Wimbledonie – twierdził, że pilnował rodzinnego domu albo doglądał kota.

Emanoul Aghasi, bokser irański, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1952 r., zwykł wieszać nad łóżeczkiem nowo narodzonego syna karuzelę z piłeczkami. Pierwszymi przedmiotami, jakie dziecko oglądało, gdy zaczęło rozpoznawać kształty, były wirujące nad głową piłeczki tenisowe. 22 lata później jego syn Andre Agassi zdobył swój pierwszy tytuł wielkoszlemowy.

Ojciec wymagał, wymagał, wymagał. Powtarzał, powtarzał, powtarzał. – Zawsze krzyczał coś, co wydawało mu się ważne, minimum dwa razy. Mocniej, Andre, mocniej. Szybciej uderzaj. Do cholery, szybciej uderzaj, Andre. Do piłki, do piłki, Andre – wspominał Agassi w autobiografii „Open”.

– Kiedy mój ojciec będzie leżał na łożu śmierci, nauczysz papugę mówić: „Andre, skup się na serwisie!”, i umrze szczęśliwym człowiekiem – powiedział kiedyś Agassi.

Opowiadał też, dlaczego został przez ojca wysłany do słynnego tenisowego ośrodka Nicka Bollettieriego na Florydzie jako 13-latek. – Ojciec usłyszał o Nicku w programie telewizyjnym „60 minut”, w którym opisano go jako tyrana doprowadzającego dzieci do płaczu i spazmów, i uznał, że to miejsce dla mnie.

Ojciec tenisisty zmarł trzy lata temu. Z pewnością jako szczęśliwy, bo syn zdobył osiem Wielkich Szlemów.

Andre Agassi i jego żona Steffi Graf zdobyli 30 tytułów wielkoszlemowych. Steffi miała znacznie trudniejsze relacje z ojcem. Ciężko pracujący sprzedawca samochodów był tyranem. Miał całkowitą kontro-

lę nad życiem córki, nad pieniędzmi, które zdobywała na korcie i w reklamach.

Ona – mimo trudnych doświadczeń z dzieciństwa – była lojalna w stosunku do niego, nawet gdy został skazany za oszustwa finansowe na dużą skalę. Matka i brat przenieśli się w jej sąsiedztwo pod Las Vegas, ojciec pozostał sam w Niemczech. Odwiedziła go raz, tuż przed jego śmiercią.

Czerpiąc ze swoich doświadczeń, Andre i Steffi wybrali inną drogę dla swoich dzieci, córki i syna. Dali im wolność. – Pomyśl, że miłość do dziecka rodzic warunkuje jego osiągnięciami w sporcie, jest tragedią – wyjaśnił niedawno Andre. – Czy wiecie, ile trzeba pracować, żeby być profesjonalistą w wieku 16 lat?

Ojcowie, którzy zawiedli. Dokić, Pierce, Radwański

W styczniu Amerykańska Akademia Pediatria, największe stowarzyszenie lekarzy pediatrów, opublikowała badania o sporcie dzieci w Stanach Zjednoczonych. Okazało się, że około 70 proc. amerykańskich dzieci porzuca zorganizowany sport przed ukończeniem 13. roku życia. Profesjonalizacja dziecięcego oraz młodzieżowego sportu nie powinna być niedoceniana jako wpływ na to zjawisko.

„Jest ona powszechnie uważana za przyczynę wprowadzenia dużej liczby treningów dzieci i presji na specjalizację w jednym [komercyjnym] sporcie, co może prowadzić do kontuzji z przeciążenia, przetrenowania i do wypalenia u młodych sportowców – piszą dr Joel Brenner i dr Andrew Watson, lekarze medycyny sportowej. – Presja, aby odnosić sukcesy w młodym wieku, a także przekonanie, że jest to najskuteczniejsza droga do przyszłych sukcesów sportowych, prowadzą do nadmiernej liczby treningu i utraty radości ze sportu”.

Rzecz jasna to nie są przypadki Igi Świątek, Coco Gauff i wielu innych dziewcząt, które zaczęły odnosić wielkie sportowe sukcesy jako nastolatki. Im się udało. Ich ojcowie nie przekroczyli bariery kontroli, przymusu, nadmiaru. Zastosowali ograniczone zaufanie do zespołu ludzi, którzy powoli przejmowali obowiązki od nich, utrzymywali dyskretną i ograniczoną kontrolę nad tym, co dzieje się w sportowym życiu dorastającego dziecka, dając mu poczucie podmiotowości.

Zatrudnienie Darii Abramowicz, psycholożki, która zajęła się emocjami Igi, gdy

ta musiała sobie poradzić jako młoda nastolatka w rosnącym zespole, bez rodzica, w wiecznej podróży, świadczy o dojrzałości decyzji Tomasza Świątką. Ojciec Coco Gauff też zadbał o terapeutyczną pomoc dla córki.

To jest bardzo, ale to bardzo rzadkie w tenisie, zwłaszcza kobiecym.

Więź między ojcem a córką w sporcie buduje się jak u kowala, w ogniu, i hartuje się przy ciągłych problemach, z którymi zderza się ambitny rodzic.

Są to głównie problemy finansowe, ale również logistyczne czy rodzinne. To bardzo często poświęcenie własnej kariery, własnego życia w imię przyszłego sukcesu i szczęścia – nawet jeśli tylko domniemanego – córki.

Ryzyko porażki olbrzymie. Owszem, można w tenisie zarobić na całe życie, można dzięki tenisowi wyjechać na kosztowne studia do USA za sportowe stypendium, ale znacznie więcej jest upadłych planów na eldorado, czasem niepowodzenia dramatycznego, bo można zadłużyć się, zastawić majątek. Córka nagle już nie chce iść wyznaczoną drogą. Albo zerwała więzadła krzyżowe. Urosła i jest za wysoka. Albo nie urosła i jest za niska. Albo ma za krótkie nogi. Okazało się, że coś nie tak z biochemią krwi. Albo wypaliła się, mając 17 lat.

Czasem ojciec jest też trenerem, wtedy może się wydawać, że jest łatwiej – zna się, ma dostęp do kortów za pół ceny, dołączy córkę do grupy, będzie taniej. Ale na ogół to tylko wzmacnia jego emocje, bo z jednej strony jego córka jest jedną z wielu, więc obojętnie na jej problemy tak, jak obojętnie na problemy innych swoich zawodniczek. Widzi w niej tylko słabość – nieprzystającą do wartości, w których ją wychował lub jakie zaszczerpił w pracy. A z drugiej strony jest tą jedyną, na której barkach złożył swoje oczekiwania i często frustracje.

I dlatego w tenisie tak wiele było patologicznych związków, choć – trzeba to podkreślić – jest ich coraz mniej. Kobięca federacja – WTA – dba o spokój na korcie, czyli tam, gdzie czuje się najbardziej odpowiedzialna za zawodniczki. Mimo że 1 stycznia Jelena Rybakina przywróciła do pracy swojego chorwackiego trenera Stefano Vukova, WTA wciąż go nie dopuszcza do turniejów – za przemoc werbalną, za terror psychiczny w stosunku do Jeleny właśnie.

Widać od strony tenisowych ojców mniej niecierpliwości i frustracji niż kiedyś, jest ich też mniej niż w innych dyscyplinach sportu. A jednak tenisistki mnóstwo od nich wycierpiały.

Mary Pierce – ostatnia francuska triumfatorka Rolanda Garrosa – uciekła do religijnej sekty na Mauritius szukać spokoju, mimo że jej ojciec i trener Jim Pierce otrzymał zakaz sądowy na zbliżanie się do niej i został wykluczony z turniejów WTA. Wciąż jednak za nią jeździł, meldował się w tych samych hotelach. Musiała wynająć ochronę, ale i to nie pomogło. Jednego dnia w hotelu we Włoszech pobił się z ochroniarzem – krew na korytarzu, krzyki, przerażona Mary zamknęła się na klucz.

Damir Dokić, ojciec Jeleny Dokić, został wyrzucony z Wimbledonu, z US Open, w Australii siedział w areszcie i powtarzał, że zabiłby córkę, gdyby okazała się lesbijką. Piekielne lata zgotowane jej przez ojca opisała w autobiografii „Nie-złomna” dopiero po zakończeniu kariery. Bił ją, kopał, ciągnął za włosy. Dziś Jelena czasem przeprowadza wywiady na korcie. Tak było na zeszłorocznym Australian Open po meczu z Coco Gauff, rozmowa zeszła na ojca Coco, któremu zdarza się zniknąć na trybunach daleko od boksu zawodniczek, bo nie zawsze potrafi trzymać język za zębami.

Niektórzy ojcowie stracili zaufanie swoich córek w mniej drastycznych okolicznościach, jak Robert Radwański, ojciec Agnieszki. Są to bardzo wrażliwe sprawy.



• Agnieszka (10 lat) i Urszula (8 lat) Radwańskie na treningu z pierwszym trenerem, ich ojcem. Kraków-1998 r. Fot. Waclaw Klag/Reporter

Projekt Coco

Na początku wydawało się, że Corey Gauff wpisuje się w niezbyt jasny obraz świata ojców tenisistek. Wydawało się, bo Coco – imię jest pieśzczośliwą formą od Cory, czyli nieco tylko zmienionym imieniem odojcowskim – zaczęła profesjonalną karierę w bardzo młodym wieku. Ktoś mógłby powiedzieć, w oburzająco młodym wieku, ponieważ w 2019 r. 15-latką jako najmłodsza w historii przeszła kwalifikacje do najstarszego turnieju wielkoszlemowego, Wimbledonu.

W ten sposób ojciec naraził córkę na z góry przegraną konfrontację ze starszymi, mocniejszymi fizycznie, bardziej doświadczonymi zawodniczkami. Trudno wytrzymać takie wyzwanie psychicznie.

W sporcie można nauczyć się, że porażka to nic złego, i grać dalej zgodnie z hasłem: „Polacy, nic się nie stało”. Można przywyknąć do dyskomfortu, zacząć traktować porażkę jako drobne, chwilowe, bolesne i nic nieznaczące wydarzenie. Być może jest to dobre z punktu widzenia psychologii sportu młodej osoby, bo zdejmuje z niej presję.

A może jednak niekorzystne, bo przecież zawodniczka powinna mieć mentalność zwyciężczyni – to znana sportowa mądrość. Sześć z szesnastu meczów serii WTA Tour w 2019 roku to były dla Coco Gauff porażki. W następnym – osiem na 18.

Corey Gauff był koszykarzem, czyli spędził szmat życia cholernie daleko od tenisa. Ale był świadomym ojcem. Dlatego pytał. Drażył sprawę, od kiedy Coco miała sześć czy siedem lat. Co robiła Jennifer Capriati w wieku mojej córki? A co siostry Williams? Steffi Graf?

Zwłaszcza co robiła Capriati, wspaniała tenisistka, złota medalistka olimpijska. Weszła do tenisowego biznesu jako 13-latką, czyli nawet ciut wcześniej niż Coco. Jej ojciec – jeden z tych szalonych ojców, były kaskader i piłkarz – wszystko zaplanował w jej karierze. W rok osiągnęła najlepszą dziesiątkę rankingu WTA, a potem została aresztowana za posiadanie narkotyków i kradzież w sklepie.

Corey bez względu na porównywał, porównywanie stało się jego obsesją. Tak bardzo bał się, że Coco – z jego inicjatywy, bo przecież nie jej – przystępuje do wielkiego życiowego meczu za wcześniej, że wypali się szybko. Miał ponure myśli, że jego córka jest wczesnodojrzewającym kwiatem, który zacznie więdnąć, kiedy inne dziewczyny nabiorą dopiero chęci do prawdziwej gry. Że złapie kontuzję, która zatrzyma inwestycję.

I tak mogło być, jego obawy nie były bepodstawne, piekło rodziców wybrukowane jest przegranymi marzeniami o błyskawicznym sukcesie sportowym córek.

Mogły go trapić wyrzuty sumienia, że chce zbyt szybko doprowadzić do sytuacji,

Owszem, można w tenisie zarobić na całe życie, można dzięki tenisowi wyjechać na kosztowne studia do USA za sportowe stypendium, ale znacznie więcej jest upadłych planów na eldorado

w której Coco zacznie zarabiać na swój tenis, na niego, na rodzinę. No, bo dziewczyny szybciej niż chłopcy zaczynają przynosić zyski, ale wciąż jest to piekielnie długi czas.

Ten czas często wyznacza finansowe być albo nie być rodziny, tak olbrzymie są koszty doprowadzenia do startów w WTA Tour, które wcale nie są sezamem na początku, a mogą też nie być sezamem na końcu. Jest to swoisty wyścig z czasem. Trzeba mieć w głowie suwak logarytmiczny: założmy, że w pewnym roku dochody rodziny Kowalskich były na poziomie X, a koszty projektu Tenis Małej Kowalskiej na poziomie Y, przy czym Y=0.7X. Ile jeszcze wytrzyma rodzina Kowalskich, skoro jej przychody się liniowo zmniejszają wskutek zaangażowania w zapewnianie rozwoju córki, a koszty przygotowania i startów rosną wykładniczo wraz z coraz wyższym poziomem rywalizacji.

Rodzice – ojcowie – często nie wytrzymują tej presji, naciskają na więcej turniejów, na większą pulę, wściekają się z powodu nie dość dobrych wyników finansowych projektu tenisowego.

Żaden ze złych scenariuszy się nie zrealizował w przypadku Coco.

Porażki w pierwszym etapie gry ze starszymi zahartowały, a nie złamały Coco. Być może ten właśnie okres zaszczerpił w dziesięciu meczach, dzięki której po przegranii 11 meczów ze Świątek nie poddała się i wygrała kolejne dwa. Być może dlatego wygrała w 2024 r. 57 meczów, a przegrała tylko 17.

Corey zaplanował karierę córki jak Stefano Capriati. Ale w odróżnieniu od szalonego ojca Jennifer wytrzymał ciśnienie, w czym z pewnością pomogły pieniądze sponsorów, inwestorów, marketingowców. Pomogły także przepisy WTA, które ograniczają nastolatkom grę w WTA Tour do konkretnej liczby meczów.

Wyniki Gauff spowodowały co prawda, że w przypadku Coco organizacja przystąpiła na zwiększenie kwoty meczów, ale niewielkie. Inni rodzice nieustannie naciskają WTA na całkowite zniesienie restrykcji na młode zawodniczki. Argument: przepisy są stare, czasy się zmieniły.

W 2018 roku, czyli jako 14-latką Coco zagrała jeden mecz na najwyższym poziomie rozgrywkowym, bo w US Open. W następnym – 16 w WTA Tour. W 2020 – 18. Powoli obciążenia turniejami rosły. W 2021 – 50, potem 60, potem 66. W zeszłym roku była już w pełnym szwungu – 71 meczów w WTA Tour, więcej niż Świątek. Stopniowe zwiększanie meczów na najwyższym poziomie, dbałość o higienę sportową – fizjoterapię, odpoczynek – pozwoliły na uniknięcie kontuzji.

Corey usunął się w cień i dostawił do układanki kolejny fragment. W 2023 roku zatrudnił legendarnego trenera Brada Gilberta, guru szkoleniowców pracującego kiedyś z wielkimi sukcesami z Agassim, Andyem Roddickiem i Andyem Murrayem, żeby wspierał sztab szkoleniowy tenisistki. Ich współpraca trwała 14 miesięcy. Gauff z Gilbertem u boku wygrała swój pierwszy tytuł wielkoszlemowy.

Corey wciąż szuka. Ponownie zatrudnił Jeana-Christophe’a Faurela. Corey i Coco znają go od wieków, pracował z nią, gdy jeszcze nie mogła grać zawodowo z powodu wieku i trenowała w słynnej akademii na południu Francji. Dołączył jeszcze jeden trener – Matt Daly, specjalista od ustawienia chwytu. Tutaj mała uwaga – fachowcy są zdania, że Coco trzyma rakietę zbyt radykalnym uchwytem zwanym extreme western, czyli takim, jaki stosuje Świątek. Pozwala on na uderzenie piłki forhendem z większą rotacją, ale jest korzystny tylko na wolniejszych nawierzchniach, takich jak ceglana.

Do ekipy dołączyli fizjoterapeutka, sparringpartner, psychoterapeutka online, pracownik od logistyki.

Jak na razie projekt Coco jest wzorcowy i ujmująco sportowy. Mimo wielu kontraktów reklamowych widać, że zawodniczka jest skupiona na tenisie, na osiągnięciu wyników sportowych. Że kręci ją gra nie tylko w debla, ale chętnie grywa także w miksta, co udowodniła w United Cup.

Ojciec jest w dużej mierze usatysfakcjonowany – jego córka jako jedna z kilku kobiet wygrała Wielkiego Szlema, turniej WTA 1000 i finały WTA, jeszcze zanim skończyła 21 lat, przynajmniej od 1990 r., kiedy wprowadzono poziomy rozgrywkowe.

Ale w tym biznesie nie ma pełnej satysfakcji. Zawsze jest coś do poprawy. U córki.

Więc wiadomo, co będzie celem w 2025 r. Jeśli Corey i Coco wyeliminują ten błąd, tę zadziwiającą anomalie jej tenisa, trudno ocenić, gdzie zawiśnie niebo. To niezwykle anomalia, choć pokazująca prostotę tenisa. Mianowicie Coco nie umie grać forhendem.

Ojciec myśli – co będzie, gdy się nauczy? ●

wyborcza | magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: ied@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;
ZASTĘPCY:
Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wielński;

MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Żabińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Wojciechowski

WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas

Biuro reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

KANCELARIA KONTROLNA

1 RP

eprasa.pl de8f991a52

Dominika Tworek

Wyobraźmy sobie sytuację: 7-letni chłopiec wybiera się na boisko w chłodny, wietrzny dzień. Zgodnie z archetypem jego matka będzie dbała o to, żeby syn się nie przeziębił, więc założy mu szalik. Ojciec – ceniący bardziej hart ducha czy rywalizację – może zaś powiedzieć: „No nie będzie chłopak grał w piłkę w szaliczku!”.

W idealnym modelu te dwie wartości – dbanie o zdrowie dziecka oraz zapewnienie mu przeżyć – nie będą się wzajemnie wykluczać, acz równoważyć. Rodzice mogą osiągnąć kompromis: dziecko ściągnie szalik na czas meczu.

Natomiast chłopiec, który byłby tylko pod wpływem matki, nie będzie grał w piłkę, bo wtedy musiałby zdjąć szaliczek. Ale on też będzie miał w sobie naturalne dla dzieci pragnienie rywalizacji. W związku z czym będzie próbował przejmować kontrolę nad rzeczywistością w bardziej pokrętny sposób, np. kreując siebie jako ofiarę tej czy innej sytuacji.

Szkoła bez stopni i traumy

Psychologowie społeczni Greg Lukianoff i Jonathan Haidt w książce „Rozpieszczony umysł” ukuli pojęcie sejfetyzmu. Definiują je jako przesadę na punkcie eliminowania z życia wszelakich zagrożeń. Zarówno tych rzeczywistych, jak i wyimaginowanych.

To taki świat bez ojca, oparty wyłącznie na dyskursie matki. Według badaczy w dzisiejszych czasach dominuje kult bezpieczeństwa, który pozbawia młodych ludzi ważnych życiowych doświadczeń, przez co stają się przewrażliwieni, lękowi i skłonni do postrzegania siebie jako ofiary. Pokolenia wychowywane wyłącznie na empatii i asekuracji mogą mieć problem w obliczu realnych wyzwań.

Choć owa diagnoza dotyczy amerykańskiego społeczeństwa, takie wzorce zachowań możemy zauważyć również w Polsce. Dziś na ulicach coraz rzadziej widzimy samodzielnie poruszające się dzieciaki. Place zabaw pokrywane są gumowymi płytami, które mają zamortyzować upadki.

Rodzice postulują, by w szkole nie było stopni, aby nie traumatyzować uczniów. Co rusz dostajemy alerty RCB z ostrzeżeniami o groźnych anomaljach, które okazują się normalnymi zjawiskami pogodowymi.

Bezpieczeństwem summa summarum prowadzi nas do punktu, w którym ludzie stają się niechętni do dokonywania rozsądnych kompromisów. – To postawa, w której zabezpieczenia przed usuwaniem wszelkich śladów chociażby najmniejszego niebezpieczeństwa nie mają końca. Ona nie bierze pod uwagę możliwości istnienia zdroworozsądkowej granicy, przy której powiemy, że próba usunięcia jakiegos czynnika stwarza nam więcej kłopotu niż sam ten czynnik – tłumaczy psycholog Paweł Drożdżiak.

Wyścig empatii i wrażliwości

Rozmywaniu granic rozsądku służy dziś empatia. Od kilkunastu lat mamy do czynienia z lawinowym wzrostem tego słowa w badaniach psychologicznych. Na portalu oferującym darmową bazę badań PubMed (zarządzanym przez największą na świecie bibliotekę medyczną National Library of Medicine) widzimy, że liczba ta urosła z ok. 600 takich badań w 2004 r. do ok. 2,6 tys. w roku 2024.

Choć umiejętność wczuwania się w stan wewnętrzny drugiej osoby jest zasadniczo cechą pomagającą nam w relacjach, obecnie obserwujemy swego rodzaju wyścig na to, kto jest bardziej empatyczny i wrażliwy. W związku z tym ludzie się boją, że zostaną oskarżeni o to, że tacy nie są. – Dobrym przykładem świecą tu alkotubki. Tego typu opakowania są w Europie wszędzie, ale pro-



Szaliczek

Psychologowie społeczni ukuli pojęcie sejfetyzmu.
To przesada na punkcie eliminowania z życia wszelakich zagrożeń.

blem polega na tym, że jeżeli już wrzucano do obiegu myśl, że oto dziecko może sobie taką alkotubkę kupić – niezależnie od tego, czy to jest realistyczne – nie znajdzie się jeden odważny, który powie, że nawet jeżeli jakieś minimalne niebezpieczeństwo istnieje, to można je zignorować. Jeżeli ktoś by coś takiego powiedział, zostanie posądzony właśnie o brak empatii wobec dzieci – twierdzi psycholog.

Wydaje się też, że wbrew proekologicznym narracjom część z nas nie toleruje właściwie żadnego ryzyka ze strony przyrody. – Klasa średnia lubi się lansować na ekologie, a pojęcie „zrównoważony rozwój” odmieniany jest przez wszystkie przypadki. Natomiast potem się okazuje, że mieszczuchom po wyprowadzce na wieś przeszkadzają np. pszczoły i zaczynają się konflikty z sąsiadami – mówi dr Karolina Królikowska, przyrodnik z Uniwersytetu Przyrodniczego we Wrocławiu.

W miastach notoryczne są również spory o wycinanie drzew. – Z jednej strony chcemy żyć wśród zieleni, dużo się mówi o jej roli w adaptacji do zmian klimatu, ale nie tolerujemy najmniejszego ryzyka, że drzewo się zawali albo spadnie gałąź. Słyszałam nawet argumenty, że na cmentarzach trzeba wszystko wyciąć, bo przecież tam są znicze i jak spadną suche liście, to będzie pożar. Nawet „proekologicznym” rowerzystom przeszkadzają liście i gałęzie na ścieżkach rowerowych – opisuje specjalistka.

Kulturowy autyzm

Każdy życiowy scenariusz potencjalnie zawiera w sobie jakieś niebezpieczne elementy. Nasza dotychczasowa postawa polegała na ignorowaniu tych, na których poziom zagrożenia się godziliśmy. W różnych sytuacjach wierzyliśmy, że jednak „będzie dobrze”, a dodatkowo zakładaliśmy, że mamy w sobie pewne zasoby odporności, które pozwolą nam dane niebezpieczeństwo przetrwać. Takie doświadczenia nie tylko nas hartowały, ale też ubarwiały nasze życie, czyniąc je ciekawszym.

– Często rozmawiam ze studentami o podróżowaniu. Spora część z nich trafia w te same miejsca, je to samo, ma te same fotografie. To m.in. wynik korzystania z aplikacji, które polecają im, co i gdzie zjeść. Oni uważają to za dobre, bo bezpieczne, albowiem nie zatrują się czymś w niewiadomym miejscu. Aplikacje chronią ich przed ryzykiem, ale w efekcie tracą swoje oryginalne doświadczenie. Co statystyki mówią nam o zatruciach pokarmowych w Rzymie czy Neapolu? Naprawdę jest się czego bać? – pyta retorycznie dr Michał Rydlewski, filozof z Uniwersytetu Wrocławskiego.

Z jego obserwacji wynika też, że młodzi coraz częściej unikają kontaktu z obcymi ludźmi. Motywacją do izolowania się we własnych bańkach jest nie tylko asekuracja przed fizycznym skrzywdzeniem, lecz również pragnienie, by inni – z jakichkolwiek powodów – źle o nich nie pomyśleli. Skrzętna obrona własnego ego wydaje się znakiem rozpoznawczym naszych czasów.

O ile oczywiste jest, że poczucie bezpieczeństwa to ważna potrzeba każdego człowieka, przekroczenie pewnego punktu krytycznego to trosce o nie powoduje, że ludzie zamykają się w swoich światach, de facto odmawiając komunikacji z innymi. – Prowadzi to do czegoś w rodzaju kulturowego autyzmu. Drugi człowiek jest niebezpieczny, więc nie należy mu ufać. Świat staje się miejscem wrogiem, więc najlepiej sprowadzić go do swojego wnętrza – komentuje Rydlewski.

Ból od kopniaka

Bezgraniczne ufanie własnym stanom emocjonalnym – objawiające się m.in. przekonaniem, że jeśli poczułem się urażony, to mam do tego prawo, bez analizy intencji rozmówcy – jest jednym z powodów sejfetystycznego podejścia do życia. To nie tylko efekt psychologizacji kultury, ale też mechanizm obronny, kompensujący poczucie utraty kontroli

nad „złą” rzeczywistością. Używanie własnej krzywdy pomaga tę kontrolę niejako odzyskać.

Drożdziak opowiada: – Jest mecz piłkarski i dwóch zawodników się zderza. Jednego boli, bo dostał kopniaka. On w pierwszym momencie zawsze upada i odgrywa straszliwy ból na użytek sędziego. Jeśli sędzia nie reaguje, zawodnik musi się bardzo szybko zebrać. On nie kontaktuje się ze swoimi emocjami, nie analizuje ich, tylko dokonuje pewnego wyparcia bólu, by grać dalej. Co jest właściwie odwrotnością tego, co robi się w psychoterapii. I odwrotnością współczesnego procesu wychowania.

To właśnie koncentrowanie się na swojej frustracji kształtuje w ludziach postawę ofiary. A tą można bez końca terroryzować otoczenie. – Jeżeli ktoś zaprzecza, że mógłby sobie z pewnym rodzajem frustracji poradzić, mówi tym samym, że jego wrażliwość nie ma granic. W rezultacie każda niedogodność, która zostaje mu zadana, ma nieskończony wymiar. A w związku z tym ma on uprawnienie do nieskończonej rekompensaty. Jest w stanie używać tego argumentu „byłem ofiarą” właściwie przez cały czas – podkreśla psycholog. Dodając, że przemyczone w kulturze przeświadczenie, iż zbyt długie epatowanie pozycją ofiary jest obciachem, byłoby naturalnym hamulcem takich zachowań.

W kontrze do ofiarniczych postaw możemy postawić wszystkie zachowania wynikające z odporności psychicznej zwanej przez psychologów rezyliencją. – Chodzi o to, że jeśli coś w nas uderzy, chwilowo

Licealistka: – Rodzice uważają, że to przemoc, gdy nauczycielka mówi nam, że powinniśmy znać materiał, który już przerabialiśmy

się odkształcamy, a potem sprężynujemy. W tym sprężynowaniu bardzo pomaga dystans do siebie, np. w postaci poczucia humoru. Chociaż

dzisiaj nie wypada już komuś powiedzieć „trochę dystansu”, bo wtedy uczestniczy się w pogardliwym pomniejszaniu tego kogoś, sugerowaniu mu nadmiernej emocjonalności.

No ale ogólnie trochę dystansu by się nam wszystkim przydało, tylko trzeba to inaczej nazwać, np. rezyliencją – mówi dr Katarzyna Szumlewicz, pedagog z Uniwersytetu Warszawskiego.

Produkcja nieodpornych psychicznie dorosłych

W procesie tradycyjnego wychowania jednocześnie równoważyły się dwa czynniki: dbanie o podstawowe bezpieczeństwo dziecka oraz wystawianie go na pewien rodzaj dyskomfortu, żeby było w stanie sobie z nim radzić. We współczesnym świecie coraz bardziej dominuje koncepcja, że my, dorośli, powinniśmy usuwać dzieciom spod nóg wszystko, co jest dla nich nieprzyjemne.

– Dzisiaj dziecko nie powinno być informowane, jeżeli robi coś złego, albo zetknąć się z jakąkolwiek konsekwencją swojego złego zachowania, bo to je jakoś strauumatyzuje. Ono powinno być albo chwalone, albo diagnozowane. Mówi się takiemu dziecku: robisz coś dlatego, że masz jakieś zaburzenie. Na przykład nie umiesz ładnie pisać, bo masz dysleksję.

Masowo medykalizuje się dzieci, żeby nie musiały znosić frustracji czy dyskomfortu wynikającego z wielu godzin nużącej, nieprzyjemnej pracy – zaznacza Drożdżiak.

Rodzic, który wiecznie chroni przed wszystkim dziecko, jest przekonany, że tworzy mu bezpieczne środowisko. Sęk w tym, że ów kokon bezpieczeństwa nasączony jest też lękiem dorosłego. Kokon staje się więc bardziej kłębkim nerwów.

– Dziecko musi się nauczyć, że rzeczywistość stawia pewien opór. Usilne chronienie dzieci przed wszystkim: cukrem, bakteriami czy upadkiem – wręcz metaforycznie, bo jeżeli się nie nauczymy upadać, to nie nauczymy się też wstawać, czyli nabierać życiowej sprężystości – to produkcja nieodpornych psychicznie dorosłych – twierdzi dr Szumlewicz.

Według niej dziś to szkoła jest miejscem, gdzie dzieci nabywają rezyliencji, ponieważ pełni funkcję uniwersalizującą, nadającą wszystkim dzieciakom ważne społeczne umiejętności, jak posługiwanie się tym samym językiem, rozumienie reakcji innych czy wyposażenie w poczucie humoru.

Według dwóch licealistek sejfetyzm widoczny jest w szkole głównie w postawach dorosłych. – Jesteśmy na rozszerzeniu z matmy i sprawdziany nie są łatwe. Chociaż wystarczy się dobrze przygotować, żeby je zdać. A rodzice chcą non stop chodzić do nauczycielki, że robi za trudne testy. Mimo że widać na lekcjach, że ci uczniowie po prostu się zbyttnio nie uczą – mówi Dobromiła.

Agnieszka dodaje: – Rodzice uważają, że to przemoc, że nauczycielka wprost mówi nam, że powinniśmy znać materiał, który już kiedyś przerabialiśmy. Według mnie do-



brze, że tak mówi. Nawet jak sama czegoś nie wiem, to mam świadomość, że powinienam. Gdyby nauczycielka nie była surowa, tym bardziej byśmy się nie uczyli.

Z obserwacji dr Szumlewicz wynika, iż sejfetyzm dotyczy głównie wyższych klas społecznych. A to, że dziecko dostało jedynkę, nie jest takim ciosem dla niego samego jak dla jego rodziców: – Umówmy się:

większość dzieci jest przeciętnych. Tymczasem rodzice chcieliby, żeby ich dziecko okazało się geniuszem, ale się przy tym się nie narobiło.

Stąd przeświadczenia typu: „Moje dziecko takie mądre, a tu dostało trójkę z matmy. To pewnie dlatego, że pani była surowa” czy „Moje dziecko ma nieobecności? To nie były wagary, to był tylko strach przed szkołą”. Jest takie przekonanie, że oto przychodzi do szkoły książę i trzeba mu ją wyłożyć czerwonymi dywanami.

Jak będzie wojna, to wyjadę

Wydaje się, że ten bezpieczyzm w kulturze sprawdza się jedynie do momentu, w którym faktycznie jest nam wszystkim bezpiecznie. Jednak w sytuacji realnej wojny za naszą miedzą może być zjawiskiem bardzo groźnym. Czy wychowani na szaliczku chłopcy będą zdolni do obrony ojczyzny?

Z sondażu przeprowadzonego przez Ibris w grudniu 2023 r. wynika, że w przypadku ataku Rosji na Polskę tylko ok. 16 proc. badanych zaciągnie się na ochotnika do wojska. Z kolei sondaż z kwietnia tego roku pokazuje, że prawie 80 proc. Polaków w wieku 18-39 lat nie chce wprowadzenia zakazu wyjazdu z Polski dla mężczyzn w wieku poborowym w razie ewen-

tualnego konfliktu zbrojnego. Podejście to mocno zmienia się z wiekiem: wśród osób po 40. roku życia zdecydowana większość popiera wprowadzenie takiego ograniczenia. Najwięcej, bo aż prawie 90 proc. jego zwolenników, jest w grupie wiekowej 60-69 lat.

Badań na temat tego, na ile w pokoleniu młodych Polaków istnieje świadomość zagrożenia wojną, jeszcze nie mamy. Natomiast generalom, którzy publicznie mówią, iż jest ono realne i że trzeba się do wojny przygotować, zarzucano, że sieją panikę i straszą ludzi.

– Nawet wspomnienie o konieczności powołania na kilka dni niektórych roczników do koszar już wywołuje efekt przerażenia. To nie wróży nam dobrze, bo jeśli społeczeństwo składa się ze zbioru jednostek, które nie są w stanie się poświęcić dla swojego kraju, to nas już nie ma – zaznacza dr Rydlewski. Kwitując, że będzie to trudny do odwrócenia proces.

– I to nie tylko u nas. Aktualnie wielu młodych Ukraińców ucieka przed wojną, bo stawiają własne życie i jego poziom nad swój kraj. Co jest zrozumiałe, ale obawiam się, że zostanie wykorzystane przez Rosję, która może siłą mobilizować ludzi do prowadzenia wojny.

Według Drożdżiaka dzisiaj doszliśmy do punktu, w którym całkowicie naturalne jest to, że mężczyzna mówi: „Jak będzie wojna, to wyjadę”. A ten, który powie, że nie ma zamiaru uciec, jest wręcz podejrzewany o archaiczną, patriarchalną umysłowość czy „faszystowskie” zapędy.

– Nowoczesne społeczeństwo zachodnie w ogóle nie waliduje proaktywnych części człowieka: odwagi, odporności, zdolności znoszenia niebezpieczeństw. Ono waliduje tę drugą stronę: empatię, wrażliwość, świadomość swoich emocji. W związku z czym racjonalnie myślący facet nie będzie teraz opowiadał, że chce bronić kraju, bo wyjdzie na idiotę,

Podszyte narcyzmem

Psycholog twierdzi, że podejmujemy eksperyment stawiania wartości wrażliwości nad odwagę: – Czy to dlatego, że jesteśmy tak genialni, że nikt wcześniej na to nie wpadł? Czy może jest tak, że były już takie społeczeństwa, które ceniły wyłącznie empatię, ale w zderzeniu z tymi, które ceniły odwagę, zostały wchłonięte przez te drugie?

Z kolei dr Rydlewski diagnozuje, że w dzisiejszej kulturze mamy do czynienia z wahadłem: – Rozpoznajemy jakiś problem, który warty jest zmiany, np. nie zawsze musimy być silni. I zamiast poszukiwać zdrowej dawki – równowagi siły i słabości, wychylamy się tak radykalnie, że uznajemy każdy przejaw siły za podejrzany. To droga donikąd.

Wrażliwość, empatia, delikatność, czułość – te wszystkie cechy nie muszą być opozycją dla odwagi, zdolności znoszenia bólu czy siły. W różnych sytuacjach życiowych musimy przecież umieć wykorzystywać całe ich spektrum i zazwyczaj to robimy.

– Sejfetyzm polega na tym, że usuwa się tę różnorodność przez psychologiczne piętnowanie tej silnej strony, która jawi się jako patologiczna – mówi Rydlewski. Bycie ofiarą to nowa tożsamość, co czyni nas jeszcze słabszymi. – To jest mocno podszyte narcyzmem: zobacz, jaki jestem delikatny, zwróć na mnie uwagę, jestem taki wyjątkowy. Świetnie wychwyił to kapitalizm, który na tej podstawie rozkręca swój psychoterapeutyczno-farmaceutyczny przemysł.

Fundament odpowiedzialnego społeczeństwa stanowi wcale nie zbiór prze-wrażliwionych na własnym punkcie, narcystycznych jednostek, ale dojrzałych, odpornych psychicznie osób, które potrafią się solidaryzować i mają w sobie gotowość do poświęcenia czegoś swojego w imię wspólnego dobra. Dobre czasy tworzą słabych ludzi, zaś trudne – silnych. To wielka kulturowa iluzja, że w rzeczywistości tak ogromnej rywalizacji ktoś będzie się z nami cackał i nad nami użał. ●

Aleksander Gurgul

Przeliczyliśmy się. Jeszcze trzy, cztery lat temu, gdy szliśmy z bratem na Wysoki Wierch w Pieninach, na szczycie byliśmy sami. Góra nie jest specjalnie wymagająca (raptem 900 m n.p.m.). Wystarczy zostawić auto w Szlachtowej pod cerkwią (jeszcze nie kasują za to ani złotówki jak górale w nieodległym Zakopanem), a potem spokojnym marszem podejść jakieś 1,5 godziny.

Nagrodą jest widok na Tatry po polskiej i słowackiej stronie, Babią Górę, Pasma Polic, Trzy Korony i Sokolicę w Pieninach, prawie całe Gorce, kawałek Beskidu Wyspowego i Pasma Radziejowej w Beskidzie Sądeckim. Przy słonecznej pogodzie absolutna bajka przyprószona śniegiem.

Z kubkiem ciepłej herbaty można to wszystko było w zimie podziwiać w ciszy. Z oddali co najwyżej słychać było szczekające psy w Velkým Lipniku.

W ostatnią niedzielę 2024 roku było jednak inaczej. Poszliśmy z bratem i tatą. Zaparkowaliśmy tam, gdzie zawsze, wyszliśmy na przełęcz. Na szlaku ze Szlachtowej już minęliśmy kilka osób. Na Wysokim Wierchu spotkaliśmy łącznie około 20. Partiami przychodzili śpiewający Słowacy, marudzące polskie dzieci/nastolatki i zakochane pary pstrykające selfie na tle górskiej panoramy.

Widok niby ten sam co zawsze, ale miejsce zupeł-

Kiedy góry były ciche

Wtedy
z łoskotem
na polanę
wjechał quad
z zakochaną
parą.

nie inne. Bo nie było tego, po co od lat chodzę w góry – ciszy.

Wielki Kanion piechotą

Kilka miesięcy temu przeczytałem książkę pt. „A Walk in the Park: The True Story of a Spectacular Misadventure in the Grand Canyon” (w Polsce jeszcze się nie ukazała, na Amazonie kosztuje około 25 dolarów). Autor Kevin Fedarko i jego najlepszy przyjaciel fotograf Pete McBride postanowili, że zrobią razem coś, co udało się wcześniej tak niewielkiej grupie śmiałków, że można ich liczbę porównywać w zasadzie tylko z tymi, którzy wylądowali na Księżycu (a przypominę, że takich astronautów było ledwie 12 w historii). A mianowicie to, że przejdą Wielki Kanion piechotą.

Dla niewtajemniczonych: owszem, można kupić wycieczkę z przewodnikiem u operatora łodzi (które po angielsku nazywa się „dory”), co pozwala tę wielką dziurę przepłynąć w trakcie kilkudniowego spływu wartką rzeką Kolorado.

Ale piechotą – po półkach skalnych – te około 750 mil pokonuje się miesiącami. W historii tylko garstka ludzi dokonała tego za jednym zamachem w ramach thru-hikingu (w Polsce byśmy powiedzieli „turystyka długodystansowa”, ale w związku z monstrualnymi odległościami w USA trudno to w ogóle porównywać z naszymi realiami). Wymagało to wprost nieziemskiej logistyki, w tym rozparcelowania wcześniej zapasów na trasie.

Są jeszcze ludzie – też niewielka grupa – którzy przeszli Wielki Kanion, dzieląc go na segmenty (section hiking), skrupulatnie dobierając terminy pokonania każdego z nich. Przed wyprawą martwili się m.in. o to, czy wystarczy im wody. Po dnie kanionu z łomotem przewala się jedna z większych amerykańskich rzek, którą



– jak przekonuje Fedarko – przekształcono w system hydrauliczny, w którym każda kropla jest policzona – ale są odcinki, których pokonanie trwa kilka dni. W tym czasie wędrowcy nawet nie zbliżają się na kilkadziesiąt metrów w linii prostej do nurtu Kolorado.

Godzinami wspinają się, pokonując urwiska, albo przeciskają się w labiryntach skalnych załomów. Jedyna woda, jaką mogą zebrać, jest w kałużach po topniejącym szronie, zagłębieniach ukrytych w skałach etc. A potrzebują jej naprawdę dużo, żeby się nawodnić, zanim spali ich słońce rozgrzewające do czerwoności otaczające kanion pustynie. O jadowitych grzechotnikach i innych niespodziankach, które spotkają ich na trasie, nawet nie wspominam. Polecam przeczytać.

Tytułowy spacer po parku (narodowym Wielkiego Kanionu) jest więc niczym innym niż szyderą z samego siebie i własnej naiwności, a może głupoty, którą od odwagi w tak ekstremalnych warunkach dzieli bardzo cienka linia.

Fedarko daje temu wielokrotnie wyraz, a jego autoironiczny styl pisania urzeka. Przypomina Billa Brysona, który w podobnym tonie swego czasu opisywał, jak razem z kolegą (tak samo fajtlapowatym jak on) któregoś dnia postanowili, że przejdą Szlak Appalachów – innego Grala amerykańskich thruhikerów. Bryson opisał to w „Pikniku z niedźwiedziami” (ang. „A walk in the Woods”), potem zrobiono z tego film, w którym zagrali: Robert Redford, Nick Nolte i Emma Thompson (książka zabawna, film bez szalu).

Bryson i jego kompan nie przeszli całego Szlaku Appalachów, ale dostarczyli czytelnikom sporo rozrywki. Jego zabawny opis przaśności, tandety i brzydoty Gatlinburga, miejscowości bramy do parku narodowego Great Smoky Mountains, z którego można samochodem wy-

jechać prawie na szczyt (sic!) Clingmans Dome, najwyższego szczytu na szlaku, na granicy Karoliny Północnej i Tennessee, żywcem przypomina to, co dziś oglądamy w Zakopanem.

W obu tych miastach zaraz za granicą (czy wręcz krawędzią) parku narodowego, który chronić ma dziką przyrodę, powstają szklano-betonowe apartthotele, pensjonaty z jacuzzi, imprezownie w rytmach disco polo albo country, istne luna-parki z jaskiniami hazardowymi albo barami ze striptizem.

Martyniuk budzi misie

Tej krawędzi nie znają jednak przecież zanieczyszczenia światłem, smogiem czy dźwiękiem. O ile patodeweloperkę da się w końcu zatrzymać, o tyle jazgot z tan-cbudu, migających świateł i dymu z kominów raczej się nie uda. Kiedy więc za czasów rządów Jacka Kurskiego w TVP Zenek Martyniuk dudnił na Równi Krupowej, nic dziwnego, że przyrodnicy drżeli o śpiące w Tatrach niedźwiedzie.

Przyroda potrzebuje ciszy i spokoju, by odpocząć, tak jak potrzebuje jej człowiek. I dowiodły tego badania, także i te prowadzone w Tatrach.

Książka Fedarki nie tylko tytułem nawiązuje do opowieści Brysona (spacer po lesie). On także za kompana ma ciamajdę, ich przygotowanie do wyprawy jest równie niezdarne, a wręcz bezmyślne (liczy się każdy gram, który trzeba przemieścić, a oni ładują do plecaków masę niepotrzebnych kilogramów) i sam przed sobą musi w pewnym momencie przyznać, że porwali się z motyką na Słońce.

Tym, co łączy także książki Fedarki i Brysona, jest właśnie cisza. O ile Bryson doświadcza jej rzadziej, w momentach gdy wyludniony szlak wiedzie przez górski las, a do najbliższego miasta są dziesiątki mil, o tyle Fedarko doświadcza jej

Kiedy za czasów rządów Jacka Kurskiego w TVP Zenek Martyniuk dudnił na Równi Krupowej, nic dziwnego, że przyrodnicy drżeli o śpiące w Tatrach niedźwiedzie.

prawie każdej nocy, gdy rozbijają obóz w Wielkim Kanionie. I kiedy czytałem jego książkę, nieustannie mu tego zazdrościłem. Mordercza (potencjalnie zabójcza) wędrowka kanionem rzeki Kolorado daje coś wyjątkowego – odciecie.

Zastanówmy się przez moment. Nawet jeśli wyjdziemy dziś w środku nocy na jakiś szczyt w Tatrach, gdzieś w od-dali zobaczymy światła Nowego Targu, dym unoszący się z kominów w Zakopanem albo samochody i autokary sunące po zakopiance. Wielki Kanion zapewnia odciecie nie tylko od sztucznego światła, ale także (a może przede wszystkim!) właśnie od wszelkich dźwięków. Gdy się siedzi prawie dwa kilometry w głąb arizońskiej czeluści, widać tylko skrawek roz-gwieżdżonego nieba w ramie krawędzi (ang. rim) Wielkiego Kanionu. Co to musi być za widok!

I jest jeszcze coś.
Cisza absolutna.

Dzicz na sztandarach

Piszę ten tekst na kilka godzin przed sylwestrem. Kanonada na osiedlu na południu Krakowa trwa od momentu, gdy tylko zaszło słońce. Mój biedny, zdezorientowany pies spogląda, jak robię notatki do podsumowania roku. Po przeczytaniu „Spaceru w parku...” staram się przypomnieć sobie, ile razy w 2024 roku zaznałem takiej ciszy. Kil-kugodzinnej, w której mógłbym odpocząć.

Przypominam sobie, gdy z mroźnego Świeradowa-Zdroju – zalanego patodeweloperką prawie aż po krawędź lasu – z kolegą i koleżanką z „Wyborczej” wyszliśmy w Izery. W miasteczku zostawiliśmy łomot betoniarek, koparek i prętów zbrojeniowych, szliśmy oblodzonym żółtym szlakiem wzdłuż rezerwatu tor-fowisk i granicy z Czechami. Przez dwie, może trzy godziny nie spotkaliśmy nikogo, maszyny do wycinki drzew tego dnia nie pracowały, stały zaparkowane ze zga-szonymi silnikami. Słyszeliśmy tylko własne oddechy.

Po zachodzie słońca podziwialiśmy rozgwieżdżony izerski park ciemnego nieba, tylko jeden z dwóch takich w Polsce (obok Bieszczadów), które chroni się przed sztucznym światłem.

Myślałem o tej wyprawie w zimową ci-szę w Izerach także wtedy, gdy – leżąc na łóżku pod sypialnianym oknem – na początku 2025 roku czytałem „Ducha śnie-gów”, przyrodniczą opowieść o śnieżnej panterze, nieuchwytnym drapieźniku z tybetańskiego płaskowyżu.

„O brzasku wyczolgaliliśmy się ze śpi-worów. Spadł śnieg i bestia była przy swoim jaku, pysk miała czerwony od krwi, futro przyprószone bielą. Wróciła przed świtem i teraz spała z pełnym brzuchem. Jej sierść była perłowa z nie-bieskimi refleksami. Stąd nazwa: pan-



FOT. MAREK PODMOKŁY / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wiktorja Amelina (1986-2023)

Piektło spadło z nieba

Miała już być w drodze do Francji.
Ale znalazła się w restauracji w Kramatorsku. Akurat wtedy, kiedy uderzyła w nią rosyjska rakiet.

Krzysztof Czyżewski*



Sprawiedliwość

Ostatni wdech to była Kanada, dobra praca w branży IT, studiowanie creative writingu w USA, rezydencje literackie na Zachodzie, wakacje z rodziną w Egipcie, bezpieczeństwo syna Andrija w Polsce...

Wiktorja Amelina przekracza granicę polsko-ukraińską 26 lutego 2022 r. Wieczorem dociera do Lwowa, gdzie mieszka jej matka, nauczycielka historii. Kiedy tylko obwód kijowski zostaje wyzwolony, rusza na wschód.

W pociągu do Kijowa spotyka trzy kobiety, pisarki, a także aktywistki Rewolucji Godności, bojowniczki o prawa człowieka, dziennikarki: Łarysę Denysenko, Switłanę Powalajewą i Olenę Stiażkinę. Łączy je wspólnota losu, przebudzone przez Majdan i dojrzewające w oporze przeciw „ruskiemu mirowi” ukraińskie siostrzeństwo.

Jego tajemnicę Wika uchwyci w wierszu napisanym na miesiąc przed śmiercią. Już wtedy, w pociągu do Kijowa, całe powietrze miały w płucach, świadome, że pozostaje im tylko wydech: „świadczyć na wydechu... iść na wydechu do swoich”.

Jeszcze w początkach kwietnia Wika zapisuje się na szkolenie z dokumentowania zbrodni wojennych i wkrótce przyłącza do zespołu Truth Hounds, ukraińskiej organizacji obywatelskiej tropiącej prawdę o gwałceniu prawa międzynarodowego. Zostaje dokumentalistką terenową, tuż przy linii frontu, zaraz po dokonanych zbrodniach. Żyje na pełnym wydechu.

Taką ją poznałem. W czas wojny wystarczy jedno spotkanie, zaledwie kilka dni znajomości, ciągnąca się długo w noc rozmowa, by zawiązała się więź, by zobaczyć drugiego w całej jaskrawości. Miała w sobie jasność i ten rodzaj subtelności, który z pozoru zdaje się wskazywać na kruchość, a w istocie jest objawem niezłomnej siły i odwagi. Na pogrążoną w ciszy twarz padał cień tragicznego piętna.

Była z tych, które wiedzą. Pobyt w charkowskim domu pisarzy Słowo nie był dla niej zwykłą rezydencją literacką. W latach 30. reżim stalinowski zamęczył więcej niż 80 proc. jego mieszkańców. Dla Wiki to była nie tylko historia, lecz także świadomość, że jej pokolenie przyłącza kolejne ogniwa do łańcucha poetek i poetów „rozstrzelanego odrodzenia”.

„Pozostań w Krasnogrudzie!” [Wież w pobliżu Sejn; miejscowy dwór dzierżawiony przez fundację Pogranicze jest siedzibą Międzynarodowego Centrum Dialogu]. Słabe były moje zaklęcia. Oboje wiedzieliśmy, że rzucam je na wiatr. Bezsenna, niestrudzona w działaniu, gościnną dla skrzywdzonych, ostro gniewna wobec zła, bezgraniczna w przyjaźni, stworzona do pracy w ogrodzie duszy.

Poznała różne imiona miłości, ale wojna wzywała ją do służby miłości noszącej to jedno, często wypowiadane przez nią w rozmowie imię: sprawiedliwość. Ważna była dla niej tradycja poszerzania rozumienia i egzekwowania sprawiedliwości w obliczu nowocze-

snych form przemocy zainicjowana przez wykształconych we Lwowie karnistów Rafała Lemkina i Herscha Lauterpachta, którzy do prawa międzynarodowego wprowadzili pojęcia ludobójstwa i zbrodni przeciwko ludzkości.

Jest taka fotografia Wiki - w tle widać flagę i symbole Ukrainy, ona stoi na granicy obwodu donieckiego, wyprostowana, w niebieskim płaszczu, o jasno-żółtych włosach swobodnie opadających na ramiona i piersi.

W wyobraźni wkładam do jej rąk wagę i miecz. Widzę w niej kapłankę bogini Nemezis zachowującą najstarsze, sięgające źródeł duchowości greckiej pokrewieństwo z Afrodytą, z czasem zatarte przez kulturę szukającą wyrazu dla zemsty i zawiści. Stojąc na straży dawania ludziom dokładnie tego, co im należyne, pozostała miłosna i czuwała, w każdej chwili gotowa sięgnąć po miecz, nad sprawiedliwą równowagą dobra i szczęścia.

Wika nabrała „pełne płuca powietrza/ pełne żagle krwi/ pełne nosze miłości...”. Wierzyła, że powietrze się odnowi, że jeszcze przyjdzie czas, w którym będzie można „ostrożnie zrobić wdech życia”. Nie było jej przeznaczane dożyć tej chwili. Żyła na wydechu, do końca...

„nieś/ strzelaj/ mów”.

Przyszłość

Wtorek 27 czerwca 2023 r. Złe wieści z Ukrainy - rosyjska rakiet uderzyła w restaurację Ria w Kramatorsku pełną ludzi. Kolejne doniesienia mówią o śmierci 13 osób, w tym czwórki dzieci. Pośród wielu rannych jest Wiktorja Amelina.

Wika powinna była już być w drodze do Francji na roczną rezydencję pisarską, gdzie zamierzała ukończyć książkę „Patrząc na kobiety. Patrząc na wojnę”, a także pracować nad zapiskami z czasu pobytu w Ukrainie „Wojna i sprawiedliwość”.

Na festiwalu Arsenal Książek w Kijowie poznaje pisarzy i dziennikarzy z Kolumbii. Poruszona ich akcją solidarnościową „Aguanta Ucraina” (Trzymaj się, Ukraino!) wymierzona w kłamstwa propagandy rosyjskiej rozpowszechniane w Ameryce Łacińskiej postanawia pokazać im więcej z realności wojny, niż może zaoferować festiwal.



*Poznała różne imiona miłości,
ale wojna wzywała ją do służby
miłości noszącej to jedno, często
wypowiadane przez nią imię:
sprawiedliwość*

W poniedziałek o świcie wyruszają do Kramatorska, położonego 40 km od linii frontu w Donbasie. Po drodze zajeżdżają do domu, z którego Rosjanie zabrali, a potem torturowali i zastrzelili Wołodymyra Wankulenkę, pisarza, autora książek dla dzieci i ojca niepełnosprawnego syna. Wika cudem odnalazła zakopany przez niego w ogrodzie dziennik, który wraz z wierszami i jej wstępem stał się jednym z najbardziej wstrząsających świadectw tej wojny. Odwiedzają też cmentarz żydowski na obrzeżach Charkowa.

Wcześniejsze posty na Facebooku nadsyłała z obwodu chersońskiego, już zalanego przerwana bombardowaniem tamą elektrowni wodnej. Dotarła do Chersonia, by spisać świadectwo żony zamordowanego dyrygenta Jurija Kerpatenki. Na początku czerwca w mediach społecznościowych opublikowała raport Truth Hounds o rosyjskiej zbrodni wojennej w Kachowce.

Od początku nie dawałem wiary w przypadkowość tragedii w Kramatorsku. Rakiet, której odłamek trafił Wikę, to wysoko precyzyjnie nakierowywany pocisk balistyczny Iskander o zasięgu ponad tysiąca kilometrów, a jego celność to promień 10 do 30 metrów.

Oczekiwanie zawsze niesie w sobie ziarno nadziei, ale napływające w następnych dniach wieści od przyjaciół wyraźnie starały się przygotować nas na najgorsze. Nie wydarzył się cud i operacja w szpitalu w Dnieprze nie przywróciła Wiki życiu.

Jest 1 lipca. Połowa życia urodzonej 1 stycznia. Tego samego dnia, dwa lata wcześniej, ustawa ukraińskich parlamentarzystów przywraca miasteczku w Donbasie dawną nazwę Nowy Jork [Nju-Jork]. Za kilka miesięcy Wika wsiądzie do autobusu z tablicą Lwów - Nowy Jork, by przywieźć nim gości na organizowany przez siebie festiwal literacki. Gdyby przeżyła, gdyby dane jej było doczekać peremohy [zwycięstwa], niewykluczone, że drugą część życia związałaby z tym innym Nowym Jorkiem, który bardziej niż zaoceaniczne megalopolis ucieleśniał dla niej przyszłość.

Kolumbijski pisarz Héctor Abad Faciolince tak opisał ostatni moment życia, w którym Wika była przytomna:

„Siedziałem na tarasie restauracji naprzeciwko niej. Ponieważ obowiązywał tam zakaz picia alkoholu, Wiktorja zamówiła piwo bezalkoholowe. Sergio Jaramillo napelnił moją szklankę lodem i czymś, co przypominało sok jabłkowy. »Wygląda jak whisky« - powiedziała i uśmiechnęła się.

W tym momencie spadł na nas iskander, piekło spadło z nieba. Wiktorja ma teraz dom w niebie. Nie w rozumieniu chrześcijańskim czy muzułmańskim. W tym niematerialnym niebie, niebie umysłu, bardzo ludzkim, które nazywamy pamięcią”.

Wika była przekonana, że przyszłość jest zakładniczką sprawiedliwości. Tymczasem następujące po sobie reżimy i tragedie zbyt długo nie pozwalały Ukraińcom zająć się dociekaniami prawdy o winie i wdrożeniem jej w życie.

W Krasnogrudzie powiedziała mi, że pierwsze słowa Miłosza, które zapisały się w jej pamięci, pochodziły z jego mowy noblowskiej: „W sali, gdy wszyscy zgromadzeni zgodnie podtrzymują zmnowę przemilczeń, jedno słowo prawdy brzmi jak strzał z pistoletu...”. Uważała, że w pomieszczeniu, w którym roi się od duchów przeszłości, trzeba zapalić światło. A to znaczy zmierzyć się z zakłamywaniem historii, nazwać i ukarać winnych, przywrócić godność ofiarom, pracować nad kulturą pamiętania, mądrą, w duchu Nemezis - bogini nieublaganie odpornej na miłość własną.

Lekko się uśmiechając, przywoływała zobaczoną na pl. Wolności w Charkowie reklamę „Żyj w centrum przyszłości”. Slogan firmy deweloperskiej w wyobraźni Wiki przywoływał przesuwające się z rozpamiętywania krzywd przeszłości nowe centrum jej walki - przyszłość. Prawdziwe zwycięstwo/peremołę Ukrainy upatrywała nie tylko w ochronie terytorium, lecz także, a może przede wszystkim, w dezokupacji przyszłości.

Dla żyjącej na wydechu zasadnicze stało się pytanie dotyczące majbutnioho (przyszłości): „zaczęłam trochę widzieć/ »jutro«, potem - nic, ciemno” - notowała w wierszu „Słowo w słowniku [przyszłość]” z 14 kwietnia 2022 r. Pyta o przyszłość, czy ją widzisz? I odpowiada „widzę”, ale - by nie wydać się przyjaciółce, z którą spaceruje po Kijowie, tak łatwowierną jak „ukraińskie Suspilne Radio”, a na domiar wariatką i kłamczuchą - dodaje: „nie jestem pewna, czy Rosjanie/ nie walną w nas iskanderami teraz zaraz”.

Dom

Mam przed oczami 15-letnią dziewczynę zaproszoną do studia telewizyjnego w Moskwie. Jest laureatką konkursu z literatury rosyjskiej dla młodzieży z byłych republik radzieckich. Czuje się gwiazdą aż do momentu, gdy dziennikarka rzuca jej pytanie o to, jak prześladowani są rosyjskojęzyczni mieszkańcy Lwowa.

Uświadamia sobie wtedy, po co tak naprawdę została zaproszona do studia i po co ta inwestycja rozpadającego się imperium w jej szkołę z rosyjskim językiem nauczania i takiż program telewizyjny oglądany w jej domu, w międzynarodystyczne złoty młodzieży, w amatorski teatr imienia Puszkina, w podróż do Moskwy.

„Prawdopodobnie zainwestowali w nas więcej niż w edukację dzieci na wsi w Rosji: tych, którzy już zostali podbici, nie trzeba było kusić letniami obozami i wycieczkami na plac Czerwony” - tak pisała w eseju przygotowanym na seminarium w Krasnogrudzie. I zaraz dodawała: „Miejmy nadzieję, że okażą się jedną z najgorszych inwestycji Federacji Rosyjskiej”.

To był jeden z przełomowych momentów życia Wiktorii Ameliny. Jego centrum zaczęło się przesuwać z Moskwy do Kijowa. Zamiast fabrykowanego przez Rosję kłamstwa przebudzona świadomość, kim się jest, i nowe poczucie przynależności. Wybór prawdy staje się wyborem tożsamości.

Wcześniej musiała zdać sobie sprawę, że bezgraniczność to zaleta wyobraźni i szczerych międzyludzkich relacji, ale zawałaszczona przez imperium staje się narzędziem podboju i zniewolenia. Wkrótce dane jej będzie odczuć, jak trudno mieszkańcom zachodnich państw narodowych, opowiadających się za światem otwartych granic, zrozumieć emancypującą się Ukrainkę, dla której granica z Rosją staje się potrzebą przetrwania.

Słowa piosenki zespołu Scorpions „Wind of Change” śpiewanej w czas burzenia muru berlińskiego: „The world is closing in/ and did you ever think/ that we could be so close, like brothers?”, które znała na pamięć, od aneksji Krymu nabrały zupełnie innego znaczenia.

Teraz znacznie bliżej jej do Hannah Arendt, która w „Kondycji ludzkiej” pisze, że tym, co każało Grekom bronić nietykalności granic, nie było „poszanowanie własności

prywatnej w naszym rozumieniu, lecz przekonanie, że bez posiadania domu człowiek nie mógł uczestniczyć w sprawach świata, ponieważ nie miał w nim naprawdę własnego miejsca” (przeł. Anna Łagodzka).

Z ducha słów Arendt zrodziła się znakomita formacja muzyczna Serhija Żadana, Oleha Kadanowa i Euhena Turczynowa Linia Mannerheima - zarazem metafora obrony własnych zasad i realna linia obrony przed zaborczą Rosją, podobnie jak dla Finów w latach 30. zeszłego stulecia. Gdy na zaproszenie Wiki przyjechali z koncertem na festiwal odbywający się przy samej linii frontu w Donbasie, nie było już miejsca na metafory, poezją stała się rzeczywistość.

Z kolei sama rzeczywistość szukała dla siebie oparcia w języku i tożsamości ukraińskiej, bez których linia obrony traciła rację bytu. Stąd realne, dalekie od metafory znaczenie poezji dla Ukraińców. Wika pochodziła z rodziny z traumą Holodomoru i kompleksem rusyfikacji, przez co nie odziedziczyła po dziadkach języka ukraińskiego. Musiała wykonać wielką wewnętrzną pracę, by wyzwolić się z poczucia „bycia nie na miejscu” we własnym kraju.

Dla wyrzuconej z gniazda „ruskiego miru” emigrantki, tworzącej w różnych językach pisarki, ukraińskiej patriotki i prowadzącej nomadyczny tryb życia aktywistki zasadnicza stała się kwestia domu.

- To jest to - mówiła po obejrzeniu w Sejnach filmu animowanego stworzonego w Pograniczu przez dzieci z Ukrainy i Polski. Nosił tytuł „Pokój”, łącząc w sobie dwa znaczenia tego słowa i wydobywając współzależność posiadania intymnej przestrzeni dla życia, zakorzenienia we własnym domu, i uwolnienia potrzeby pokojowego współistnienia z innymi.

Wika jest z pokolenia tych, którzy musieli odzyskać dla siebie dom w Ukrainie, więcej - podjąć walkę o jego ocalenie, której stawką stało się życie. Czuła się w domu także wszędzie tam, gdzie jako Ukraińce okazywano jej pomoc i zrozumienie - w Pradze, w której znalazła się tuż po rozpoczęciu pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, w Polsce, w Europie, w USA. Ale sama solidarność z Ukrainą to dla niej jeszcze było mało. Od razu w drugim zdaniu, po wyrażeniu wdzięczności, pytała o to, co dzieje się na granicy polsko-białoruskiej czy amerykańsko-meksykańskiej, odczuwając wspólnotę losu z migrantami z każdej części świata.

Dom dla Wiki to była „praca domowa” do wykonania, czyli zaczęcie naprawy świata od siebie, od odrodzenia przestrzeni zaufania we własnym kraju, od budowania społeczeństwa obywatelskiego, które potrafi nie tylko upomnieć się o sprawiedliwość, ale także bierze odpowiedzialność za los najsłabszych, za prawa mniejszości, za walkę z wykluczeniem.

Aktywizm społeczny i krytyczny patriotyzm pokolenia Ukraińców, którego jedną z liderek stała się Wika, łączył się z wymówieniem na głos prawdy. Życie na wydechu niosło ze sobą potrzebę wykrzyczenia własnego imienia, wygzekkwowania tłumionego przez długie lata prawa do bycia sobą i bycia u siebie: „milczenie tworzy pęknięcia tak głębokie, że trudno poczuć się jak w domu” - pisała.

Przełomowy dla odnalezienia w Ukrainie domu był dla Wiki grudniowy Majdan 2013 r. „Aby wyjść na ulice Kijowa, musieliśmy podjąć ryzyko zaufania sobie nawzajem”. Najważniejszą lekcję wyniesioną z Rewolucji Godności wyrazi słowami, w których pobrzmiewa uniwersalna forma ustanawiania wspólnoty:

„Dom nie jest magicznym, idealnym miejscem, ale miejscem, w którym, jeśli jesteś bita, możesz być pewna, że pojawią się sąsiedzi, by stanąć w twojej obronie”.

W ślad za doświadczeniem obywatelskiej solidarności w ojczyźnie Wiki pojawiają się graffiti ze słowem „HOME”, na których wewnętrzne litery „O” wypełnione jest mapą Ukrainy. „Imponuje mi to” - zwierzy się w rozmowie z Natalią Kornienko.

WIERSZ POLECA
ANDRZEJ ZAGOZDA

Wiktorii Amelinie
(1986-2023)

*I to też nie jest poezja
tylko prawda
zapisana w słupku
bez interpunkcji
po ukraińsku
(to ważne)
żeby zebrać pieniądze dla SZU
i mojej siostry*

*Ona mi mówi:
ciebie słyszy cały świat
przekaż temu światu:
w Nowym Jorku nie ma wody
siódmy dzień*

*Już można by było
stworzyć świat
a co dopiero
naprawić wodociąg*

*Ja mówię jej
mówię jej już setny dzień:
Now you have to run*

*Przypominam sobie
Boże, to nie ten Nowy Jork*

*Jak będzie
Evacuation route
po ukraińsku
nie po angielsku?*

*Uciekaj, moja droga
biegnij
od gór kredowych
piramid-hałd
sadu
który nazywasz ogrodem
ale
to sad wiśniowy
dlatego nie możesz zostawić*

*Po prostu jesteś Ukrainką
i nie możesz porzucić
ukraińskiego Nowego Jorku*

*A ja, słyszysz, zawiozłabym cię
do tego drugiego
znalazłabym pieniądze i siły
jasny i cichy dom
przy Piątej Alei*

*Tam na Manhattanie, mówisz
nie ma twojego sadu
przesadzasz z tym Szewczenką*

*Ale wody nie będzie
nie będzie prądu
gazu
sił
internetu
chleba
bandaży*

*leków przeciwkrwotocznych
moich telefonów
i jej telefonów*

*Będzie walka
w której ty
zwyciężysz*

3 CZERWCA 2022

Nowy Jork

Siódmego listopada 2021 r. po raz pierwszy w świecie odbyły się dwa nowojorskie maratony: jeden, ten tradycyjny, już po raz 50., ulicami i mostami amerykańskiej metropolii; drugi niemal przy samej linii frontu w miasteczku w Donbasie, gdzie trwała wojna, o której świat nie chciał słyszeć.

Pierwszy maraton obył się bez pacemakerów, przez co zawodnicy bardziej byli zdani na siebie, dostarczając tym samym większych emocji obserwatorom. W przypadku drugiego zabrakło peacemakerów, których świat, tchórząc niczym zając, nie zdecydował się wprowadzić do strefy narastającego zagrożenia konfliktem zbrojnym.

Towarzyszyło mu hasło „Maraton, którego nikt nie chce przebiec”, a udział w nim polegał na pokonaniu dowolnego dystansu w dowolnym miejscu na Ziemi za to w duchu protestu wobec agresji Rosji na Ukrainę i przeciwko wojnie przeradzającej się w maraton. Do biegu w ukraińskim Nowym Jorku poza garstką uczestników na miejscu przyłączyło się ponad 35 tys. osób, więcej niż w mieście za oceanem.

Tak Ukraińcy próbowali zwrócić uwagę świata na zbrodnie moskiewskiego reżimu, któremu Zachód wciąż jeszcze wtedy sprządał broń. Dla Wiktorii Ameliny w całej tej sprawie liczyło się jeszcze coś innego: samo miasteczko i jego mieszkańcy. Zaledwie miesiąc wcześniej zorganizowała w nim pierwszy Nowojorski Festiwal Literacki.

W Krasnogrudzie Wika chciała rozmawiać przede wszystkim o Nowym Jorku. Opowiadała mi o miasteczku na wzgórzach, między Awdijewką a Bachmutem, w samym oku cyklonu tej wojny. Podzielone językami ukraińskim i rosyjskim, poczuciem przynależności do Ukrainy albo do donieckich separatystów i Rosji, nieustannie od 2014 r. ostrzeliwane, z każdym rokiem wojny bardziej się wyludniające. Jedną z najważniejszych spraw dla Wiki po 24 lutego była pomoc w przesiedlaniu rodzin z Nowego Jorku, których życie stało się zagrożone.

Wika poznała Nowy Jork dzięki pochodzącej stamtąd rodzinie męża. Do raju swego dzieciństwa przywoził ją po raz pierwszy w 2005 r. Opowiadała mi o panience z wielkiego miasta, której się wydawało, że przyjechała na zadupie i nie wiedzieć jak i kiedy zostawiła tu swoje serce.

Tamtej nocy w Krasnogrudzie puściliśmy wodze fantazji, projektując powstanie w Nowym Jorku „małego centrum świata”. Bardzo do nas przemawiało zderzenie wielkiego z małym i przeskalowanie tych wartości na korzyść małego. Potrzebuje tego nie tylko Donbas, nie tylko Ukraina, ale także mieszkańcy współczesnych megalopolis, gdzie za wielką liczbą często kryją się zagubienie i alienacja.

Wika była przekonana, że festiwal literacki to zaczn długofalowego programu, że w ślad za tym powinno pójść całoroczne działanie, praca organiczna ze społecznością lokalną. Zależało jej na pozyskaniu do współpracy rosyjskojęzycznych mieszkańców, z których duża część nie znalazła dotychczas w Ukrainie swojego domu. Wiedziała, że winna temu jest nie tylko rosyjska propaganda, ale także zaniechania państwa ukraińskiego.

Wielką wagę przywiązywała do pracy z najmłodszym pokoleniem, z nauczycielami, z liderami społeczeństwa obywatelskiego. Widoczne to jest już w samym sposobie, w jaki zorganizowała festiwal.

Wydarzenia literackie i artystyczne poprzedzone były Dniem Nauczyciela dla pedagogów z obwodu donieckiego, podczas którego goście, w tym Olena Stiażkina i Serhij Żadan, prowadzili wykłady z historii czy dyskusje wokół poezji; dzieci miały swoją własną przestrzeń twórczą, gdzie mogły brać udział w warsztatach i czytać książki; dla młodzieży ogłoszono konkurs na esej.

Powstał lokalny New Yorker City (www.newyorker.city) - portal prowadzony do dzisiaj przez trzy mieszkanki miasteczka: Kristinę Szewczenko, Walerię Panasenکو

i Nadię Hordijuk; razem ze sławnymi postaciami z Ukrainy występowali miejscowi muzycy, poeci i dziecięca grupa taneczna; za wszystkim stało społeczne zaangażowanie, w tym własnych funduszy Wiktorii, wolontariuszy i organizacji pozarządowych.

Z opowieści i fotografii Wiki, także tych zamieszczanych przez nią na Facebooku, próbuję sobie wyobrazić miasteczko Nowy Jork. Oś centralna biegnie ulicą Ogrodową. Wzdłuż niej domy z czerwonej cegły, kryte rudą dachówką, z niebieskimi okiennicami. Nie przypadkiem te dwa kolory staną się wizualnym symbolem Nowojorskiego Festiwalu Literackiego. Cegielnię zbudowali Niemcy osiedlający się tu pod koniec XIX wieku. Wcześniej w osadzie gospodarzyli Kozacy i kupcy z Bałkanów szukający schronienia po upadku Siczy Zaporoskiej.

Skąd na kresach ukraińskich stepów wzięła się nazwa Nowy Jork, pozostaje tajemnicą dla historyków, bo na mapie zaznaczona została już w 1846 r., na długo przed przybyciem osadników z Niemiec. Miejsco- wa legenda mówi o zakochanym dygnitarzu, który sprowadzając z Zachodu swoją ukochaną, chciał zbudować dla niej tutaj miasto świetlanej przyszłości, jeszcze jeden Nowy Amsterdam. Z legendami trzeba uważać, gdyż lubią się odradzać, kuszącym urokiem wpływając na losy ludzi zdających się nie mieć nic wspólnego z ich ukrytym głęboko w przeszłości źródłem.

Choć wśród niemieckich osadników byli też luteranie, społeczność miasteczka w przeważającej części stanowili menonici. Ważniejszy od zwolnień podatkowych był dla nich przywilej zwolnienia ze służby wojskowej, gdyż religia zakazuje im brania broni do ręki. Natomiast ascetyzm ich kultury duchowej, nakazujący m.in. rezygnację ze zdobyczy technologicznych, nie stanowił przeszkody dla uprzymysławienia osady, która szybko się bogaciła.

Na początku XX wieku stepowy chutor rozwinął się w blisko 8-tysięczne miasteczko, z fabryką maszyn, koleją żelazną, księgarnią, siecią elektryczną, młynem, szkołami dla dziewcząt i chłopców. To z tego okresu pochodzi świetność dawnej Gartenstrasse, ale także parku z fontannami, wyszukanej i bogato ornamentowanej architektury budynków przemysłowych.

Przeglądaniu fotografii towarzyszyła opowieść o tragicznym losie menonitów w okresie reżimu stalinowskiego. Jeden z braci prowadzących księgarnię odmówił spalenia książek religijnych i został rozstrzelany przez bolszewików. Innych deportowano na Syberię, w okolice Amurska.

Dla Wiki odrodzenie Ukrainy oznaczało także przywrócenie pamięci o sąsiadach, o innych, którym kraj rad zgotował tu piekło.

Zatrzymujemy się przy fotografii centrum kultury Ukraiński Nowy Jork mieszczącego się w budynku słynnego sklepu spółdzielczego Aarona Thiessena z 1910 r. Dopiero kilka lat temu umieszczono na nim tablicę informującą o jego historii po ukraińsku i niemiecku.

Przygotowując program festiwalu, Wika poprosiła Serhija Żadana, aby przeczytał mieszkańcom Nowego Jorku swoje przekłady z niemieckiego wierszy Bertolda Brechta, z towarzyszeniem słynnego kontrabasisty jazzowego Marka Tokara, wkrótce oficera Ukraińskich Sił Zbrojnych.

Wszystko, co robiła, silnie rezonowało z etosem bliskich mi ludzi pogranicza, z odradzaniem „tkanki łącznej” i tworzeniem kultury pamięci w społecznościach doświadczających zrywania mostów. Doskonale czuła pogranicze, nie tylko jako miejsce zarzewia konfliktów, ale także przestrzeń obcowania z Innym, pierwszą, od której trzeba zacząć odradzanie świata.

Nowy Jork jest strategicznie ważnym miejscem na linii frontu w Donbasie, miejscem obronnego umocnienia na ukraińskiej linii Mannerheima. Toczą się tu nieustanne walki, w których wyniku jego materialna postać nieublaganie znika z powierzchni ziemi. Rosyjskie bomby unicestwiły jego potencjał gospodarczy. Wielu ludzi zginęło, kto mógł, ten stąd wyjechał.

Wcześniej, po historycznych zawieruchach rewolucji bolszewickiej i II wojny światowej, miasteczko wciąż na nowo wracało do życia. Nie ulega wątpliwości, że i z tych ran, najgłębszych w jego dotychczasowej historii, również się odrodzi, choć z pewnością będzie to długi i niełatwy proces.

Istnieje jednak jeszcze inny wymiar obecności tego miejsca na mapie Ukrainy i świata. Za sprawą Wiktorii Ameliny Nowy Jork stał się symbolem dezokupacji przyszłości. Dla realnego jej urzeczywistnienia decydujące okazały się nie kwestie militarne czy gospodarcze, choć ich znaczenia ani Wika, ani jej sojusznicy nigdy nie podważali. Zamiast jednak twardych faktorów geopolityki, nieliczących się z życiem, środowiskiem naturalnym i potrzebami ludzi, muszą się one stać częścią cywilizacyjnego ekosystemu małych centrów świata.

To właśnie one będą w mocy zmieniać rzeczywistość, troszcząc się o zdrowie duchowe i fizyczne mieszkańców, o dobre sąsiedztwo z innymi ludźmi i przyrodą, monopolistycznej sile wielkiego centrum przeciwstawiając solidarność wielu mniejszych,

ale równych, z potencjału genius loci wydobywając wartości uniwersalne. I przez kulturowanie pamięci i praw człowieka oddając sprawiedliwość ofiarom, krusząc dyktat autorytaryzmu przez społeczną odpowiedzialność za rozwój, inwestując w edukację i społeczeństwo obywatelskie co najmniej tyle samo co w sport i budowę dróg.

Nowy Jork przyszłości, któremu oddała swoje życie Wiktoria Amelina, odrodzony zostanie siłą Dawida pozostawiającego na polu walki pokonanego Goliata. A wtedy do świata wróci sprawiedliwość, dając każdemu, co mu należy, a człowiek znajdzie dom dla szczęścia, które przyniesie mu nie bogactwo, nie władza, tylko dobro.

Powrót

Życie na wydechu jest jak stukanie do drzwi, niesie się echem, budzi uśpione. Ludzie, którym jest ono pisane, jak Wiktorii Amelinie, przekraczają to, co zwykle możemy, co w języku ukraińskim wyraża słowo „mohty”.

Prawdę mówiąc, Wika, szukając sprawiedliwości, domu i przyszłości, dawała światodrogi do zwycięstwa, w przeznaczeniu Ukrainy spełniające się przez pere-mohaty, czynienie więcej, niż nasze siły i wyobrażenia na to by pozwalały.

Na wydechu pieśń przeradza się w krzyk. Ciągłe go słyszę. Wciąż powraca i przekrzykuje świat obracający w ustach martwe słowa „nigdy więcej”. Wciąż próbuje przekrzyczyć konformizm nowych form appeasementu, czyli starych jak świat sposobów uginania kolan przed tyranią, we wciąż tak samo złudnej nadziei, że rażenie zła tchórzliwych dopadnie przynajmniej w drugiej kolejności, a w międzyczasie może jakoś rozejdzie się po kościach ofiar z pierwszej linii frontu.

„Na wiosenne niebieskie pole/ wyjdzie kobieta w czarnej sukni/ by imiona siostr krzy- czeć/ jak ptak w puste niebo”.

Kobieta krzycząca imiona siostr, bólem obsiewająca pole, swoje imię odnajduje w poesis - czynieniu słowem.

Jako poetka Wiktoria Amelina narodziła się podczas wielkiej wojny. Wcześniej pisała powieści, książki dla dzieci. W rozmowie z Natalią Kornienko pozostawi ślad własnego rozumienia bycia poetką w sytuacji granicznej:

„Wiersze zaczęły się pojawiać, gdy chciałam coś powiedzieć, ale nie byłam w stanie napisać tekstu prozą, a nawet banalnego posta na Facebooku. Od dawna jestem przekonana, że pisanie fikcji to nie tyle szczegól- na zdolność, ile szczególna niezdolność, nie-

zdolność wyrażania siebie bezpośrednio, tak jak inni ludzie.

Kiedy utraciłam możliwość wyrażania siebie w prozie, przyszedł czas na poezję. Jedynie ona potrafi wyjaśnić to wszystko: tak naprawdę to nie jest poezja, to tylko pocisk, który uderzył w mój język. Z fragmentów języka układa się poezja... Wszystkie słowa zmieniły swoje znaczenie.

Dlatego w tych nielicznych wierszach, które napisałam od początku inwazji, nie ma żadnych metafor, żadnych wymysłów, żadnych prób robienia wrażenia. Jest za to bezpośredniość, nagie znaczenia, strzępy informacji. Nazywam to »Rzeczy oczywiste zapisane w kolumnie wersów podczas wojny«.

Resztę dopowie w wierszu „Niepoezja”: „odłamki języka/ przypominają poezję/ ale to nie ona

i to też nie ona/ ona jest w Charkowie/ jako wolontariuszka”.

W naszym domu w Krasnogrudzie jest taki zwyczaj, że kto pierwszy raz do niego zawita, na wejście dzwoni zawieszonym pod wykutą w metalu żabą dzwonkiem. Wierzymy, że ten dźwięk niesie obietnicę powrotu. Wika zadzwoniła. A następnego wieczora w sejneńskiej „Starej Jesziwie” podczas spotkania Café Europa przeczytała „Opowieść o powrocie”, kończąc wiersz słowami:

„A co ty ze sobą wzięłaś?/ Wzięłam tylko tę opowieść/ o powrocie/ Wyciągnęłam teraz na światło dzienne/ Ona rośnie”. ●



FOT. AGNIESZKA SADOWSKA / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Krzysztof Czyżewski

• ur. w 1958 r., animator kultury, poeta i eseista, współtwórca ośrodka Pogranicze - Sztuk, Kultur, Narodów w Sejnach.
Tytuł tekstu – „Wyborcza”.



Nakładem wydawnictwa Pogranicze, w serii Biblioteka Poezji Ukrainy „W obliczu wojny”, ukazał się w listopadzie 2024 r. dwujęzyczny tom wierszy Wiktorii Ameliny „Świadczen- nja. Świade- ctwo” w przekładzie Anety Kamińskiej.

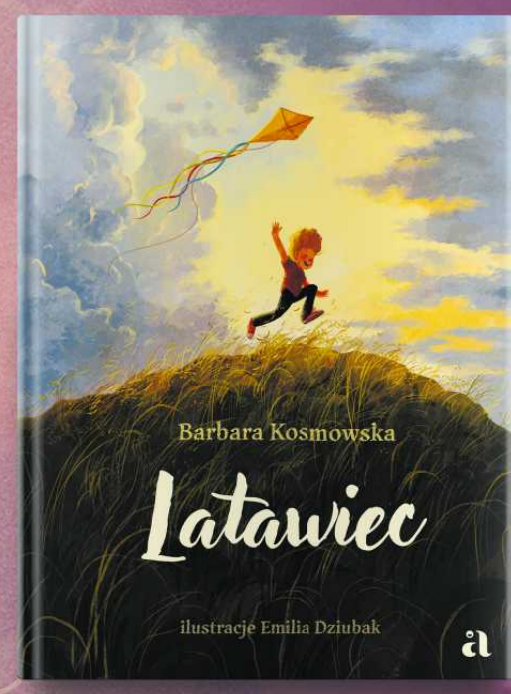
REKLAMA

Kraj/34354633

Otulająca serce

OPOWIEŚĆ O MIĘDZYPOKOLENIOWEJ PRZYJAŹNI!





Barbara Kosmowska

Latawiec

ilustracje Emilia Dziubak

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA



Wydawnictwo
Agora

Co najmniej trzy akty prawne potwierdzają prawa Danii do Grenlandii.

Z PROF. **KRYSTYNĄ SZELAĞOWSKĄ***
ROZMAWIA **PIOTR GŁUCHOWSKI**

PIOTR GŁUCHOWSKI: Kto był na Grenlandii pierwszy?

PROF. KRYSTYNA SZELAĞOWSKA: Migrujące z zachodu ludy eskimoskie. Niewielkie grupy przeszły z terenów dzisiejszej Alaski przez obecną Kanadę, a potem straciły kontakt z pobratymcami na kontynencie. Pierwsze paleoinuickie kultury, zwane dziś przez archeologów Independence i Saqquaq, zadomowiły się na wyspie już w trzecim tysiącleciu przed naszą erą.

A Europejczycy?

– Według tradycji islandzkiej żyjący w X wieku norweski żeglarz Gunnbjörn Ulfsson został podczas rejsu na Islandię zepchnięty przez wiatr z kursu i wówczas zauważył majaczący na zachodzie ląd. Pod koniec tego samego stulecia urodzony w Norwegii wiking Eryk Rudy, którego skazano za zabójstwa na trzyletnią banicję, udał się na poszukiwanie ziemi, o której wcześniej opowiadał Ulfsson. Według „Sagi o Grenlandczykach” i „Sagi o Eryku” nazwał nowy ląd Grønland, czyli zieloną ziemią, aby atrakcyjna nazwa przyciągnęła kolejnych osadników.

Rzeczywiście przybyli?

– Tak. I to całkiem licznie, głównie z Islandii i Norwegii. Do XV wieku, a więc przez kilka ciepłych stuleci, osiedliło się na Grenlandii od dwóch do trzech tysięcy osób. Pod norweską koroną, która obejmowała także: Islandię, Wyspy Owcze, Szetlandy i Orkady. To był okres największej norweskiej potęgi terytorialnej.

Grenlandczycy uprawiali ogrody warzywne, nawet sady, hodowali zwierzęta gospodarskie. Rozwinął się Kościół, w XII wieku założono biskupstwo. Potem było gorzej. Z różnych i nie do końca znanych powodów osadnictwo wygasło. Ostatni zapis źródłowy to dokument poświadczający zawarcie małżeństwa w kościele na Grenlandii w 1408 roku.

Jedną z przyczyn zaniku aktywności Europejczyków na wyspie mogło być ochłodzenie klimatu. Mała epoka lodowcowa trwała mniej więcej od XV do XIX wieku. Inną przeszkodą może być XIV-wieczna epidemia dżumy, o której wiemy, że dotknęła Norwegię, mogła więc dotrzeć także na Grenlandię. Sagi mówią również o walkach z cały czas mieszkającą na wyspie ludnością inuicką. Wzmianki są – niestety – zbyt lakoniczne, by orzec coś więcej poza tym, że autorzy uważali tubylców za lud groźny, od którego należy trzymać się z daleka.

W jaki sposób Grenlandia związała się z Danią?

– W 1380 roku Norwegia zawarła z królestwem duńskim unię personalną. Podobnie jak korona z Litwą. I tak jak w przypadku naszej unii Polska była stroną silniejszą, tak w Skandynawii silniejsi byli podówczas Duńczycy. Między innymi dlatego, że Norwegów przetrzebiła wspomniana czarna śmierć.

Małżeństwo księżniczki duńskiej Małgorzaty z królem Norwegii Haakonem VI Magnussonem umożliwiło zawarcie w 1397 roku kolejnej unii – kal-marskiej, która zjednoczyła pod berłem Pani Samowładnej królestwa Danii, Norwegii i Szwecji.

Ta unia przetrwała ponad sto lat – do połowy XV wieku, gdy zaczęły się walki o tron, a potem także niesnaski religijne, bo weszła reformacja.

W 1536 roku wskutek decyzji duńskiego króla Chrystiana III Oldenburskiego Norwegia straciła resztki formalnej suwerenności – stała się prowincją Danii. Razem z Grenlandią, Islandią i Wyspami Owczymi. Wszystkie te terytoria płaciły trybut królom z dynastii Oldenburgów, którzy – co warto wspomnieć – mienili się także królami Wendów, czyli zachodnich Słowian.

Ale kto płacił trybut z Grenlandii, skoro osadnictwo wygasło? Chyba nie Inuici?

– W XVI wieku Grenlandia miała tymczasowych mieszkańców z Europy. Na jej brzegi dopływali myśliwi, którzy zasadzali się tam na morsy, renifery, foki, zające polarne... łowiono też wieloryby. Pod koniec stulecia duńscy królowie organizowali – jak byśmy dziś powiedzieli – wyprawy badawcze na wyspę. Pamiętano, że tam kiedyś mieszkali chrześcijanie, ale nie wiadomo, co się z nimi stało. Trzeba ich zatem znaleźć, przywrócić na łono Kościoła.



Grenlandia CHORY SEN TRUMPA

Ważne były też względy geopolityczne – obecność duńskich statków u wybrzeży Grenlandii podkreślała, chociażby wobec wielorybników i kupców z dzisiejszej Holandii, że to ziemia duńska. Poza tym już wtedy zaczęto szukać legendarnego przejścia północno-zachodniego, najkrótszej drogi z Atlantyku do Indii. Usiłowała je odkryć m.in. wyprawa duńskiego, choć pochodzącego z Norwegii żeglarza Jensa Munka. W 1619 roku król Chrystian IV Oldenburg wysłał go na czele bodajże dwóch okrętów i Munk, żeglując wzdłuż południowych wybrzeży Grenlandii, dotarł do Nowej Fundlandii...

...która dziś jest prowincją Kanady...

– ...gdzie żeglarze przezimowali. Musiało im być ekstremalnie ciężko, bo ocalały jedynie trzy osoby, w tym kapitan Munk.

W kolejnych latach – szczególnie po wojnach ze Szwecją, które wybuchły w XVII wieku – Dania znacznie osłabła. Duńczycy przestali rządzić Skandynawią i pewnie straciliby także i Grenlandię, gdyby nie to, że zwyczajcy Szwedzi nie bardzo o nią walczyli. Woleli zająć należące do Danii norweskie fiordy na dalekiej północy. Bo na Grenlandii żadnych zagubionych chrześcijan nie dało się odnaleźć, klimat nie sprzyjał

już rolnictwu, do tego ci Inuici rzekomo nieprzyjaźni... Danii udało się więc zachować wyspę, co przypieczętowano, umieszczając w herbie królestwa niedźwiedzia polarnego. Poza tym niewiele się działo aż do końca XVII wieku, kiedy do Danii dotarł z Niemiec pietyzm.

Luteranie co do zasady nie prowadzili misji tak jak katolicy. Natomiast pietyści – odłam protestantów – głosili konieczność nawracania pogan. A tych pod berłem duńskim było jeszcze sporo, bo Oldenburgowie rządzili nie tylko Grenlandią, ale i częścią Karaibów. Do Danii należały wyspy Świętego Tomasza i Świętego Krzyża.

W tym momencie na scenie pojawił się pastor pietysta Hans Egede, z pochodzenia Norweg. Chciał, po pierwsze, odnaleźć na Grenlandii potomków osadników od Eryka Rudego, po drugie, chrzcić Inuitów. Przekonał króla Fryderyka IV Oldenburga do zorganizowania kolejnej wyprawy. W 1721 roku dwa statki dotarły na Grenlandię i Wyspę Nadziei w archipelagu, który dzisiaj nazywamy Svalbard. Na grenlandzkim lądzie założono osadę Godthåb (Dobra Nadzieja), na której fundamentach stoi dziś stolica wyspy – Nuuk. Od tego momentu możemy mówić o kolonizacji.

Egede jeździł po okolicy, szukając śladów zaginionego biskupstwa, szukając potomków wikingów. Odnalazł ruiny domostw, spotykał też Inuitów, których



• **Panorama osady Godthåb (Dobra Nadzieja), czyli stolicy Grenlandii, która dziś nosi nazwę w języku grenlandzkim – Nuuk. Zdjęcie z 1889 roku**

FOT. UNIVERSAL
IMAGES GROUP
VIA GETTY IMAGES

zaczął chrzcić. Warunki były jednak nadal niezwykle trudne. Misjonarzom dokuczał skorbut, pojawiła się oспа, która zabiła żonę pastora Gertrudę Egede. Osada Godthåb o mało nie upadła. W 1736 roku misjonarz wrócił do Danii, zostawiwszy na wyspie swego syna Paula, by kontynuował dzieło. Sam zaś – już w Kopenhadze, jako nowy biskup Grenlandii – stworzył pierwsze dwie książki w języku grenlandzkim. Jedną był elementarz, a drugą katechizm.

Co znaczy „język grenlandzki”?

– Egede stworzył fonetyczny zapis zasłyszanej mowy Inuitów. Założył też seminarium dla misjonarzy słanych do Grenlandii. Wyspa stała się nową diecezją, a w latach 30. i 40. XVIII wieku powstały trzy nowe miasta. Powołano Królewską Grenlandzką Kompanię Handlową – na wzór Wschodnioindyjskiej. To ciało stało się czymś w rodzaju zarządu Grenlandii.

Ilu Europejczyków żyło tam wówczas na stałe?

– Mniej niż w średniowieczu. Za życia Egedego, który zmarł w roku 1758, w kilku miastach-osadach zostawało na zimę sto, może dwieście osób.

Kolejną zmianę geopolityczną przyniósł wiek XIX. Gdy w styczniu 1814 roku pokój kiloński zakończył wojnę duńsko-szwedzką, Dania zrzekła się prowincji Norwegia z wyjątkiem „ziem zamorskich”. W ten sposób Grenlandia, Islandia i Wyspy Owcze pozostały – na razie – przy Kopenhadze. A miały już jakąś wartość. Przybywało coraz więcej myśliwych i wielorybników, kupcy zaczęli handlować również z Inuitami. A stosunki z nimi – wbrew zamierzczłym ostrzeżeniom wikingów – wcale nie były złe. Nie można tego porównać z walkami, jakie osadnicy prowadzili z Indianami Ameryki Północnej. Na Grenlandii nie było głodu ziemi – starczało jej dla wszystkich. Teren ogromny, ludzi mało. Dochodziło do incydentów, lecz nie było podboju. Duńczycy po raz pierwszy zliczyli rdzennych mieszkańców wyspy w 1805 roku, było ich sześć tysięcy wraz z Europejczykami...

...których – jak pani wspomniała – mieszkało tam ledwo kilkuset.

– Spis z roku 1890 wykazał już 10 tysięcy stałych mieszkańców wyspy. Zatem pod rządami Królewskiej Grenlandzkiej Kompanii Handlowej ludność się podwoiła. Postawiono kościoły, przy nich szkoły niedzielne, obowiązkiem nauki objęto rdzenne dzieci. Pojawiły się pierwsze maszyny: w 1861 roku zaczęto drukować gazetę po grenlandzku – a więc dla Inuitów.

Jaki był ich status?

– Taki jak mieszkańców innych duńskich kolonii – status poddanych korony. Nie byli jednak, przynajmniej na początku, równi etnicznym Duńczykom. Kiedy na Grenlandii powstały pierwsze samorządy miejskie, Inuitów nie dopuszczano. Najpierw Dania musiała przyjąć konstytucję, co nastąpiło w 1849 roku, potem parlamentaryzm – 1901. Za tymi zmianami poszła reforma w posiadłościach. Na Grenlandii powstały rady gminne z udziałem Inuitów, nad nimi rady krajowe południowej i północnej Grenlandii złożone z delegatów rad gminnych – także eskimoskich. Niektórzy Inuici zaczęli się kształcić w Kopenhadze. Mieszane małżeństwa stały się codziennością. Zwykle Duńczyk z inuicką kobietą. Kobiet było na wyspie „za dużo”, ponieważ panowie szybko umierali. Surowy klimat, trudy połowów i polowań, wypadki, ataki niedźwiedzi, wódka... Musimy pamiętać, że mimo działającej drukarni, mimo samorządów, portów, szkół i kościołów, to był wciąż dziki kraj. Cywilizacja obejmowała promile terenu, i to wyłącznie na zachodnim, zwróconym w stronę Kanady wybrzeżu.

Wiele się jednak zmieniło, gdy w XX wieku znaleziono kriolit.

Rzadki mineral i zarazem topnik obniżający temperaturę w procesie produkcji aluminium.

– W efekcie pojawiły się na Grenlandii pierwsze osady górnicze. Otwierano sklepy, posterunki służb porządkowych, próbowano organizować transport i życie na modłę europejską. Lecz wciąż musimy pamiętać, że to dotyczyło miast-osad. Reszta wyspy żyła tak, jak przed naszą erą: Inuici nadal mieszkali w swoich igloo lub w namiotach ze skór, polowali z łukami jak ich pradziadowie. Tym niemniej wartość grenlandzkiej posiadłości wciąż rosła, osadników przybywało, tworzone zręby infrastruktury i Dania chciała niejako potwierdzić na arenie międzynarodowej swoje władztwo nad wyspą. Rząd z Kopenhagi podpisał więc w 1917 roku traktat z nowym mocarstwem światowym – Stanami Zjednoczonymi. Sprzedał Amerykanom karaibskie wyspy Świętego Tomasza i Świętego Krzyża w zamian za uznanie swojej suwerenności nad zachodnią Grenlandią – czyli tą zaludnioną. Wschodnią nikt się na razie nie martwił.

W 1921 roku już po traktacie wersalskim Duńczycy w porozumieniu z USA i Norwegią proklamowali, że wody przybrzeżne Grenlandii należą od teraz do nich i bez zgody rządu duńskiego nikt nie ma prawa tam wpływać oprócz Grenlandczyków. Z czasem ten układ sprzykrzył się Norwegom, którzy zaczęli rościć sobie pretensje do wschodniego wybrzeża. Nazwali tę stronę wyspy Ziemią Eryka Rudego i przypominali światu, że Grenlandia była kiedyś norweska.

Zaczęły się długotrwałe spory prawników i dyplomatów.

Norwegowie mówili: „Byliśmy tutaj pierwsi”. Nasz człowiek Fridtjof Nansen przeszedł wyspę na nartach.

Roald Amundsen, także Norweg, odkrył przejście północno-zachodnie. Duńczycy pytali: „Co z tego?”. Przecież to Dania przez cały wiek XIX inwestowała w wyspę, Norwegia się nie przyłożyła, więc nie ma czego żądać.

Ostatecznie w 1924 roku obie strony podpisały umowę, wedle której Norwegowie zyskali prawo do połowów, polowań i zimowania. W latach 30. norwescy nacjonaliści zaczęli jednak mącić. Nadal przywoływali średniowieczne władztwo Norwegii nad Grenlandią, do tego pojawiło się lobby armatorów i właścicieli przedsiębiorstw rybackich, którzy żądali od rządu w Oslo, by państwo zajmowało jak najwięcej terenów. Norwegowie zaanektowali już archipelag Svalbard, a z drugiej strony Wyspę Piotra I u brzegów Antarktydy. Następna miała być Ziemia Eryka Rudego. Faszyzujący norweski Związek Grenlandzki zrzeszający rybaków, polarników, myśliwych i handlowców w 1931 roku ogłosił inkorporację wschodniej części wyspy do Królestwa Norwegii. Pod naciskiem opinii publicznej parlament to potwierdził. Duńczycy w odpowiedzi wysłali na Grenlandię okręty wojenne i wystąpili do Stałego Trybunału Sprawiedliwości Międzynarodowej w Hadze o uznanie pełnej suwerenności nad wyspą.

Trybunał się zgodził.

– A potem rząd norweski – już nie nacjonalistyczny, ale socjaldemokratyczny – przeprosił za awanturę. Ziemię Eryka Rudego przechrzczono w Norwegii na Ziemię Christiana X, czyli króla Danii.

A zatem Donald Trump nie ma racji, mówiąc, że „nie wiadomo, czy Dania ma w ogóle do Grenlandii jakieś legalne prawa”.

– Są co najmniej trzy akty prawne, które to potwierdzają. Umowa amerykańsko-duńska z roku 1917, proklamacja duńsko-amerykańsko-norweska z 1921 i orzeczenie Hagi z 1933.

Jak Grenlandia przeszła przez II wojnę światową?

– Gdy w kwietniu 1940 roku Niemcy zaatakowały Danię, rząd w Kopenhadze przystał na okupację kraju – jednak z wyjątkiem Grenlandii. Mieszkańcy wyspy zwrócili się o opiekę do USA i Kanady. Rok później duński poseł w Waszyngtonie Henrik Kauffmann za zgodą króla Chrystiana X podpisał z Amerykanami – bez zgody swojego rządu – traktat, na mocy którego Stany Zjednoczone zobowiązały się do zagwarantowania bezpieczeństwa wyspy w zamian za prawo do budowy baz wojskowych i lotnisk. Ministerstwo spraw zagranicznych w Kopenhadze zostało powiadomione po fakcie, rząd pod okupacją oczywiście odwołał Kauffmanna ze stanowiska i oskarżył o zdradę, a jego majątek na terenie Danii został skonfiskowany.

Wszystko odzyskał po upadku III Rzeszy, został też członkiem pierwszego powo-



Grenlandia i okolice

Przez wieki o panowanie nad północnym Atlantykiem rywalizowały Dania i Norwegia



INFOGRAFIKA: TOMASZ LEBIODA / WYBORCZA.PL

➤ **jennego rządu i sygnatariuszem Karty ONZ. Amerykanie tymczasem założyli na północno-zachodnim wybrzeżu Grenlandii wielką bazę Thule, która dziś nosi miejscową nazwę Pituffik.**

– Ich przybycie było dla Grenlandczyków szokiem cywilizacyjnym. W krainie, gdzie porządku pilnował piętnastoosobowy oddział lokalnych sił zbrojnych przemieszczający się psim zaprzęgiem, nagle pojawiły się ciężarówki i samoloty, cała rzesza żołnierzy, inżynierów, robotników. Budowano koszary, hangary, drogi, nabrzeża, składy paliw... Grenlandia stała się stacją przesiadkową dla samolotów brytyjskich i amerykańskich latających z USA do Europy.

W 1946 roku prezydent Harry Truman zaferował Kopenhadze sto milionów dolarów za sprzedaż całej wyspy.

– Co wynikało właśnie ze strategicznego położenia Grenlandii. Duńczycy jednak ofertę odrzucili. A trzy lata później Dania przystąpiła do NATO, więc sprawa sprzedaży przestała być aktualna. W 1951 roku podpisano dla jasności traktat grenlandzki Dania – USA, który powtarzał sformułowania Henrika Kauffmanna: Amerykanie zachowali m.in. prawo do „sprowadzania materiałów niezbędnych dla budowy baz”. Powstał jednak problem: czy w ramach traktatu można wprowadzić na wyspę również broń atomową?

Rząd duński stał w latach 50. na stanowisku, że mimo członkostwa w NATO broni atomowej w Danii nie ma i nie będzie. Lecz w 1957 roku amerykański ambasador zwrócił się do premiera Hansa Christiana Hansena z podchwytliwym pytaniem, czy rząd duński „życzy sobie być poinformowanym, kiedy USA zechcą umieścić broń atomową na Grenlandii”.

Duńczycy odpisali, że nie zamierzają zająć stanowiska – nie było więc jednoznacznej odmowy i to wystarczyło. Amerykanie uznali, że wolno. I bez rozgłosu sprowadzili atom na Grenlandię. Duńskie społeczeństwo o tym nie wiedziało. Aż w roku 1968 rozbiła się na wyspie latająca forteca B-52 z ładunkiem bomb wodorowych. Choć nie eksplodowały, i tak wybuchł skandal.

Grenlandczyków szczególnie zbulwersowało, że gdy samolot się rozbił, do sprzątania wysłano robotników grenlandzkich i duńskich, ale odszkodowanie za – jak byśmy dziś powiedzieli – pracę w warunkach szkodliwych otrzymali tylko ci drudzy.

Sprawa Thule sprawiła, że podniosły się głosy za niepodległością. Tym bardziej że sąsiednia Islandia zrzuciła już duńskie zwierzchnictwo i od czerwca 1944 roku cieszyła się suwerennością. W przypadku Grenlandii sprawa była trudniejsza. Bez wsparcia swej metropolii wyspa by nie wyżyła. Przeważała zatem opinia, że trzeba kraj najpierw podnieść. Socjaldemokraci zaczęli właśnie budować państwo dobrobytu. Powołali komisję, która miała określić, czego wyspie najbardziej brakuje. Odpowiedź: infrastruktury. Wdrożono więc program przymusowej urbanizacji – skupiania ludności w miastach. Wybudowano bloki, szkoły różnych szczebli, przychodnie zdrowia – wszystko za duńskie pieniądze. Celem stało się przekształcenie nieco jeszcze dzikich łowców i rybaków w obywateli nowoczesnego państwa.

Co się chyba udało...

– W 1953 znowelizowano zapisy konstytucji, zmieniając status Grenlandii z kolonii na województwo. Grenlandczykom zapewniono dwa mandaty w parlamencie Danii, zwiększono uprawnienia wspomnianych już rad krajowych. Wreszcie udało się zwalczyć trapiącą

wyspę gruźlicę, pojawiło się lokalne radio, a zatem również miejscowi dziennikarze, rosła świadomość własnej tożsamości, rodziły się partie polityczne.

Z drugiej strony ludzie przeniesieni z odległych osad do miast nie znajdowali w nich pracy, żyli na zapomogach. Zaczęły się problemy: alkohol, samobójstwa.

Wedle świeżego raportu „The Suicide Capital of the World” co czwarty–piąty Grenlandczyk podjął przynajmniej jedną próbę samobójczą. Najczęściej młodzi ludzie.

– Takie były koszty wymuszonej modernizacji.

Gdy Dania wstępowała do Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej, poprzedniczki Unii, Grenlandia stawiała opór.

– Referendum na wyspie wypadło niekorzystnie. 70 procent mieszkańców opowiedziało się przeciw akcesji. Nie chcieli m.in., by rybacy z Europy mogli tutaj łowić. Dania jednak do EWG przystąpiła wraz z województwem grenlandzkim. Aby jakoś złagodzić wzburzenie Grenlandczyków, Kopenhaga poszerzyła autonomię wyspy.

W 1979 roku Grenlandia uzyskała prawo do osobnego parlamentu i rządu. Przestała być województwem, stała się terytorium autonomicznym z własnymi podatkami, szkolnictwem, 21-osobowym sejmem. Duńczycy zobowiązali się do wypłacania dotacji dla zrównoważenia poziomu życia w Danii i na wyspie. Ruszył proces grenlandyzacji – zmieniono nazwę stolicy z duńskiego Godthåb na inuickie Nuuk. W 1982 roku przeprowadzono referendum na temat wyjścia z Unii.

53 procent Grenlandczyków opowiedziało się za opuszczeniem Wspólnoty.

– Nie chcieli kwot połowowych, które narzuca Unia, woleli kontynuować nieskrępowany handel m.in. z Kanadą i USA. W lutym 1985 Grenlandia opuściła Unię, zyskując status zamorskiego terytorium stowarzyszonego z UE.

Czyli tak jak Polinezja Francuska, Nowa Kaledonia, holenderska Aruba...

– Grenlandczycy zachowali preferencyjny dostęp do rynku unijnego, są też w strefie Schengen, mają unijne paszporty, lecz nie obowiązują ich różne unijne ograniczenia. W 2008 roku rząd wyspy poszedł dalej – zapytano obywateli: więcej autonomii czy pełna samodzielność? 75 procent głosowało za samodzielnością.

Rok później duński parlament to zaakceptował: teraz wyspa jest związana z Danią przez wspólnego króla Fryderyka X, syna Małgorzaty II, i jedynie polityka zagraniczna pozostaje nadal w rękach Kopenhagi. Resztę władzy przejęli Grenlandczycy.

Ich język stał się jedynym oficjalnym, zastępując duński, mają także wyłączne prawo do decydowania o losie grenlandzkich surowców. Zapisano również, że stanowią naród w rozumieniu prawa międzynarodowego. To się wydaje wstępem do pełnej suwerenności.

Mimo że Dania wciąż finansuje połowę budżetu Grenlandii, bo dochody własne pochodzą obecnie niemal wyłącznie z rybołówstwa...

– Już niekoniecznie. Niedawno odkryto tam rudy metali ziem rzadkich, z powodu ocieplenia lodowiec szybko się cofa, z ostatnich informacji wynika, że są już warunki do uprawy zbóż. Grenlandczycy mają nadzieję, że wkrótce będą bogaci i samowystarczalni. Przyjęło się nawet pojęcie okresu duńskiego jako czegoś, co właśnie się kończy. W 2020 roku ktoś oblał czerwoną farbą stojący w Nuuk pomnik pastora Egedego. I dopisał hasło: „Dekolonizujmy!”. ●

• **Manifestacja narodowa pod pomnikiem Adama Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie 5 listopada 1905 roku**

FOT. JAN MIECZKOWSKI,
ZE ZBIORÓW
BIBLIOTEKI
NARODOWEJ



Z PROF. **TOMASZEM NAŁĘCZEM**
ROZMAWIA **MIROŚLAW MACIOROWSKI**

MIROŚLAW MACIOROWSKI: W latach 90. XIX wieku Józef Piłsudski, wówczas towarzysz „Wiktor”, był młodym działaczem Polskiej Partii Socjalistycznej, konspiratorem, wydawcą i autorem „Robotnika”. Wierzył, że wkrótce wybuchnie rewolucja. Ale czy wierzył, że stanie się to w Rosji?

PROF. TOMASZ NAŁĘCZ: Raczej nie. Piłsudski nie był jakimś wyrafinowanym teoretykiem socjalizmu, lecz praktykiem, człowiekiem czynu: „Robotnika” wydać, odezwę napisać, wiec zorganizować, struktury rozwijać, pieniądze zebrać. Uczciwie przyznawał, że „Kapitału” Marksa nigdy nie przeczytał. Sięgnął po niego podczas zesłania na Syberii, ale go znudził. Nie znaczy to, że nie wiedział, o co chodzi w socjalizmie. Na zesłaniu znalazł się wśród wybitnych socjalistów. Chłonał ich wiedzę i był nimi zafascynowany. Mówi się czasem, że teoretyczne zakorzenienie Piłsudskiego nie miało wiele wspólnego z marksizmem. Otóż miało – i to właśnie w teorii zawartej w „Kapitale”.

Marks zakładał, że skoro rozwijają się środki produkcji, czyli przemysł, to wraz z nim musi wzrosnąć liczba robotników, którzy z czasem staną się klasą dominującą. Wtedy dokonają oni przewrotu, przejmą władzę i na nowo ukształtują wszystkie dziedziny życia. Ale Piłsudski uważał, że ich bunt wybuchnie nie w Rosji, lecz na zachodzie Europy, gdzie przemysł rozwija się najszybciej. Rewolucja robotnicza przeobrazi w duchu socjalistycznym najpierw takie państwa, jak Francja, Wielka Brytania i Niemcy, ale dotrze aż na polskie ziemie. Cały XIX wiek Zachód nie pomagał Polakom walczącym o niepodległość, pozostawiając ich na pastwę Rosji, ale teraz tak nie będzie. Polscy socjaliści, mając wsparcie rewolucjonistów z przeobrażonych już Niemiec, Francji i Anglii, obalą carat i odzyskają własną państwowość.

Tak twierdził m.in. Kazimierz Kelles-Krauz (1872–1905), czołowy teoretyk PPS-u, z którego poglądami Piłsudski się utożsamiał. Obaj byli zdania, że rewolucja dotrze na ziemię Królestwa Polskiego, które było najbardziej rozwiniętym centrum przemysłowym Rosji, więc klasa robotnicza będzie tu dominować. Ta rewolucja – uważali – na ziemiach polskich się jednak zatrzyma. Całe wieki były one bowiem uważane za przedmurze katolicyzmu, a dalej to jest już tylko prawosławie, czyli schizmatycy, i imperium osmańskie – terytoria o bardzo odmiennej kulturze, społecznej strukturze i świadomości, gdzie o buncie robotniczym nie ma co marzyć.

W roku 1968 rozbiła się na wyspie latająca forteca B-52 z ładunkiem bomb wodorowych. Choć nie eksplodowały, i tak wybuchł skandal. Grenlandczyków zbulwersowało, że do sprzątania wysłano robotników grenlandzkich i duńskich, ale odszkodowanie za pracę w warunkach szkodliwych otrzymali tylko ci drudzy



Eksplozja 1905

W XX wieku były tylko dwa wybuchy energii społecznej na wielką skalę: rewolucja w 1905 roku, a potem dopiero Sierpień '80.

Piłsudski pisał w „Robotniku”, że rosyjskie społeczeństwo nie dojrzało do buntu, bo tworzą je głównie chłopci, których charakteryzuje „ciemnota i niewolnicze poglądy”, a robotnicy nie są na tyle silni, by stawić czoła caratowi.

Pomylił się.

– Tak, bo czas mijał, a ta wyczekiwana rewolucja na Zachodzie nie wybuchała. Co więcej, w Anglii, we Francji czy w Niemczech wśród socjalistów przeważał pogląd, że bunt zbrojny w ogóle nie ma sensu. Po co wywoływać rewolucję, przelewać krew, skoro swoje cele można osiągnąć bez ofiar i legalnie? Wystarczy wykorzystać postępującą demokrację, zwłaszcza powszechne prawo wyborcze. I to wyglądało sensownie, a przede wszystkim zaczynało mieć odzwierciedlenie w rzeczywistości. Przecież Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) od końca XIX wieku była najliczniejszym, choć jeszcze nie dominującym ugrupowaniem w Reichstagu. Głosowali na nią właśnie robotnicy.

W Królestwie Polskim oczywiście było to nie do pomyślenia. W Rosji, państwie autorytarnym, nie istniał parlament ani wybory, a działalność partii, choćby procarskich, była zakazana. O zmianach na drodze pokojowej nie można było nawet marzyć.

Zachód nie szykował się więc do rewolucji, lecz niespodziewanie wybuchła ona na Wschodzie. Rewolucja 1905 roku okazała się przełomowym doświadczeniem polskich socjalistów – wywróciła całą teorię PPS-u do góry nogami. Okazało się bowiem, że to nie z Niemiec, Francji czy Wielkiej Brytanii nadeszła rewolucja, tylko z Rosji. Zapalnikiem wybuchu społecznego okazała się wojna rosyjsko-japońska, a właściwie jej skutki. Konflikt na Dalekim Wschodzie o dominację nad Mandżurią i Koreą wybuchł w lutym 1904 roku. I nie dość, że Rosja poniosła w nim pasmo klęsk, to jeszcze wojna wywołała głęboki kryzys w kraju. Gospodarka załamała się, drastycznie pogorszyła się sytuacja materialna mieszkańców, przede

wszystkim warstw najbiedniejszych – robotników i chłopów. W efekcie ludzie wyszli na ulice.

W Petersburgu 22 stycznia 1905 r. demonstrowało około 200 tys. ludzi. Przeciwno pokojowej manifestacji car wysłał wojsko, które użyło broni. Według niektórych źródeł podczas „krwawej niedzieli” mogło zginąć ponad 1 tys. osób, w tym kobiety i dzieci.

– Po tej masakrze doszło do demonstracji i rozruchów w całym kraju. Car Mikołaj II musiał się cofnąć, zapowiedział reformy. W państwie samodzierżawia było to dotąd nie do pomyślenia. Monarcha miał tu przecież nieograniczoną władzę pochodzącą od Boga, nie musiał się nią dzielić ani tłumaczyć z tego, co robi.

Po tej eksplozji w PPS-ie natychmiast pojawił się nurt, który inaczej niż Piłsudski chciał realizować cele socjalistów. Po co szykować się do wojny polsko-rosyjskiej? Dlaczego polski robotnik ma się bić z żołnierzem rosyjskim pochodzącym z poboru, a w cywilu – proletariuszem albo chłopem? Lepiej wspólnymi siłami obalić carat, a potem wspólnie przeobrazić Rosję w państwo demokratyczne, obdarzające autonomią polskie ziemie. Ze zdobycia niepodległości nie chcieli rezygnować, ale odsuwali ten cel na dalszą przyszłość.

Taki był program tzw. młodych w PPS-ie, dla Piłsudskiego absolutnie nie do przyjęcia. Rewolucja, która spajała ziemie polskie z Rosją, zupełnie go nie interesowała. Widział w niej zagrożenie, a nie okoliczności sprzyjające walce o niepodległość, która niezmiennie była jego najważniejszym i najpilniejszym celem.

Czy plan „młodych” PPS-owców był zbieżny z programem Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, czyli partii, z której w przyszłości wykluje się Komunistyczna Partia Robotnicza Polski?

– Nie! Choć „młodzi” odsuwali zdobycie własnego państwa w czasie, to jednak z niego nie rezygnowali. Tymczasem najważniejsi działacze SDKPiL – Róża Luksemburg, Feliks Dzierżyński czy Julian Marchlewski – głosili, że rewolucja ma być powszechna, a odbudowa państwa polskiego nie jest potrzebna. Po obaleniu caratu i kapitalizmu powstanie bowiem jedna wielka wspólnota. Nikt tam nikogo nie będzie uciskał ani ekonomicznie, ani narodowo, ani religijnie. Tak zakładali Marks i Engels.

Proponowane przez Piłsudskiego dwuetapowe dochodzenie do socjalizmu – najpierw własne państwo, a potem nowy system wprowadzony na drodze demokratycznej – SDKPiL uważała za zdradę. Jej działacze twierdzili, że tak socjalizmu nigdy się nie wprowadzi, bo gdy partie burżuazyjne zorientują się, że klasa robotnicza może wygrać wybory, to natychmiast podepczą demokrację, by to uniemożliwić. Dla burżuazji najważniejsze jest bowiem panowanie ekonomiczne, czyli własność, której można ją pozbawić tylko w wyniku krwawej rewolucji. Wniosek: miejsce polskiego rewolucjonisty jest w rosyjskim ruchu robotniczym. Razem z rosyjskim proletariuszem trzeba obalić carat, a potem europejskich kapitalistów. I zaprowadzić nowy porządek.

Niemal natychmiast po wybuchu rewolucji w Rosji eksplodowała ona w Królestwie Polskim.

– I właśnie na ziemiach polskich miała najgwałtowniejszy przebieg. Zaczęła się tak naprawdę już w 1904 i trwała aż do 1908 roku. Apogeum wydarzeń – strajków i protestów – nastąpiło w 1905.

Historycy Feliks Tych i Stanisław Kalabiński w tytule swojej książki z 1969 roku o tej rewolucji zawarli pytanie: „Czwarte powstanie czy pierwsza rewolucja?”. Uważam, że tego nie można rozstrzygnąć w systemie zero-jedynkowym. Ten wielki bunt miał cechy zarówno powstania, jak i rewolucji. Różnił się od XIX-wiecznych powstań tym, że objął całe społeczeństwo. Jego siłę tworzyły szerokie warstwy, głównie plebejskie, tymczasem powstania wszczyniała szlachta, a więc klasa posiadająca, choć oczywiście walczący w nich prosty żołnierz pochodził z ludu. Ale w 1905 do walki stanęli robotnicy i chłopci. Doszło też do poruszenia młodzieży – wybuchł przecież wielki strajk szkolny, najpierw w miastach, a potem także na wsi. Młodzież upomniała się o naukę w ojczystym języku. Wielu Polaków chciało odmiany i o nią walczyło.

Niektóre wydarzenia były spektakularne. 23 czerwca 1905 r. w Łodzi wznieśiono około stu barykad, a w starciach z policją zginęło ponad 150 osób. W październiku strajki wybuchły



➤ **w dziesiątkach miast, największe w Warszawie, Łodzi i Zagłębiu Dąbrowskim.**

– Dziś ze skali tych wydarzeń nie zdajemy sobie sprawy. Rewolucja 1905 roku nie jest ważnym punktem w szkolnych podręcznikach, to najbardziej niedocenione wydarzenie XX wieku. Niestety, zawłaszczyli je komuniści i dlatego opinia publiczna, zwłaszcza w czasach PRL-u, myślała o nim z niechęcią. A już prawdziwym nieszczęściem dla pamięci o rewolucji 1905 roku były uroczyste obchody jej półwiecza w 1955 roku, czyli w najgorszych czasach stalinizmu. Hołubiono przede wszystkim SDKPiL, bo z niej wywodziło się wielu polskich bolszewików, którzy potem stali się patronami PPR i PZPR.

Oczywiście, w naszej epoce ukazują się ciekawe książki o tych wydarzeniach, ale czasy PRL-u, a przede wszystkim to, co wtedy o 1905 roku pisało, zrobiło swoje.

Nie brak historyków, którzy twierdzą, że to nie socjaliści, lecz endecy okazali się zwycięzcami rewolucji 1905 r.

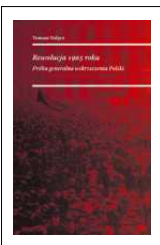
– Jest w tym sporo racji. Właśnie wtedy narodowa prawica przechwyciła kontrolę nad umysłami mas. Wdrukowała w świadomość większości społeczeństwa swoją wersję patriotyzmu opartą na hasłach narodowych i antysemickich.

Socjaliści zdominowali czynny protest: strajki, manifestacje, walki uliczne, aktywność bojówek partyjnych. Zapłacili za to ogromną cenę w postaci wielu osób straconych, uwięzionych, zesłanych na katorgę. Chcąc obalić carat, odmawiali udziału w koncesjonowanych przez władze cofające się przed rewolucją nowych formach życia politycznego, w tym w wyborach do Dumy, jak nazywano rosyjski parlament.

Za to nowe możliwości skrzętnie wykorzystywała endecja niewykrwawiająca się w czynnym oporze, za to coraz skuteczniejsza w oddziaływaniu zwłaszcza na masy chłopskie, stanowiące blisko dwie trzecie społeczeństwa. Endecy kontynuowali tę strategię także po upadku rewolucji, całkowicie już wtedy kontrolując legalne życie publiczne. To właśnie dzięki temu endecja wygrała w styczniu 1919 r. pierwsze wybory parlamentarne w odrodzonej Polsce.

Jednak dorobek socjalistów z 1905 roku też nie poszedł na marne. Zwróćmy uwagę, że w najważniejszym momencie dla wskrzeszenia Polski – pomiędzy listopadem 1918 r., gdy Piłsudski został uwolniony z twierdzy w Magdeburgu i wrócił do Polski, a styczniem 1919 r., gdy odbyły się wolne wybory – to Piłsudski i socjaliści rozdawali karty. I to, co się wtedy wydarzyło: zapowiedź reform społecznych czy przyznanie prawa głosu kobietom, było bardzo socjalistyczne i głęboko zakorzenione w wydarzeniach i emocjach rewolucji 1905 roku. To dowodzi, że endecja wcale nie rządziła tak niepodzielnie duszami Polaków.

Polscy działacze narodowi pisali wtedy do przebywającego w Paryżu Romana Dmowskiego i w listach błagali go, by wrócił do Polski i przepędził tego uzurpatora Piłsudskiego i socjalistów, którzy źle rządzą kraj. Ale Dmowski nie wrócił. „To nie jest jeszcze nasz moment. W Polsce dominują radykalne nastroje i socjaliści muszą je spacyfikować. Rzeczywiście, to oni budują państwo, i to złe, ale nasz czas jeszcze nadejdzie” – argumentował.



Rewolucja 1905 roku. Próba generalna wskrzeszenia Polski

Tomasz Nałęcz

Muzeum Historii
Polski 2024

Ale ten czas wkrótce nadszedł. Przecież prawica wygrała nie tylko wybory w 1919 roku, ale i następne w 1922 r. Rządy objął wtedy Chrześcijański Związek Jedności Narodowej, koalicja ludowo-endecka zwana Chjeno-Piastem. Ugrupowania narodowe panowały już nad umysłami większości społeczeństwa. Najdobitniejszy dowód na zabójstwo z poduszczenia endeków Gabriela Narutowicza – „prezydenta wybranego przez Żydów”. Piłsudski w maju 1926 roku zdecydował się na zamach stanu, bo zdał sobie sprawę, że w wyborach endeków nie pokona.

– Ma pan rację. Tyle tylko, że czas rewolucji i czasy normalności rządzą się innymi prawami. W czasie rewolucji ważną rolę odgrywają elity. W 1980 roku w Stocznii Gdańskiej znalazła się elita opozycji demokratycznej, która zdołała narzucić strajkom w całej Polsce sposób postępowania. W 1905 roku z kolei metody walki podyktowała elita PPS-u, która przez kilkanaście miesięcy przesądzała o rytmie wydarzeń na ziemiach polskich, choć formalnie kontrolowały je władze carskie.

Ale bunt ma różne fazy, jest moment uniesienia, eskalacji, a potem następuje wygaszanie emocji. W 1905 te emocje rozpalili socjaliści, ale przecież struktura i świadomość społeczeństwa nie zmieniły się trwale pod wpływem ich agitacji. O ile PPS-owska ideologia walki odpowiadała elitom, o tyle masy były bardziej podatne na hasła endecji. Zwłaszcza kiedy rewolucja zaczęła przegrywać, a endecja cynicznie przystąpiła do mobilizowania swoich zwolenników nie tylko hasłami poświęcenia się dla sprawy narodowej, ale także antysemickimi, które działały na ludzi jak narkotyki.

I owszem, gdy emocje już opadły, bo ile czasu można tkwić na barykadach, pogorzeliśko, które pozostało po buncie, rzeczywiście zagospodarowała endecja.

Dla dzisiejszego ucznia może być to niezrozumiałe. Na lekcjach historii słyszy przecież, że Polacy zawsze dzielnie bili się z zaborcą. Tymczasem endecja nie dość, że się nie biła, to w 1905 organizowała kontrmanifestacje przeciw socjalistom, a na sztandarach nie miała niepodległości. Dmowski zasiadł w rosyjskiej Dumie, co można wręcz uznać za kolaborację. A mimo wszystko to właśnie endecy odnieśli najwięcej korzyści z rewolucji 1905 roku czy – jak pan to ujął – „zagospodarowali” ją.

– To logiczne, jeśli dobrze orientujemy się w realiach społecznych tamtego czasu. Nie licząc momentu rewolucyjnego uniesienia, endecy mieli ważną przewagę nad PPS-em, ponieważ preferowali metody, które dla większości społeczeństwa były łatwiejsze do zaakceptowania. Socjaliści proponowali bunt, walczyli o wszystko i od Polaków też domagali się „rzucenia swego życia na stos”, jak śpiewali później legionieści. Żądali po prostu od narodu ofiary.

Natomiast endecy proponowali spokój i pokój, działalność w ramach prawa. Narodowa Demokracja opanowała rodzące się organizacje oświatowe, w tym Polską Macierz Szkolną, kulturalne, samopomocowe, związki zawodowe. Była giętka w kontaktach z władzami, ale na użytek publiczności pozostała często opozycyjna i radykalna, choćby w kampaniach do Dumy Państwowej. Taki sposób

postępowania pozwolił endecji wyrosnąć na najpoważniejszą siłę w zaborze rosyjskim.

No i gdzie tu patriotyzm?

– Opierał się na pragmatyzmie. Jeśli była szansa wymusić coś na słabnącym caracie, to endecy wyprowadzali ludzi na ulice. Gdy car się cofnął, to z tego korzystali. Wczorajsza postawa patriotyczna polegała na naciskaniu na władzę, a dzisiejsza na korzystaniu z efektów tego nacisku.

Endecy uznawali, że nie ma sensu już demonstrować. Po co? Można znaleźć się w więzieniu albo na Syberii, a pożytek z tego dla sprawy polskiej żaden. Teraz trzeba głosować na Polaka, rozwijać polską szkołę, umacniać wspólnotę narodową. Car zgodził się na wybory, wprowadzie niedemokratyczne, ale trudno – startujemy w nich. I endecja wystartowała. Tak Dmowski został posłem do Dumy.

Piłsudski nie mógł nim zostać, bo po pierwsze, nie chciał (PPS nawoływał do bojkotu wyborów), a po drugie, decydując się na kandydowanie, musiałby się ujawnić, a wtedy od razu pojechałby w kajdanach na Syberię, bo kierował działalnością zbrojną i terrorystyczną.

Patriotyzm endeków był po prostu możliwy do pogodzenia z normalnym życiem. Do zaakceptowania przez miliony.

A socjaliści wymagali od Polaków rezygnacji z normalnego życia?

– Oczywiście. Chcieli, żeby lud poszedł ich drogą, a ta przecież mogła skończyć się stryczkiem lub katorgą. Nie każdy był gotów na takie poświęcenie.

Jeśli jeszcze do tego dodamy, że endecja precyzyjnie wskazywała wewnętrznego wroga, czyli Żydów, których utożsamiała z lewicą, to łatwiej zrozumieć, dlaczego właśnie ona osiągnęła korzyści polityczne po rewolucji.

To jednak wcale nie znaczy, że rok 1905 był wyłącznie jej triumfem. Przyniósł on kapitał obydwu stronom. Odmienny, ale niezwykle ważny. Rewolucja doprowadziła do ustępstw cara. Uczniowie uzyskali prawo do nauki w ojczystym języku, częściowo zezwolono na zrzeszanie, m.in. w związki zawodowe; rozszerzono prawo do używania języka polskiego w życiu publicznym, m.in. w szkolnictwie i samorządzie gminnym. Tysiącom tzw. unitów, wcześniej zmuszanych do przejścia na prawosławie, pozwolono powrócić na łono Kościoła katolickiego. Ożywiły się życie kulturalne i ruch oświatowy, dzięki czemu przyspieszeniu uległ rytm życia narodowego. Właśnie z tych wszystkich ustępstw pełnymi garściami korzystała endecja, pomnażając swój kapitał polityczny.

Natomiast Piłsudski i socjaliści okrzepili jako organizacja walcząca z bronią w ręku. Wśród ich zwolenników utrwaliła się tradycja buntu. Wyraźnie widać nic łączące uniesienie z lat 1904-08 z utworzeniem Legionów Polskich, z ich walką w czasie wojny I wojny światowej, z działalnością utworzonej przez Piłsudskiego Polskiej Organizacji Wojskowej, i w końcu z odzyskaniem niepodległości w roku 1918.

No to pierwsza rewolucja czy czwarte powstanie?

– Jeśli uzna się rewolucję 1905 roku za czwarte polskie powstanie, to ktoś może powiedzieć, że tak jak i poprzednie, zostało przegrane. Lecz zauważmy, że to jest pierwsze przegrane powstanie, które przyniosło pozytywne skutki. Poprzednie – kościuszkowskie, listopadowe, styczniowe – kończyły się klęską i represjami. Za każdym razem Polakom odbierano jakieś resztki politycznej suwerenności, aż w końcu zostali jej całkowicie pozbawieni. Tym razem było inaczej.

Uważam rewolucję 1905 roku za jedno z najważniejszych wydarzeń w całym XX wieku. Jeśli szukamy momentów wyzwolenia energii społecznej na ziemiach polskich na niespotykaną skalę, to w tym stuleciu były takie tylko dwa – właśnie rewolucja 1905 roku, a potem dopiero Sierpień '80. Jeśli porównamy oba te wydarzenia, to analogie są ogromne, zarówno jeśli chodzi o skalę, determinację, sposób zorganizowania, rolę oddolnej presji, jak i stopniowe ogórne ujmowanie buntu w karby organizacyjne. W obu przypadkach doszło do wybuchu społecznego, którego paliwem było wielkie marzenie o „odmienieniu oblicza tej ziemi”, że użyję cytatu z Jana Pawła II.

Dość powiedzieć, choć zabrzmiał to jak herezja, że gdy Polska odzyskiwała niepodległość w 1918 roku, eksplozja narodowej energii nie była już tak wielka, jak w 1905 roku. ●

Jeśli uzna się rewolucję 1905 roku za czwarte polskie powstanie, to ktoś może powiedzieć, że podobnie jak poprzednie, zostało przegrane. **Zauważmy jednak, że to jest pierwsze przegrane powstanie, które przyniosło pozytywne skutki**

ROBINSONOWIE Z KAWIARNI BUNKIER



• Adrien Brody w roli Władysława Szpilmana w filmie „Pianista” Romana Polańskiego z 2002 roku. Scenariusz oparty był na wspomnieniach Szpilmana pt. „Śmierć miasta”, które ukazały się w 1946 roku FOT. PAP/DPA-FILM TOBIS

Po upadku powstania w ruinach Warszawy ukrywało się około dwóch tysięcy ludzi. Wkroczenia Armii Czerwonej doczekało tylko kilkuset.

**Damian Nowicki
Jacek Stawiany**

Plakat filmu Romana Polańskiego „Pianista” z 2002 roku: samotna postać przemierza ulicę zgruzowanego miasta. Wokół szkielety budynków. Wiemy, że to Władysław Szpilman grany przez Adriena Brody’ego, który po upadku powstania warszawskiego przetrwał wśród gruzów stolicy aż do wkroczenia do niej Armii Czerwonej. Jego egzystencja sprowadzona została do unikania śmierci z głodu bądź od niemieckich kul.

Nie do końca tak wyglądało życie warszawskich robinsonów, jak ich nazwano, czyli setek osób, które ukryły się w zgłiszczach. W rzeczywistości pisali pamiętniki, czytali książki, grali w gry. W większych grupach organizowali odczyty, wykłady i dyskusje. Powstało nawet coś na kształt

życia towarzyskiego, ponieważ odwiedzali się nawzajem w swoich kryjówkach.

ROBINSONOWIE

Zwrot „robinson warszawski” do obiegu wprowadził Antoni Słonimski w książce „Dwa końce świata” już w 1937 roku. Z kolei pierwsze relacje ukrywających się w ruinach stolicy pojawiły się w prasie krótko po wojnie. Przedstawiano je jako dowód hitlerowskich zbrodni i świadectwo cierpień albo przykład oporu i woli trwania.

Punktem zwrotnym było wydanie w 1946 roku wspomnień Szpilmana pt. „Śmierć miasta”. Jerzy Waldorff, który je opracował, przekonywał, że „w przeżyciach jednego człowieka znalazło się miejsce na wszystkie gatunki cierpień, jakimi maltretowali Niemcy podbite przez siebie narody”.

Po wydaniu pamiętników Szpilman stał się najpopularniejszym robinsonem. Publikacja zapoczątkowała serię książek, artykułów i antologii, m.in. „Bunkier” Chaima Icla Goldsteina, „Byłam warszawskim robinsonem” Danuty Galkowskiej czy zbiór zbeletryzowanych relacji pt. „Nie umieraj do jutra” Wacława Glutha-Nowowiejskiego, powstańca ze zgrupowania „Zmija”.

Różnorodność zmagani robinsonów najlepiej portretują wspomnienia żołnierza Armii Krajowej i powstańca Mariana Uramowskiego ps. „Kora” oraz dr. Henryka Becka, lekarza pochodzenia żydowskiego. Pierwszy, mimo głodu i pragnienia codziennie się golił, ponieważ „gdy wszystko dookoła jest nienormalne, walczę o każdy skrawek normalności”. Drugi malował obrazy, w których sarkazmem i czarnym humorem reagował na ekstremalne okoliczności. Jeden z rysunków zatytułował „Caffe Bunker” i opatrzył dopiskiem: „Nie traćmy nadziei, przecież jesteśmy w kawiarni Bunkier”.

Dowództwo AK wynegocjowało z Niemcami dla powstańców status kombatantów. Po kapitulacji razem z cywilami zostali więc przymusowo ewakuowani do obozu przejściowego w Pruszkowie oraz kilku mniejszych: w Ursusie, Piastowie, Ożarowie i Włochach. Najzdolniejszych do pracy

wysłano w głąb Niemiec, resztę zapędzono do budowy fortyfikacji na zapleczu frontu.

Niemcy zapewniali, że będą humanitarne traktować cywili, a na AK-owców i polityków państwa podziemnego nie spadną represje. Wiele osób tym zapewnieniom nie uwierzyło, a ujawnianie się uważali za pewną śmierć. I mieli dobrą intuicję, bo Niemcy szybko przestali dotrzymywać warunków porozumienia.

Nie sposób dokładnie ustalić, ilu ludzi zdecydowało się na los robinsona. Według Macieja Kledzika, autora hasła „robinsonowie” w „Wielkiej ilustrowanej encyklopedii powstania warszawskiego”, w zgłiszczach miasta mogło ukrywać się nawet dwa tysiące osób. Ale wkroczenia Armii Czerwonej doczekało kilkuset. Pozostali zmarli z głodu, wycieńczenia lub na tyfus plamisty.

Wśród robinsonów byli AK-owscy powstańcy i bojownicy z getta, ale głównie cywile żydowskiego pochodzenia szukający ratunku przed Holocaustem.

GRUZY

Na miejsca przetrwania szukali kamienic na granicy zawalenia. Niektórzy wykorzystywali powstańcze kryjówki



➤ i tunele, które przebijano w trakcie walk. Inni wybierali strychy i poddasza, aby uniknąć niemieckich kul lub miotaczy ognia.

Stefan Chaskielewicz, żydowski matematyk, uciekinier z getta, wraz z siedmiorgiem towarzyszy ukrył się w zburzonym domu niedaleko Marszałkowskiej 131. Wybrali dwa pomieszczenia piwniczne, niecałkowicie zasypane gruzem. Z okolicznych budynków przynieśli materace, kilka stołków i desek, które posłużyły jako stół. Wejście do kryjówki zabarykadowali nadpalonymi beczkami, w których zrobili otwór.

Z kolei Wacław Gluth-Nowowiejski, wówczas 18-latek [zmarł 23 grudnia 2024 roku], opisał losy piekarza, który robił chleb dla powstańców: „[Czesław] Lubaszka był silny, uparty. Decyzję, którą podjął, aby przetrwać w mieście, w którym za każdym rogiem czała się śmierć, uznano za szaleństwo. On jednak wołał to od poniewierki i wywiezienia do Niemiec”.

Lubaszka z dwójką kompanów, Kazimierzem Jaworskim, spadochroniarzem zrzuconym we wrześniu na lewy brzeg Wisły, oraz Wanią, żołnierzem Armii Czerwonej, który uciekł z niewoli, ukryli się pod ziemią. Wybrali piwnicę przy Twardej 40, w której mieścił się dawniej skład AK-owskiej broni. Poznoscili tam koldry, koce, garnki, mieli nawet maszynkę spirytusową. Zgromadzili tyle zapasów, na ile pozwoliła „klitka bez okien, ale z dostępem powietrza”. 8 października zeszli pod ziemię, maskując wejście, aby wyglądało na naturalne zwalisko. Przeżyli, a Lubaszka po wojnie założył istniejącą do dzisiaj sieć piekarni.

Piątką innych robinsonów ukryła się już 28 września, a więc jeszcze przed upadkiem powstania, w specjalnie przygotowanym bunkrze przy Czerniakowskiej 17. Nieformalnym dowódcą grupki był Roman Łuczak ps. „General”. W 1942 roku kupił częściowo zniszczony dom, w którego piwnicy urządził tajny warsztat. Serwisował w nim broń dla AK, a także ukrywał Żydów.

W podziemiach dodatkowo zbudował prowizoryczny schron, w którym u schyłku powstania oprócz „General” ukryli się też ppor. Jerzy (nazwisko się nie zachowało), nastoletni harcerz Mieczysław Rybicki, Jadwiga Seweryńska oraz Henryk Kowalczyk, Żyd, który ukrywał się w pobliskim mieszkaniu.

Najliczniejsza i najlepiej zorganizowana była grupa dr. Henryka Becka, żydowskiego lekarza, który podczas powstania razem z żoną Jadwigą, również lekarką, kierował szpitalem na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej. Beckowie po upadku zrywu zostali w mieście. Wraz z grupką znajomych 5 października zeszli do kryjówki w piwnicach zrujnowanych kamienic między Śliską 7 a Sienną 22. Potem dochodzili do nich każdego dnia kolejni ludzie i razem z Beckami pod ziemią znalazło się aż 40 osób.

W większości Żydzi, choć nie tylko. Lokatorzy piwnicy reprezentowali cały przekrój społeczny, byli tam m.in. przemysłowcy i rzemieślnicy, profesor uniwersytetu, kilkoro powstańców, kapitan w stanie spoczynku Władysław Kowalski, 65-letni mężczyzna, siedmioletni chłopiec i dwóch greckich Żydów: Aruch i Dario, uwolnionych przez powstańców z obozu Gęsiówka.

WODA

Większość robinsonów miała nadzieję, że w gruzach będą się ukrywać najwyżej kilkanaście dni. Po drugiej stronie Wisły stała przecież Armia Czerwona, a w czerwcu alianci wylądowali w Normandii. Czas jednak mijał, a wybawienie nie nadchodziło. Natomiast zapasy kurczyły się nieubłaganie.

Kluczowa była woda, gdyż większość wodociągów była uszkodzona. O wielkim szczęściu mogli mówić Lubaszka i jego kompani, którzy znaleźli czynną studnię. Z kolei Mieczysław Rybicki z grupy Łuczaka w jednym z mieszkań odkrył kotły grzewcze wypełnione wodą.

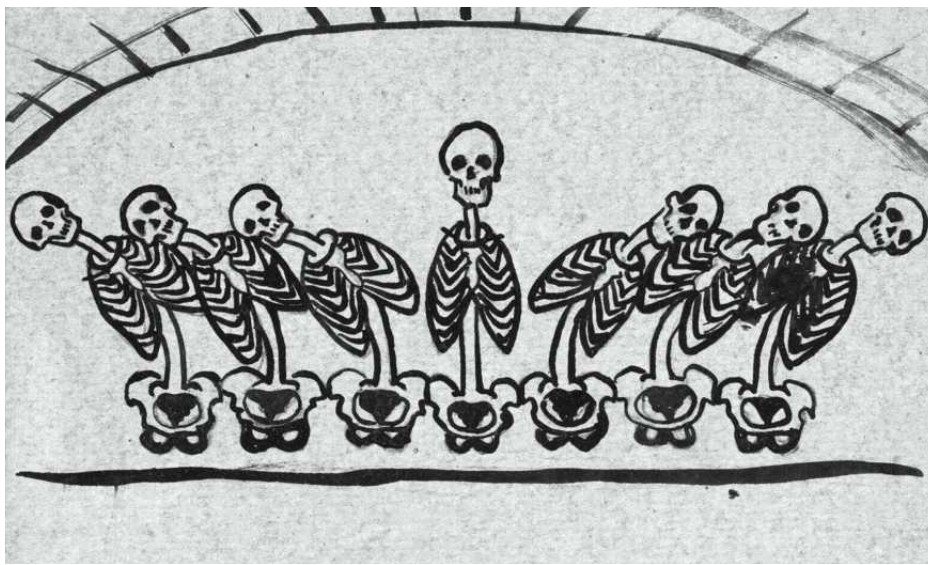
Los uśmiechnął się również do Glutha-Nowowiejskiego, który znalazł w jakimś



• Zniszczony tramwaj na zrujnowanej po powstaniu warszawskim ulicy Marszałkowskiej. W jej rejonie ukrywało się dużo robinsonów

FOT. PAP/APA/
JOE J. HEYDECKER

Aby przetrwać, robinsonowie musieli się nauczyć nie tylko bezdźwięcznie szukać prowiantu, ale też w ogóle żyć. Gdy zapadał zmrok, słyszeli dźwięki rabunkowej krzątany oraz naprzemiennego niszczenia i fortyfikowania miasta



FOT. ZE ZBIORÓW ŻYDOWSKIEGO INSTYTUTU HISTORYCZNEGO

pomieszczeniu parę sucharków, obgryzione skórki od chleba, trochę mąki, połowę torebki cukru, stertę ziemniaków oraz trzy kubły śmierdzącej wody.

Nie wszyscy mieli takie szczęście, zwykle, żeby przeżyć, trzeba było wykazać się sprytem. Doktor Beck z ludźmi ze swojej kryjówki zbudowali prowizoryczną studnię. Kopali ją na zmianę dzień i noc wszystkim, co było pod ręką. Wreszcie 10 metrów poniżej podłogi „wilgoć zmieniła się w rzadkie błoto, z którego poczęła sączyć się upragniona woda coraz obficie i coraz czystsza. Zapanowała radość. Można się było nie tylko napić do syta, lecz i wreszcie umyć” – wspomniała Janina Jaworska w książce „Henryka Becka »Bunkier 1944 roku«”. Ten sukces wzmocnił ich wiarę w przetrwanie.

Problem z wodą rozwiązał się dopiero pod koniec listopada, gdy spadł śnieg i robinsonowie mogli pić śniegówkę.

CISZA

11 października Hitler wydał rozkaz zrównania Warszawy z ziemią. Na jej gruzach

chciał zbudować Festung Warschau – Twierdzę Warszawa, która miała odgrywać ważną rolę w obronie linii Wisły. Zapadła decyzja, żeby opustoszałe miasto ogoląć ze wszystkiego, co cenne.

Do 14 listopada Niemcy wystawiali przepustki zezwalające na wjazd do Warszawy, ale liczba robotników zatrudnionych przy pracach pomocniczych dla Wehrmachtu była ograniczona.

Wszyscy inni, którzy pozostali w ruinach, po schwytaniu mieli zostać rozstrzelani.

Aby przetrwać, robinsonowie musieli się nauczyć nie tylko bezdźwięcznie szukać prowiantu, ale też w ogóle żyć. Gdy zapadał zmrok, słyszeli dźwięki rabunkowej krzątany oraz naprzemiennego niszczenia i fortyfikowania miasta.

Mimo życia w ciszy przełamywanej czasem szeptem i w ciemności rozświetlanej niekiedy słabym światłem świec robinsonowie robili wszystko, aby nie popaść w szaleństwo. Ważne było wykonywanie zwykłych czynności, na przykład dbanie o porządek.

Doktor Beck wiedział, że w grupie przypadkowych ludzi będzie dochodzić do konfliktów, szczególnie w okresach bezczynności. Dlatego wszystkim lokatorom bunkra wyznaczono zadania. Kobiety przygotowywały posiłki, mężczyźni wyprawiali się nocą po zapasy. Największą odpowiedzialnością było sprawiedliwe racjonowanie prowiantu.

FIRANKI

Życie grupy z Siennej 22 było urozmaicone. Znaczną część doby lokatorzy kryjówki przesypiali, ale grali też w szachy, warcaby i karty. Opowiadali sobie okupacyjne i przedwojenne przeżycia, debatowali na rozmaite tematy. Niektórzy pisali pamiętniki, inni prowadzili kalendarze albo malowali. Doktor Beck na znalezionych kartkach papieru stworzył 46 szkiców, na których przedstawiał robinsonową rzeczy-

▼ Dr Henryk Beck (1896-1946), lekarz, ale też muzyk i plastyk. Powyżej jeden z jego rysunków z „okresu robinsonowskiego”



FOT. ARCHIWUM

wistość. Jeden z obrazów zatytułował „To cóż, że nasz humor – jest tańcem szkieletów”. Wszystkie rysunki dr. Becka znajdują się w zbiorach Żydowskiego Instytutu Historycznego.

Każdy ratował się przed obłędem jak mógł, czasem pomagał w tym humor. Gdy pewnego dnia kpt. Kowalski długo nie wracał z poszukiwań, zaniepokojeni mieszkańcy piwnicy myśleli, że zginął. Ale Kowalski w końcu się zjawił... w czarnym, eleganckim płaszczu i meloniku. Uchylił go z miną światowca i zwrócił się do lokatorów kryjówek: „Przepraszam Państwa, że się nieco spóźniłem, lecz, jak widzicie, warto było”. Jego widok rozładował atmosferę.

Aby powiększyć przestrzeń życiową i utworzyć starannie zamaskowane wyjścia zapasowe, wykopano przejścia do sąsiednich piwnic.

Bunkier dr. Becka rozrósł się aż do 12 izb z indywidualnymi łózkami, olbrzymią kuchnią oraz pokojem do wspólnego spędzania czasu. A mieszkańcy wywiesili nawet w pokojach firanki!

Chaim Icel Goldstein, przywódca kilku-osobowej grupy z ulicy Franciszkańskiej, wspominał, że każda interakcja z przeszkukającymi ruiny Niemcami była traumatycznym przeżyciem. Kiedy zagrożenie mijało, a oszalałe myśli się uspokajały, wszyscy podnosili się z ziemi, ale jeszcze długo nie rozmawiali.

Po jednym ze spotkań z Niemcami członek grupy Goldsteina o imieniu Daniel bezwiednie wyszeptał ze wzrokiem wbitym w nicotę: „Spędziłem całe lata w obozach i na każdym kroku towarzyszyła mi śmierć, która mogła przyjść z każdej strony. Ale mimo to nerwy nie były tak napięte i napięte jak w tym bunkrze. Tu naprawdę można zwariować”. Ostatnie słowa wykrzyczał i się rozplakał.

Napomniiała go Hanna, inna lokatorka bunkra: „Nie wolno się poddawać! Jeśli się poddamy, to długo nie pociągniemy. [...] powinniśmy ze wszystkich sił chwycić się świata, który istnieje ponad naszą kryjówką i ponad ruinami Warszawy, wyobrażać sobie, że istnieje świat żywy”.

MAGIEL

Ze względu na gęstą zabudowę najwięcej kryjówek było w Śródmieściu. Z czasem rozkwitło tam coś na kształt życia towarzyskiego, którego nieformalnym centrum stał się magiel na rogu Śliskiej i Siennej. Spotykało się tam regularnie po parę osób z każdego bunkra, żeby omówić bieżące sprawy, zorganizować wzajemną pomoc, najczęściej lekarską, i wymienić informacjami. W pudełkach po gniazdkach instalacji elektrycznej przekazywali sobie informacje – wiadomości z frontu i przeróżne ogłoszenia. Niemcy nazywali ten region Banditen Viertel (dzielnica bandytów).

Magłowa poczta stała się ważną częścią życia robinsonów. Pewna kobieta z kryjówki przy Ogrodowej za pośrednictwem magła przesyłała znajomej z innego bunkra manierkę rosolu z upolowanego psa. Puste naczynie wróciło z karteczką: „Takiego rosolu nie jadłam nawet u mamy”.

W maglu wymieniano się nie tylko informacjami, ale też potrzebnym sprzętem oraz książkami, czytanie było jednym z najsukuteczniejszych sposobów walki z beczynnością. Szczególną rolę odegrał tu pewien bibliotekarz z grupy dr. Becka, który podczas nocnych przeszukiwań ruin odpowiadał wyłącznie za wynajdywanie książek.

Robinsonie starali się wspólnie obchodzić urodziny i imieniny. Miniuroczystości organizowali nocą, a toasty wznosili szepem. Tusia Hart, która ukrywała się w piwnicy przy Śliskiej 8, w pobliżu bunkra dr. Becka, opisała odwiedziny u sąsiadów: „Panował wśród nich wzorowy porządek, codziennie o tej samej porze wszyscy siadali do stołu, a kobiety podawały obiad. Wszystkie były porządne, a nawet ubrane z pewną elegancją. (...) Dla nas znajomość z nimi

była niezwykłą przyjemnością i prawdziwą ulgą. Często do nich przychodziliśmy, pożyczaliśmy książki, a co najważniejsze to kilka razy w tygodniu braliśmy u nich wodę. W dzień moich urodzin urządzono prawdziwą ucztę, a Irka ugotowała czulent z fasoli i kaszy. Przedstawiciele ich bunkra przyszli do nas, zjedliśmy razem ten przysmak, a potem wypiliśmy odrobinę wina za moje zdrowie”.

WIGILIA

Robinsonowie stracili rachubę czasu i nie byli pewni czy święta Bożego Narodzenia dopiero nadejdą, czy już były. Mimo to starali się celebrować wigilię.

Mieczysław Rybicki opisał, jak to wyglądało w kryjówce przy Czarnieckiego 17: „Do świąt przygotowywaliśmy się uroczystie. Przede wszystkim nie wiedzieliśmy, że Henryk jest Żydem. Chociaż musieliśmy oszczędzać wodę, to przed świętami postanowiliśmy obmyć się i upiec sobie chleb, chyba to miało być przygotowanie do świąt. Choinka – przecież nie wytniemy choinki. Z jakiegoś świerku odcieiliśmy gałąź. Oplatka nie ma, ale mieliśmy chleb. Najciekawsze, że mieliśmy również rybę – była puszka sardynek. Przelamaliśmy się chlebem, obdzieliliśmy się sardynkami i odśpiewaliśmy kolędy”.

Większość robinsonów była żydowskiego pochodzenia i obchodzenie świąt w ich przypadku uzależnione było od stopnia asymilacji z polską tradycją. Do ciekawej sytuacji doszło w bunkrze Jana Kostańskiego, chrześcijanina, który w czasie okupacji razem z matką pomagał przebywającym w getcie swoim żydowskim sąsiadom. Związał się z tą rodziną na tyle mocno, że został z nią w popowstańczych ruinach. Ta zróżnicowana religijnie, ale bardzo zaprzyjaźniona i żyta grupa spędziła wspólnie wigilię w 1944 roku. Kostański razem z Henrykiem Grynbergiem tak opisali tę uroczystość w książce „Szmuglerzy” (2001):

„23 grudnia pan Izik i Natan przynieśli choinkę, która rosła przy figurce matki boskiej na podwórku. W wigilię Necha ugotowała zupę rybną z proszku oraz kłuski. Stół, czyli drzwi położone na ceglach, przykryła prześcieradłem i zapaliła parę świeczek. To wszystko dla mnie, który byłem wśród nich jedynym chrześcijaninem. Pan Izik wznosił toast: »żebyśmy nigdy więcej nie musieli świętować pod ziemią!«. Wypiliśmy, przełykając lzy, i zaśpiewaliśmy półgłosem »Wśród nocnej ciszy« oraz »Przybieżeli do Betlejem«. Kolędy te były bliskie wszystkim, bo w Betlejem urodził się Dawid, pasterz i król, który według religii żydowskiej też ma powrócić, żeby zbawić świat”.

SYLWESTER

W sylwestra około czterdziestu robinsonów zebrało się w maglu, by świętować Nowy Rok. Początkowo byli cicho, ale koło północy – jak wspominał Kostański – zaczęli znaną z gruzach wódką wznosić toasty, żeby „przyszła wreszcie do nas spóźniona wolność, która od tyłu miesiący beczynnie stała po tamtej stronie Wisły”.

Na chwilę zapomnieli o bezpieczeństwie, a ponieważ stali na podwórzu, ich głosy ściągnęły patrol. Niemcy otworzyli ogień, trzech robinsonów zginęło, reszta rozpierzchła się do kryjówek. Następnego dnia Niemcy wysadzili magiel w powietrze.

Według Kostańskiego była to ostatnia krzywdą wyrządzoną robinsonom przez hitlerowców. 12 stycznia rozpoczęła się radziecka ofensywa i po tygodniu, po 110 dniach ciszy i ciemności, Warszawa została wyzwolona. Radosne wieści nie dotarły od razu do bunkra na Czarnieckiego 17. Gdy pewnego ranka Mieczysław Rybicki wyszedł po kolejny zapas wody, mieszkanie, w którym znajdował się baniak, było zamknięte. A na drzwiach zobaczył się napis: „Właściciel wrócił, nie szabrować!”.

Motyka

Prof. Grzegorz Motyka
– historyk, politolog, pracownik Instytutu Studiów Politycznych PAN

Okruchy historii

Skrzywdzona „Zagłada”

To wstyd, że minister nauki nie podwyższył jeszcze liczby punktów za publikacje w roczniku „Zagłada Żydów”.



Tuż przed świętami ukazał się jubileuszowy 20. numer rocznika „Zagłada Żydów. Studia i Materiały”. Opasły, prawie 900-stronicowy tom, jak zwykle przynosi interesujące wyniki najnowszych badań na temat największego ludobójstwa, do jakiego doszło na ziemiach polskich. Żał tylko, że tego wysiłku raptem garstki naukowców wciąż nie docenia Ministerstwo Nauki.

Główny blok tekstów dotyczy psychologicznych aspektów Zagłady (znajdziemy tam m.in. analizę wybranych snów spisanych w pamiętnikach ofiar Holocaustu). Moją uwagę przykuł jednak przede wszystkim otwierający tom artykuł Moniki Stolarczyk-Bilardie o watykańskim odbiorze napływających z Polski informacji o niemieckich represjach. Autorka jako jedna z pierwszych dotarła do materiałów odtajnionych przez papieża Franciszka na temat stosunku Piusa XII do zagłady Żydów.

Polscy biskupi mimo niemieckich zakazów przekazywali papieżowi wiadomości o sytuacji w kraju za pomocą włoskich przedsiębiorców i kapelanów wojskowych służących w armii Mussoliniego walczącej na froncie wschodnim. Jak się okazuje, jedynym polskim biskupem informującym Watykan o eks-terminacji Żydów był biskup katolicki Stanisław Adamski. W 1941 roku został wygnany z macierzystej diecezji do Generalnego Gubernatorstwa. W latach 1942-43 przesłał z Warszawy do Rzymu informacje o Zagładzie, w tym np. tekst apelu katolików świeckich, zainicjowanego przez Zofię Kossak-Szczucką, który dał początek Żegocie.

Do papieża docierały również informacje od krakowskiego arcybiskupa Adama Sapiehy, jednak dotyczyły głównie prześladowań dotykających Kościół katolicki i etnicznych Polaków. Na tym tle dobrze wypada grekokatolicki arcybiskup Andrzej Szeptycki. Według Stolarczyk-Bilardie: „Był on [...] jedynym, który expressis verbis i z własnej inicjatywy co najmniej dwukrotnie informował papieża w listach o masowych mordach na Żydach i krytykował postawę swoich wiernych wobec tej tragedii”.

Co ciekawe, w 1946 roku w Watykanie zastanawiano się nad opu-

blikowaniem listów Szeptyckiego opisujących niemiecki terror. Ostatecznie do tego nie doszło. Przeważała opinia, że ich ujawnienie wywoła pytanie: „Skoro Stolica Apostolska w 1942 wiedziała o tych wszystkich rzeczach, to dlaczego nie wykrzyczała [tego] światu?”.

W tym miejscu nie zgodziłbym się jednak z nazbyt krytyczną oceną autorki listu arcybiskupa Sapiehy do niemieckich władz, w którym ten zaprotestował przeciwko wykorzystywaniu w akcjach antyżydowskich polskiej młodzieży powołanej do Służby Budowlanej (Baudienstu). Arcybiskup Szeptycki w swoim głośnym proteście skierowanym na ręce kierownictwa SS też wprost nie występował przeciwko mordom, lecz „jedynie” sprzeciwiał się wykorzystywaniu w nich członków ukraińskiej policji pomocniczej. W tym wypadku obydwa hierarchowie postąpili podobnie – uznali, iż potępienie działań SS nic nie da, natomiast próbowali powstrzymać swoich wiernych przed udziałem w zbrodni, wychodząc z założenia, że mają duszpasterski obowiązek uchronienia ich przed popełnieniem grzechu i wiecznym potępieniem.

W roczniku znajdziemy też wspomnienie o polsko-żydowskim historyku Aleksie Dancygu porwanym 7 października 2023 roku i zamordowanym przez Hamas oraz omówienie ekspozycji w niedawno otwartym Muzeum Holocaustu w Amsterdamie.

Całość otwiera wstęp Dariusza Libionki i Barbary Engelking, w którym ta dwójka uznanych badaczy podsumowuje 20 lat wydawania rocznika. Słusznie podkreślają, iż z powodów ideologiczno-politycznych ministerstwo przynależało czasopismu ledwie 20 punktów. Przypomnijmy, że nie tylko awans samych naukowców, ale też kategoria oceny placówek naukowych uzależniona jest od liczby punktów zdobytych za publikacje. Oznacza to w praktyce, iż zgłaszanie artykułów do „Zagłady” stało się w ostatnich latach nieopłacalne, co -biorąc pod uwagę wysokie standardy tego czasopisma – jest rażąco krzywdzące. Jestem przeciwny, by wprowadzać kolejne zmiany w punktacji czasopism w tym cyklu ewaluacyjnym, kończącym się w 2025 roku. Nie powinno to jednak dotyczyć „Zagłady Żydów”, bo w tym wypadku mamy do czynienia z politycznie motywowaną decyzją o sztucznym zaniżeniu punktacji. To wstyd, że minister nauki nie naprawił jeszcze tej niesprawiedliwości. ●

Prof. Grzegorz Motyka



Pewnego dnia 1921 roku tatuś postanowił sprawić swojemu malutkiemu synkowi wyjątkowy prezent na pierwsze urodziny. Wybrał się więc do londyńskiego domu towarowego Harrods i tam wpadł mu w oko blisko półmetrowy, moherowy miś firmy Farnell z serii zabawek Alpha. Tatuś uznał, że to będzie to i kupił zabawkę.

Jego synek nazwał potem nowego przyjaciela – bo ma się rozumieć, bardzo pokochał podarowanego pluszaka - Edwardem. Kiedy nieco podrośł (chłopiec, nie miś), wybrał się z tatą do londyńskiego ZOO, gdzie spotkał piękną, brunatną niedźwiedzicę Winnipeg, pieśczośliwie nazywaną Winnie. Swego czasu, w 1914 roku, jeszcze zanim chłopiec w ogóle pojawił się w planach rodziców, małą Winnie kupił w kanadyjskiej prowincji Ontario od myśliwego weterynarza Harry Colebourn. Matka niedźwiedziatka została zabita, a Colebourn, za kwotę 20 kanadyjskich dolarów, odkupił sierotę i postanowił się nią zaopiekować. Jako że ruszał właśnie do Anglii, by walczyć na froncie I wojny światowej, zabrał Winnie ze sobą. Stała się maskotką Korpusu Weterynaryjnego armii kanadyjskiej, ale na kontynent, do Francji popłynąć nie mogła. Colebourn umieścił ją zatem w ZOO w Londynie i pojechał walczyć. Kanadyjski weterynarz chciał, by Winnie trafiła ostatecznie do ojczyzny i zamieszkała w ZOO w Winnipeg (od nazwy miasta wzięła rzecz jasna swoje imię), ale ostatecznie przystał, by pozostała w Anglii.

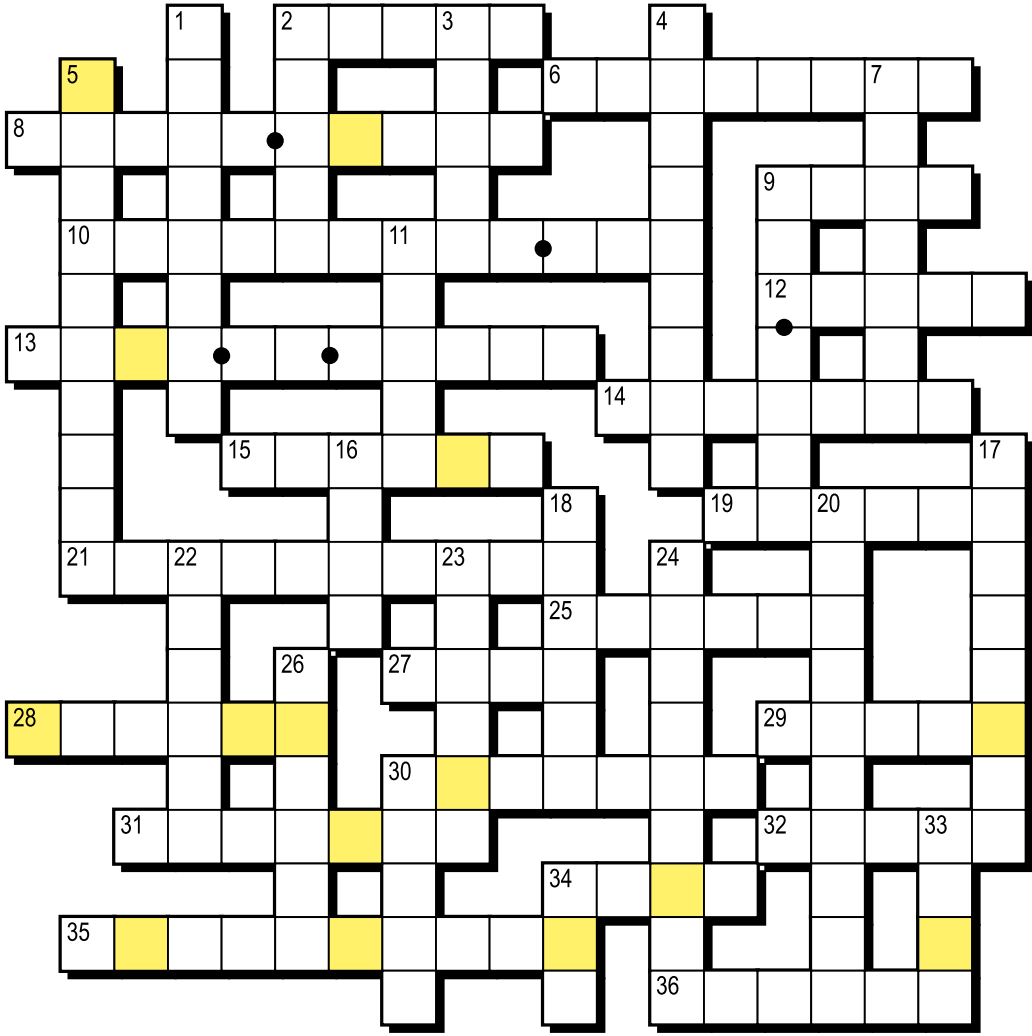
I tu właśnie spotkał ją nasz mały bohater i od razu polubił – podobnie zresztą jak tłumy innych odwiedzających londyński ogród zoologiczny. Chłopcu tak spodobała się niedźwiedzica, że przemianował Edwarda na Winnie właśnie. A że miał też swojego ulubionego łabędzia, którego codziennie karmił w parku podczas spacerów, a którego nazywał Pooh, ostateczne imię pluszaka brzmiało Winnie-the-Pooh.

Jak się już Państwo oczywiście domyślili, owym tatusiem był Alan Alexander Milne, reżolutnym chłopcem jego syn, Christopher Robin Milne, zaś pluszak posłużył jako inspiracja/pierwowzór dla Kubusia Puchatka. Podobnie jak Milne junior – dla postaci książkowego Christophera Robina, u nas znanego po prostu jako Krzys.

Wizerunku Puchatka, jaki znamy, nie zawdzięczamy jednak misiowi kupionemu dla Christophera, a innemu, który nazywał się Growler i był ukochaną maskotką Grahama, syna angielskiego malarza i rysownika Ernesta Howarda Sheparda. To Shepard zilustrował „Kubusia Puchatka” (1926) i „Chatkę Puchatka” (1928).

W dzień urodzin A.A. Milne’a, 18 stycznia, celebrowany jest Dzień Kubusia Puchatka dlatego też na dzisiejszą „Weekendówkę” z wielką radością zapraszamy do Stumilowego Lasu!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 137 z 11.01:

Poziomo:
4) szpinak, 8) pomidorowa,
9) waza, 10) łupinki,
12) Pietruszka, 13) tytuł,
14) dziadek, 17) kalafior,
21) apetyt, 22) cebula,
23) mrożonki, 24) algi,
25) seler, 27) pokarm,
30) rzepa, 32) piosenka,
33) skorzonera,
35) brukselka, 38) sos,
39) wegetarianizm,
40) Ogórek, 41) cykoria,
42) wikt.

Pionowo:
1) Poniedziałki, 2) listki,
3) groszek, 4) sałatka,
5) papryki, 6) kwiat, 7) dzał,
11) naturalia, 15) kalarepa,
16) botwina, 18) fasola,
19) lekarz, 20) Pudliszki,
26) rondelki, 28) kęs,
29) marynata, 30) rzodkiew,
31) por, 34) arsen, 35) bigos,
36) kremy, 37) lato,
38) smak, 39) wek

HASŁO:
KIEŁKI BURAKA

KUBUŚ PUCHATEK

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
2) „Chatka Puchatka” – druga ... przygód Kubusia i jego przyjaciół
6) „J. ...”, napis nad drzwiami chatki Puchatka
8) autorka „kanonicznego” przekładu „Kubusia Puchatka” na język polski
9) ... drzew, a w nich mieszkania leśnych zwierzątek
10) świat Puchatka i spółki
12) Prosiaczka – króciutkie
13) przekąska Kubusia
14) zwane także Hefalumpami
15) ... Kłapouchego, okazał się być mobilnym schronieniem
19) jedno ze stworzeń, na które ponoć polował dziadek Prosiaczka (o małego

nie złapaną w rozdziale o tropieniu zwierzyny)
21) Jacek, nagrał piosenkę „Ostatnia mruczanka, czyli Spleen Kubusia Puchatka”
25) „Pomocy, pomocy! Słoniowy ...! Słoniocy!”
27) pity przez Malarstwo
28) była nią postać z określenia 8 poziomo
29) drugie imię syna Alana Alexandra Milne’a
30) gra w misie-...
31) został jednostką pływającą nazwaną „Rozumkiem Puchatka”
32) krajobraz, panorama, np. lasu
34) zagubił się w III rozdziale „Chatki Puchatka”
35) wieczorynki
36) Prosiaczka – niski

Pionowo:
1) Malarstwo (zdrobniale)
2) tygryskowy deser
3) wykonanie „Piosenki Chmurek” albo „Sroczki-Skoczki”
4) Stefan ..., dwa imiona chłopca z powieści
5) upadł na balonik dla Kłapouchego
7) „Kubuś Puchatek” i „Chatka Puchatka”
9) ptak pozujący na intelektualistę (rodzaj męski, jak w oryginale)
11) Kłapouchy
16) jedno z „A.” na okładce „Kubusia Puchatka”
17) modrzewiowy – obchodzony podczas tropienia zwierzyny
18) wykupił prawa autorskie do postaci Kubusia Puchatka
20) „Chatka Puchatka” w Bieszczadach

22) „... Puchatka”, rozpoczyna się przedmówką – wymówką
23) „Nowe przygody Kubusia Puchatka” w tv
24) ... Wstęp, dziadek Prosiaczka
26) impreza, na której można dostać balonik, np. zielony albo niebieski
30) udzielona Puchatkowi, który utknął w norze Królika
33) przysmak Kłapouchego
34) ... o Bardzo Małym Rozumku

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34354617

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Rozwiązuj gdzie chcesz i kiedy chcesz



Zeskanuj QR kod i pobierz aplikację

